

P. 118 06

RADOSNA SZKOŁA

1211

✓ KARIN MICHAELIS

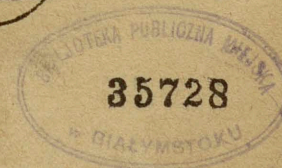
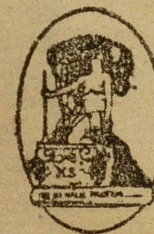
RADOSNA SZKOŁA

Z RĘKOPISU ZA UPOWAŻNIENIEM AUTORKI TŁÓMACZYŁA

A. KALLAS

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

№ 118
M. I. W. 16292



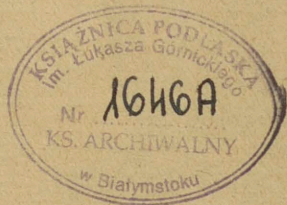
LWÓW

WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA”

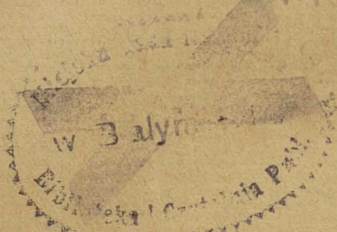
SKŁADY GŁÓWNE: LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA

WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA

— NEW-YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.



37.018.158.922.7



4344

5

44 r.

WSTĘP.

Dlaczego napisałam tę książkę? Zdawałoby się mogło, że nie pozostaje ona w żadnej łączności z dotychczasową moją twórczością. A jednak...

To dzieło jest wytlómaczeniem tęsknoty, która towarzyszyła mi przez lat wiele przy pisaniu moich książek; teraz dopiero dokładnie zdaję sobie z tego sprawę.

Często pisałam o dzieciach. Kobięce postacie moich powieści kreślone są w ten sposób, że czytelnik pozna ich młodość od lat najwcześniejszych. A jeśli kiedy zaniechałam tego, to w przekonaniu, że z późniejszego ukształtowania się ich życia, wynika to już dość wyraźnie.

Było zawsze i jest to ciągle jeszcze mojem głębokiem przekonaniem, że wszystkie te myśli i uczucia, które ma dorosły człowiek, zwłaszcza kobieta, tkwią już w dzieciństwie. Nienawiść i miłość, gniew, rozpacz, próżność, zazdrość, wyrzuty sumienia, współczucie — wszystkie te namiętności są u małej dziewczynki tak gwałtowne, jak u dojrzałej już kobiety. Sposób, w jaki odczuwa piękno, jej zamięłowanie do pachnideł, jej niechęć do pewnych właściwości i gestów, a wreszcie ta zdolność do błyskawicznych przemian: od bezgranicznej szczęśliwości do rozpacz — jednak objawiają się przy siedmiu, jak przy trzydziestu siedmiu latach; oczywiście z tą tylko różnicą, że dziecko niezdolne jest zastanawiać się nad wrażeniami, ani też nie zdaje sobie z nich sprawy, a wreszcie, że nie posiada tej zdolności maskowania się, jak człowiek dorosły.

Dziecko nie umie się maskować, ale przemilcza bardzo wiele i cierpi z tego powodu. Odczuwa także subtelniej, aniżeli człowiek dorosły, że w wielu wypadkach daremne jest mówić to, co się myśli. A właśnie to przemilczanie jest jednym z po-

wodów, dla których dorośli nie rozumieją postępów dzieci i tłumaczą je sobie opacznie. Trzeba umieć głęboko wnikać w duchowe życie dziecka, trzeba rzetelnie współczuć dzieciom, aby we wszystkim, co czynią, odnaleźć związek logiczny.

Kobiety w moich powieściach są takimi, jak je urobiły: dziedziczność, środowisko i wychowanie, ale specjalnie o wychowaniu, jako o rzeczy samej w sobie, nie pomyślałam wcale. Wydawało mi się przytem, że świat dziecka jest o setki tysięcy mil oddalony od świata dorosłego człowieka, i że nie masz między nimi żadnej drogi, ani ścieżki.

Tyle tylko wiedziałam, że dzieci przeżywają w swej „beztroskiej młodości“ więcej smutków, aniżeli radości, i, że te ich smutki powstają najczęściej wskutek niezrozumienia ze strony starszych, oraz niewłaściwego ich traktowania. Ale sądziłam, że to tak się już ułożyło u dzieci wszystkich narodowości, po wszystkie czasy i u wszystkich klas społecznych, — i że wszelkie nawoływania, każda skarga, podniesiona w imieniu dziecka, to głos wołającego na puszczy, kamień, rzucony w morze.

Przypomniałam sobie, że prawie każdy z wielkich poetów krwią swoją serdeczną pisał o cierpieniach duszy dziecięcej i, że były to słowa na piasku kreślone; wiatr rozwiał piasek, a z nim i... krwawe ślady.

Przypadek, a wydaje mi się on opatrnościowym, dał mi poznać kobietę, o której często będzie mowa w tej książce. Nazwijmy ją Ludwiką. Poznałam dzieło jej życia, a to już jest wiele. Poznałam ją samą, a to znaczy jeszcze więcej. Podziw mój dla wszystkiego, co zdziałała, błędnie wobec podziwu, jaki czuję dla jej człowieczeństwa.

Setkom tysięcy dzieci dopomaga, żeby łatwiej im było przeżyć najcięższy okres życia, a kształtując ich młodość tak, aby radosną była i przejaskrawiona, daje także ich dzieciom taką samą dobrą, jasną młodość. Z intuicyą, powiedziałabym, jedyną w swoim rodzaju, orientuje się w labiryncie zmiennych

nastrojów dziecięcego umysłu. Potrafi, jak nikt inny, brać dziecko w sposób właściwy, wzbudzić jego zaufanie, zaszcześcić w duszy uczucie łączności, a wreszcie doprowadzić do takich rezultatów, że żadne troski, żadne zboczenia nie mogą tu być zatajone.

Przyrodzona jej genialność w tym właśnie kierunku oddawałaby ogromne usługi... państwu, gdyby na przykład zająć jej przyszło... stanowisko ministra oświaty. Kto wie, czyby się jej nie udało pokierować racjonalnie szkolnictwem całego kraju i dobierać jednostki najodpowiedniejsze do tego najtrudniejszego powołania, jakim jest wychowanie publiczne.

Rzecz oczywista, że nie dadzą jej ministeryjalnej teki. Tak, czy owak, Ludwika służy przecie ojczyźnie i swojej epoce znacznie lepiej, niż niejeden z dostojników państwowych.

Ludwika jest kierowniczką szkoły i nic więcej. Zapewne, że istnieje dużo szkół w tem samem mieście i dużo miast z mnóstwem szkół w tym kraju. Lecz jej szkoła nie jest tylko jedną z owych wielu szkół, ale raczej jedyną szkołą w swoim rodzaju, choć przez inne naśladowana rozmyślnie, czy też bezwiednie. Jest to szkoła radosnej chwili. Szkoła, w której dzieci czują się tak dobrze i swobodnie, jak za błękitną górą swej fantazyi, a gdzie są tak szczęśliwe, jak młode żrebie na pachnącej ziołami łące, jak ptak, bujający w powietrzu, jak kwiaty, gdy je całuje ranne słońce. I jest to jeszcze szkoła, w której dzieci zdobywają najwyższą wiedzę, a gdzie nauce towarzyszy to samo błogie uczucie, jak przy rwaniu owoców i kwiatów w przebogatych ogrodach, podczas pięknego lata. Tu, uczniowie i uczennice żyją w szczęśliwym poczuciu istotnej łączności wówczas nawet, gdy już własną założyli rodzinę; są jako członkowie braterskiego związku, obejmującego cały glob ziemski.

Młode kobiety, ongiś uczennice tej szkoły, nie umawiając się wcale, przyjęły piękny zwyczaj dziękowania Ludwice w przededniu swego zamążpójścia za te niezliczone godziny radości, które teraz, jako najcudniejsze wspomnienie zabierają z sobą

w małżeństwo. Miałam sposobność czytać niektóre z tych listów; są jak piękny poemat, jak hymn przeczystej duszy do tej drugiej, którą czczą.

Pomyślcie co to znaczy, jeśli w ostatni wieczór, spędzony w domu rodzicielskim, myśli się jeszcze o tem, by podziękować szkole za wszystko, co dała.

— — — — —
Dzień w dzień, gdy Ludwika wraca ze szkoły do domu, wszystko w niej: oczy, oblicze, cała istota, drży radosną żądzą podzielenia się tem, co pięknego przeżyła w ciągu dnia. A gdy, czy to z niepowstrzymanym entuzjazmem, czy też ze łzami wzruszenia, ukrytymi za brzmieniem poważnych słów, zaczęnie opowiadać o szkole, wtedy słuchają wszyscy jakby jakiej cudnej bajki; w ten sposób nikt jeszcze o dzieciach im nie mówił.

Zwiedziłam tę szkołę i byłam obecna na wielu godzinach nauki. Bezwiednie składałam ręce, jak to czynią głęboko wierzący, przestępując progi świątyni. Byłam tutaj świadkiem istnych cudów.

Pewnego dnia zbudziło się we mnie życzenie... raczej coś więcej jeszcze; było to coś takiego, czemu oprzeć się nie mogłam, a mianowicie: aby całemu światu otworzyć okienko do tego rajskiego ogrodu, którego ogrodniczka nowe dla świata wychowuje dusze. Prosiłam o pozwolenie opisanie tego wszystkiego, com tu widziała i słyszała.

Mogę to uczynić, ale pod warunkiem, że nie wymienię nazwiska ogrodniczki.

Najchętniej umieściłabym na wstępie pełne nazwisko i portret tej, której napisanie niniejszej książki zawdzięczam; co więcej, ozdobiłabym ją mnóstwem rysunków, obrazków i zdjęć fotograficznych „pani doktorki“, wykonanych przez uczniów i uczennice. A przedstawiają te obrazki „panią doktorkę“, jak myje sobie ręce pospołu ze swoją najmniejszą uczennicą, która dopiero uczy się pisać piórem i paluszki pomazane ma atramentem; a na innym znów obrazku: jak ostrożnie od-

pruwa kołnierzyk młodej pannie, która siada do matury; albo: jak przechodzi przez korytarz, a błękitny welon u jej kapelusza powiewa przy każdym żywszym ruchu głowy niby radosna chorągiew; to znów: jak stoi na katedrze z wyrazem entuzjizmu w zarumienionem obliczu; lub też, jak z wiązką ponsonowych róż w dłoniach, wita młodą gromadkę uczniów i uczennic.

Niestety, nie wolno tutaj wymienić jej pełnego nazwiska.

I. LUDWIKA.

Już, jako dziecko, cechowała ją niezwykła życzliwość uczuć i ruchliwa wyobraźnia.

Jako dwunastoletnia dziewczynka otrzymuje od krewnych zaproszenie: razem mają pójść na operę; po raz pierwszy odwiedzi teatr. Ośm dni przeżyła w oczekiwaniu. Nadszedł wreszcie dzień radosny. Już od południa zaczynała się przystrajać. Rodziców niema w domu, wyjechali na jakąś wycieczkę, jest sama w domu. Słońce zachodzi; zapada zmierzch wieczorny, który odczuwa, jakby zbliżającą się burzę. Na niebie ukazują się gwiazdy. Usiadła przy oknie i nasłuchuje, czy ktoś nie zbliży się do bramy. Nikt nie przychodzi po nią. Zegar na wieży pobliskiego kościoła wybija kwadrans za kwadrans. Siedzi coraz cichsza, słucha i wpatruje się w ciemność. Przedstawienie opery rozpoczęło się już dawno. Ona nie płacze. Oczy jej nieruchomo zapatrzyły się w przestrzeń. Serce tłucze się w piersiach, słyszy każde jego uderzenie. Ogarnia ją gorączka.

Zegar wybija dwunastą. Północ. Miasto śpi. Wracają z wycieczki rodzice i zastają dziewczynkę swoją przy oknie. Jej duże oczy przycasły. Nie poznaje otoczenia. Dostaje febry. Nikt nie domyśla się przyczyny: kuzyn, który ją do teatru zaprosił, zapomniał po prostu o danem jej przyrzeczeniu.

Wszelkie nastroje znajdują oddźwięk w jej istocie. Przechodzi szybko z burz i walk wewnętrznych do promiennych marzeń, niekiedy znów ogarnia ją niewytlómaczona melancholia. Każde cierpienie, które widzi, lub o którym słyszy, staje się jej osobistym cierpieniem. Czyta książki — i chciałaby wyzwąć do walki los, który poeta... rzucił na papier. Jej dziecięce piąstki zaciskają się w bezsilnem pragnieniu czynów

Chciałaby coś uporządkować, zmieniać, komuś dopomagać. A jest tylko dzieckiem. Żyje w otoczeniu ludzi, którzy jej nie mogą zrozumieć.

Szkoła jest dla niej torturą. Z olśniewającym zrozumieniem widzi, że dzieci są maltretowane i dlatego stają się złe. Lekcja wydaje się jej tak samo zbyteczną, jak dręczenie koni, które bezmyślny woźnica okłada batem.

Jest anarchistką, nie zdając sobie z tego sprawy, ani o tem wiedząc. Chciałaby, żeby świat raczej zginął, niż miał dalej istnieć wśród „takich niesprawiedliwości“.

Posiada piękny głos i talent sceniczny. Znajomi namawiają do wstąpienia na scenę, obiecują przepych i sławę. Ale pozory świetności ani na chwilę nie są w stanie jej omamić.

Wyobraźnia stawia jej przed oczyma gromadkę małych dzieci, tańczących w radosnym korowodzie; zdaje się słyszeć ich śmiech szczęśliwy. Wizja tego obrazu i tonu stały się notoryczną siłą jej duchowej istoty.

A tym cudownym czynem, o którym marzy, jest pójść od wsi do wsi, by uczyć małe dzieci, czego ich nikt nie uczył: iżby odetchnęły swobodnie; iżby śpiewając i śmiejąc się, cieszyły się życiem, cieszyły się każdą chwilą.

Zaczyna kształcić się na nauczycielkę. Wstępuje do seminarium i odkrywa z przerażeniem, iż nawet tutaj nikt o tem nie myśli, że dzieci żywymi są stworzeniami i że chodzi przecie o to, aby im ukształtować życie swobodne, radosne, bogate.

Potem udaje się na dalsze studia do Zurychu. Tam dopiero, wśród pięknej przyrody, pośród entuzjastycznych i naprawdę młodych ludzi, znajduje po raz pierwszy zadowolenie w pracy. I takie ma uczucie, że głowa jej, to jakby sakwa czarodziejska, którą napęłnić trzeba mnóstwem dobrych rzeczy, aby z niej następnie czerpać i rozdawać drugim.

Tam też miała sposobność przyjrzeć się z bliska różnym skomplikowanym wypadkom ludzkiego wykołajenia. Mając wro-

dzony pociąg do działania, starała się już wtedy dźwignąć z upadku tego rodzaju jednostki.

Istotę jej znamionuje wielka pasya. Pod wrażeniem chwili zdolna jest do największych poświęceń. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gorące jej serce spotkało się już wcześniej z wzajemną miłością; przybiła do bezpiecznej przystani i ta kwestya jej życia załatwioną została szczęśliwie i bez reszty. Erotyczne popędy nie są w stanie zmylić jej ustalonego pojęcia o prawdziwej miłości i rzetelnem małżeństwie.

Tak więc może spokojnie przygotować się do przyszłego zawodu, w którym, jak przeczuwa, będzie miała do czynienia z gromadkami tańczących i śpiewających dzieci, o jakich tyle marzyła.

Odkąd zdobyła dyplom doktorski, umie być znacznie więcej dzieckiem, aniżeli niem była wówczas, gdy mając lat dziesięć, czytywała autorów klasycznych, albo układała popure pieśni, które potem wyśpiewywała krzykliwie, z wiatrem idąc w zawody.

Fakt, że otwiera teraz szkołę, przejmują ją zdziwieniem, choć jest to przecie takie naturalne.

Przedtem chciała uczyć dzieci tylko czterech rzeczy: śpiewu, tańców, wesołości i zabaw; przekonała się atoli, że wiedza uczynić może świat większym, jaśniejszym i szczęśliwszym, a więc postanowiła, aby dzieci, oddane jej pieczy, nauczyły się naprawdę przeżywać swoje życie, zamiast je prześnić nieproduktywnie.

Przystępuje do tego dzieła z głębokim przeświadczeniem o przeogromnej odpowiedzialności, jaką bierze na siebie. Każda smutna twarz dziecka niepokoi ją. Co jest temu dziecku? Czy odgadnie i zaradzi?

Dopiero, gdy poczuła, jak wielką zdobyła władzę nad młodemi serduszkami swoich uczniów i uczennic, pozbywać się zaczyna tej trwogi i uczucia, że usuwa się jej grunt pod nogami.

Nie kieruje się tu żadną teorią; czuje bowiem, że żadna nie ostoi się wobec rzeczywistości. Zrozumiała, że każde dziecko to świat dla siebie, otoczeniu nieznanym, a który pięć po pięć odkrywać i zdobywać trzeba.

II. SZKOŁA.

Głównym celem szkoły nie jest jeno dostarczyć dzieciom pewnej sumy wiadomości naukowych; szkoła powinna być w pierwszym rzędzie instytucją towarzyską. Ma zaś to pierwszeństwo, że zbliża wzajem do siebie dzieci o jednakim poziomie intelektualnym, że zwraca im uwagę na zalety drugich, uczy poznawać różnice usposobień i uzdalnia je do wydobywania radości ze stosunków z ludźmi.

Dzieci, z małymi tylko wyjątkami, mają wybitne skłonności towarzyskie. Można by powiedzieć, że tkwi w nich żądza zabaw. Już dwuletnie dziecko posiada silnie rozwinięty zmysł towarzyski. Jeszcze nie umie dobrze mówić, a lubi tak, aby wszyscy członkowie rodziny zgromadzili się wokół niego; wtedy najchętniej przykucnie sobie gdzieś na podłodze wśród swoich zabawek i czuje się szczęśliwe w tem przeświadczeniu, że jest, jak być powinno.

Ale w domu niema na to czasu, aby być towarzyskim, w tem znaczeniu, jak tego dziecko wymaga. Dziecko żąda, aby cała uwaga zwrócona była na jego zabawę, lub jego „osobę“. Jeśli nie oddamy się dziecku całkowicie, odczuje to zaraz; a wtedy staje się niespokojne, nerwowe.

Szkoła istnieje dla dzieci. Szkoła, to klub.

W szkole ma dziecko swojego „najlepszego przyjaciela“, w szkole ma też swoich najlepszych przyjaciół.

Cały żywot dziecka staje się miłszy i bogatszy. Może się każdego dnia radować tem, co przyniesie dzień następny. Oprócz przyjaciół spotyka w szkole mnóstwo dobrych znajo-

mych, z którymi tak miło i radośnie się gwarzy. Są tu wreszcie poszczególni koledzy i koleżanki, którzy się nie podobają, których przeto się nie lubi, a jednak ma się to uczucie, które bezwiednie powstaje, że i „w nich musi być coś dobrego“, skoro i ci mają „swojego najlepszego przyjaciela“ i swoich „najlepszych przyjaciół“.

Nie jest się tylko dzieckiem swojego tatusia i mamusi. Posiada się jeszcze ucieczkę, gdzie znaleźć można obronę i zrozumienie. Jest się stałym członkiem zrzeszenia, które wydaje się tak ogromne, iż sobą obejmuje cały świat.

Jeśli się nie jest obecnym w szkole, brak ten odczuwają zaraz inni. Dla dziecka jest to uczucie dziwnie przyjemne. Dziecko chore otrzymuje listy, wizyty i małe podarunki od innych dzieci. Mówią, a mówią tylko dobrze o nieobecnym. Witają z uśmiechem, gdy po chorobie przychodzi do szkoły. Wołają: „Do widzenia!“ gdy się jest na odchodnym. Nikt tu nigdy nie mówi: jesteś natarczywy, albo: jesteś zbyteczny. Można o wiele rzeczy pytać i otrzymuje się zawsze odpowiedź.

Ma się również obowiązki. Jest sposobność do odznaczenia się. Dzieli się radości i smutki. W urodziny cała klasa cieszy się wspólnie z upominków, które się dostało; a gdy bolą zęby, to wszyscy ze współczuciem zapytują, który ząb dokucza. Gdy zachoruje mama, próbują wszyscy pocieszyć. „Przeskrobało“ się coś, wówczas wszyscy gotowi pomódz w naprawieniu złego.

Wypożyczają sobie wzajem książki zarówno jak i myśli. Jeśli jedno z dzieci odbyło jakąś podróż, wszystkie biorą w tem potem udział, a fantazja ich jest tak świeża i tak silna, że już przez opowiadanie doznają tyle i tak samo, jakby to wszystko nowe i nieznane przeżyły naprawdę.

Niema wśród dzieci zawiści, jeśli szkoła jest, jaką być powinna. Dziecko bogate bierze udział w troskach dziecka ubogiego; dziecko ubogie powinno mieć udział w dobrobycie

dziecka bogatego. Wszyscy wspólnie dają i wszyscy wzajemnie czerpią. Powierzają sobie wzajem swoje uczucia i tajemnice. A tyle się ma prześlicznych, głębokich tajemnic! Śpiewa się razem i ma się wtedy uczucie, jakby się latało. Jest się „zakochanym“; kocham się i jest się wzajem kochanym. Koledzy i koleżanki oceniają sprawiedliwie i o wiele bezstronniej, aniżeli w domu.

Zadaniem nauczycieli i nauczycielek jest działać w obrębie tego zrzeszenia, tego państwa w państwie — ale tak, aby jego rozwoju nie wstrzymywać, ani mu nie przeszkadzać. Ingerencyja ich ograniczyć się tylko winna na wypadki wyjątkowe i konieczne, ale dzieci tego wpływu nie powinny spostrzedz ani nawet odczuć.

Dziecko uczyć się powinno tylko dlatego, że żadne jest wiedzy. Staraniem nauczyciela jest: te żądze wiedzy kierować na tory właściwe danemu dziecku. Każde zadanie, każda lekcja muszą być tak ułożone, aby stały się dla dziecka dość zajmujące; chodzi przecie o to, iżby zadanie rozwiązało ochotnie i pilnie. I tylko wtedy właśnie praca staje się radością.

Szkoła jest również na to, aby dziecko nauczyć najwłaściwszego używania chwili, tej przelotnej chwili dziecka, które życie dziecięce wypełnia.

Zazwyczaj wychowuje się dzieci zupełnie fałszywie, jakby żyć miały wieki i mogły sobie na to pozwolić, aby całe dzieciństwo zmarnować na przygotowanie się do tego długiego życia. Tak, powtarzam to: zmarnować.

Jeśli o dzieci chodzi, nie liczą się tu ze zmarnowanym czasem, zmarnowaną siłą i straconą radością. Nie zastanawiają się nad tem, że każda chwila w życiu człowieka posiada własną swoją wartość, której ani wymienić, ani przeżyć raz jeszcze nie można.

Mówi się dziecku: Bądź pilne, bo musi się coś umieć wiedzieć, gdy się dorośnie!

A teraz pytam, co też dziecko obchodzić może przyszłość? Czy rozumie znaczenie tego pojęcia? Dziecko nie jest w stanie myśleć długo. Z trudem już myśli o dniu następnym, a cóż dopiero o dniu, który nastąpić ma po długich latach. A potem, kto wie, czy dziecko żyć będzie, „czy dorośnie“? A wtedy cóż ono miało z życia? Zdarza się, że dziecko jest wesołego usposobienia i nie odczuwa żadnej troski, ale przy osiemnastu latach staje się melancholijne. Jeśli w tym wypadku pierwszych lat szesnaście użyło się na to, aby się przygotować do „tego cudnego życia, które dopiero ma nadejść“, cóż wówczas?

Każę się dzieciom żyć w pewnego rodzaju pogotowiu wojennem, w stanie ciągłego kosztownego zbrojenia się do walki, która może wcale nie nastąpi.

Dzieciństwo może i musi być naksztalt stubarwnej tęczy, zawieszonej wśród cudów nieba. A czas tego dzieciństwa poświęca się jako środek dla osiągnięcia niewiadomego celu, podczas gdy ono samo w sobie jest celem...

Zmusza się dzieci, aby przeciw swej naturze żyły dla przyszłości, a goniąc za chwilą następną, traciły tę dobrą, złotą chwilę obecną. Wszystko jest obietnicą lub groźbą: na wypadek — gdyby!

I oto tę chwilę obecną, tak piękną, o czarodziejskiej barwie i odurzającej woni, składa się jako całopalenie na ołtarzu dnia jutrzejszego. Dziecko kroczy szerokim gościńcem; po jednej i drugiej stronie ciągną się kwietne łąki i pola, a i fosi przydrożne pełne są kwiatów. W powietrzu uganiają stubarwne motyle. Za polami stoi tajemniczy, gęsty las. Tu słońce świeci, a tam panuje cień. I oto zmusza się dziecko, aby tę drogę szeroką i cudną przebiegło jak najszybciej bez wytchnienia, ponieważ gdzieś tam daleko na przodzie, aż hen, gdzie ukazuje się linia horyzontu, może cieniste stoi drzewo, może tam dojrzewają już lany zbóż. Cóż jest tam? A za każdym krokiem linia horyzontu

tylko bardzo nieznacznie się przesuwają. Dziecko nie śmie przystanąć. Przyszłość, ach, przyszłość woła!

Dziś, to dzisiaj tylko i nie wróci ono nigdy, choćby życie ludzkie miliony lat trwać miało. I dlatego powinno się zaspokoić tę żądzę wiedzy, jaką dziecko ma dla dnia dzisiejszego, dla tej godziny, dla tej chwili. Niechajże dziecko w danej chwili ma z tego swoją radość. Niechaj już w tej chwili i dla tej chwili jego praca przyniesie mu owoce.

Czemże jest dla dziecka tysiąc koron, złożonych do banku na procent do czasu aż dorośnie, wobec drobnej monety, za którą już dzisiaj kupić sobie może fajeczkę glinianą, aby z niej wydmuchiwać bańki mydlane. Trzeba dziecko ciągle i stale utrzymywać w świadomości tego szczęścia, jakie daje posiadanie chwili i to posiadanie wymaga ochrony. Każda z niezliczonych chwil dnia może stać się dla dziecka uroczystością, jeśli nie będzie się go gnało z jednej chwili w drugą.

Dziecko powinno to czuć, choć tej myśli w słowach wyrazić nie zdoła, że dzisiaj chcę pracować, dzisiaj chcę się bawić, gdyż to, co mi raz dał dzień dzisiejszy, nigdy już nie wróci. I nawet gdyby umrzeć przyszło następnej już nocy, to jednak mogę powiedzieć, że użyłam słońca i deszczu tego dnia, a myśli moje unosiły się wysoko i nisko, niby ptactwo skrzydlate.

Tkwi to w naturze dziecka, że żyje chwilą; dajmy mu do tego sposobność, a poczuje się swobodnym, lekkim, jak piórko. Gdy zaś złoży się na wąż jego ramionka ciężar myśli o jutrze, i odpowiedzialności za to jutro, które ma nastąpić, wówczas to jarzmo wyżre krwawe ślady w jego duszy.

Sumienie dziecka jest tak subtelnie wrażliwe, że najłżejsze poczucie grzechu zaważy tu tyle, co całe góry grzechu dla dorosłych.

Trwoga i powątpiewaniem przepaja się duszę dziecka, a potem mówi mu się: Ależ wyjdźże! Baw się i bądź wesoły! A dziecko wówczas tylko może czuć radość, jeśli mu się zоста-

wia swobodę latania na skrzydłach tej radości. Czuąc ołowiany ciężar obowiązków i odpowiedzialności, ani o stopę jedną nie wzniesie się ponad ziemię.

Tylko szkoła potrafi dać dziecku owo uszczęśliwiające poczucie, jak żyć i cieszyć się chwilą. Biednemu zwłaszcza dziecku, które w rodzinie widzi jeno brud, zgrozę i nieszczęście, szkoła powinna dać takie mnóstwo szczęśliwych chwil, aby z nadmiaru mogło coś przynieść do domu i w jego ponurą atmosferę wnieść trochę promieni słonecznych.

W początkach zakładano szkoły, aby dzieciom przyswoić wiedzę. Wszak wiedza dobrze się rentuje. Ale wyższy, korzystniejszy to cel, aby szkoła dawała dzieciom przede wszystkim radość największą.

Rodzice i wychowawcy skłonni są wychowywać dzieci, jak rośliny ozdobne, które dowolnie można przystrydzić w formę piramid, czy też kul. A to się mści albo na rodzicach, albo na dzieciach, najczęściej na jednych i na drugich.

Pewna mała dziewczynka z zamożnej rodziny miała istną pasję chodzić boso; najlepiej zaś smakowały jej kartofle, które wspólnie z chłopskimi dziećmi piekła w polu. Ojciec jej był właścicielem dóbr. Nie mogąc inaczej zwalczyć jej „nizkich skłonności“, wysłał ją z domu i umieścił na pensji, gdzie panował rygor niezmiernie surowy. Umarło biedactwo w piętnastej wiosnie życia. Na łożu śmiertelnym przyzywała w gorączce chłopskie dzieci, z którymi bywało, biegała boso. A do tej to dziewczynki mawiano: „Dopiero, gdy urośniesz, będziesz mogła sama wybrać sobie towarzystwo“.

Dla znacznej większości dzieci jest okres ich dzieciństwa jakby wyścigami i nie do przewyciężenia są przeszkody, które im brać każą. Niech tylko dziecko wypowie jakie życzenie, a zaraz postawią przeciw jego spełnieniu całą górę przeszkód. Starsi nie próbują nawet wytłómaczyć dziecku, dlaczego to i owo nie może być spełnione; wypowiedzą tylko władcze słowo: Nie pozwalam! Nie wolno!

Szkoła ma tę błogosławioną przewagę, że może dawać dzieciom niejedno, czego dom ofiarować nie jest w możności. Szkoła ma dawać chleb, a nie kamienie.

III. ZABAWY JAKO CZYNNIK WYCHOWAWCZY.

Wszystko, co szare i powszednie, kładzie się niby mgła ciężka, na umysł dziecka. I dłuży się wówczas dziecku każda godzina dnia. Dławi się tem i samo obronić się przeciwko temu nie może.

Należałoby więc dziecko zahartować przeciw splinowi, nie przytępiając wszakże jego wrażliwości, by potem miało bez uwagi przyjmować zarówno deszcz, jak i pogodę. Dla dziecka najmniejsze zdarzenie może się stać przeżyciem, a każdy świeży powiew wiatru zabawą, jeśli w niem rozbudzimy wrażliwość i fantazyę.

Gdy nastaje dzień szary, pochmurny, deszczem ciężarny, wtedy powinna szkoła wytworzyć atmosferę szczęścia i radości, tak aby dziecko odczuło, jak miłem jest to przeciwieństwo. Lecz równocześnie należałoby zwrócić jego uwagę na piękno, którem przepojone są wówczas pewne zjawiska. Przedstawić na przykład, jak sylwetuje się wśród gęstej mgły most na rzece, gdy woda znika z przed oczu, a latarnie wzdłuż mostu tworzą jakby łańcuchy perlistych kropel rosy. Powinno się też pokazywać dzieciom arcydzieła malarzy, tych zwłaszcza, którzy swoje obrazy malowali szaro w szarem. Poprowadzić należy dzieci do ogrodu, albo do parku, niechaj się przypatrzą, czy nie wydają się wtedy drzewa jakby były zamyślane i o czemś dziwnem marzyły. Można też dziecku zwrócić uwagę na różnicę, między dymem lekko unoszącym się ku niebu pogodnemu, a dymem, który w czasie niepogody opada nisko.

Poezya mgły, poezya deszczu, to dla dziecka coś nowego, co jednak w lot chwyta, dlatego, że samo ono jest poezyą.

Nawet dzień szary da się ukształtować uroczyście światłem i kwiatami. Pokazuje się například dzieciom kwiat ponsowy, który dnia poprzedniego był tylko jednym z wielu kwiatów w bukietach; teraz wyjęły, staje się sam dla siebie baśnią piękna i radości. I oto taki kwiat w szary dzień może działać ożywczo, jak słońce w czasie pogody. A jeżeli to będzie kwiat pachnący, wtedy wszystkie dzieci kolejno powinny się napawać jego wonią, aby potem odczuć, że kwiat, właśnie w takim dniu spełnia specjalną misję. I będą nań patrzyły tak, jak nigdy przedtem na kwiaty nie patrzyły. I stanie się im ten kwiat przyjacielem. A gdy przyjdzie znów dzień szary, wtedy wspomnienie ponsowej róży i jej zapachu, sprowadzi powrotną falę uczuć dziwnie pięknych i miłych.

Wielkie znaczenie może tu mieć podczas szarych dni muzyka i śpiew. Należałoby zacząć od pieśni, kierujących myśl dziecka ku słońcu i swobodzie, a potem można powoli przejść do pieśni wieczornej i piosenki ludowej, dla których smutny nastrój dnia wytworzy przepyszne tło. Dzieci słuchają i śpiewają wtedy z wezbranem uczuciem; pojmują radość, która tkwi w przeświadczeniu, że cały świat stoi przed nimi otworem, że mogą przejść przez morza i lądy i zawrócić, a będzie im wszędzie dobrze dokądkolwiekby zaszły.

W szarych dniach może szkoła urządzić przedstawienia obrazów świetlnych. A więc znowu zabawa.

Należałoby też w takich dniach mówić z dziećmi o rzeczach, które leżą poza powszedniością, a więc o uroczystościach szkolnych, wycieczkach, przedstawieniach i t. p. rzeczach. Sprawia się temsamem radość niezmierną, a przytem: dzieci miarkują, że oto trudzą się w tym celu, aby im ozłocić szarzyznę smutnych dni.

A gdy dziecko przyjdzie do domu, przepełnione radością tyłu przeżytych wrażeń, wtedy przeniesie i na domowników czar doznanej przyjemności.

Oczywiście, że nie tylko szare dni należy dzieciom uprzyjemnić, najlepiej byłoby tak, aby urozyste chwile tak gęsto rozsiane zostały na ich drodze, jak są rozsiane gwiazdy na niebie.

Bo jedna tylko radość dziecku nie wystarczy. Jeżeli například w jasny, mroźny dzień dziecko cieszy się myślą o ślizgawce, to może nauczyciel zwrócić też jego uwagę na piękno zimowego słońca. Gdy przerwie wtedy na parę minut naukę i pozwoli dziecku napawać się pięknem i ciepłem tego słońca, wtedy dziecko pracować będzie dalej z uczuciem, że samo jest pełne słońca.

Dziecko odczuwa dziwny pociąg do urozystości, a zabawy i urozystości, które urządza szkoła, zyskują na znaczeniu przez przygotowania, które się do nich czyni. Radość oczekiwania urozystości nie tylko, że nie przeszkadza zajęciom szkolnym, lecz owszem, ułatwia je i uduchowia.

Umiłowanie przyrody u dzieci ze szkoły Ludwiki jest tak żywe, że one z własnej inicjatywy urządzają święto wiosny; nauczycielkom nie wolno się do tego wtrącać. I przez to staje się ta urozystość wyłączną urozystością dzieci, którą też przeżywają całą duszą. Wstają przed wschodem słońca i maszerują daleko za miasto po gałęzie i kwiaty, by uwić z nich girlandy i wianuszki dla ustrojenia szkoły i domu. Uczą się nowych pieśni i tańców, cieszą się tą urozystością, serduszka ich drżą radośnie.

I już sześćoletnie dzieciaki mają swoje doniczki z kwiatami, które same zasiały. Pielęgnują je, uczą się rozruszyć ziemię i przesadzać lub przeszczepiać je, co wymaga wielkiej sprawności, a przez to ma znaczną wartość wychowawczą. Uczą się kochać kwiaty i uważać je za istoty żywe. W ich wyobraźni kwiaty odgrywają rolę taką, jak lalki albo rusalki. Nauczyciele mają kwiaty na katedrze, a przez całą wiosnę, podczas przygotowań egzaminacyjnych stoi na pulpicie każdego dziecka najskromniejsza bodaj wiązanka.

Jest to na szczęście obecnie powszechnie uznaną prawdą, że dla utrzymania duchowej równowagi dziecka wielki wpływ wywiera spokój i ogólne zadowolenie podczas wspólnego spożywania posiłku. Wielu jednak rodziców trzyma się niestety jeszcze owej straszliwej metody urządzania wielkiego obrachunku z dziećmi właśnie przy jedzeniu. Przez to niszczy się działanie szkoły, gdyż wyniesione stamtąd uczucie radosnej bez troski, nie może się ustalić. Uciechy dnia giną w obawie przed godziną posiłku przy rodzinnym stole, bo ta zamienia się dla dziecka w godzinę sądu ostatecznego. Ciągle grozi dziecku koniec świata.

Rodzice popełniają też inny błąd, równie wielki, gdy w obecności dzieci załatwiają wzajemne swoje obrachunki.

Natomiast śniadania podczas pauzy w szkole zamieniają się w istną orgię wesołości i zabaw. Z kromką chleba w jednej, a z jabłkiem w drugiej ręce znajdzie dziecko jeszcze zawsze możliwość wzięcia udziału w tej lub w owej grze, kiedy to może się wyładować cała energia łobuzowskiej uciechy. Wybuchom wesołości nie stawia się żadnych granic. Gdy dzieci podczas pauzy namachały się rękoma, które poruszały się niby skrzydła wiatraku, a nogami wykonywały ruchy młotka w dzwonku alarmowym i wykrzyczały się tak, że ich szczęki bołą, wtedy są cudownie usposobione, by w skupieniu przesiedzieć owe pięć minut, które mają potem stanowić punkt kulminacyjny lekcyi. Ale dłużej niż pięć minut nie powinny siedzieć. I już jest rzeczą nauczyciela postarać się, aby po upływie tych pięciu minut stało się znowu coś nadzwyczajnie komicznego, z czegoby się cała klasa zanosila od śmiechu.

I gdyby dzieci niczego więcej się nie nauczyły od Ludwiki, jak śmiać się, to byłoby to, że się śmiać nauczyły, rzeczą o wiele cenniejszą aniżeli cała mądrość, czerpana z książek. A śmieją się dzieci tak melodyjnie, jak aniołowie, oczywiście o ile tylko ci śmiać się umieją. Śmiech ich obja-

wia się we właściwy sobie sposób, jakby tryskająca kaskada; nie posiada tego hałaśliwie krzykliwego, nieokreślonego brzmienia, jak u dzieci nieprzywykłych słyszeć swego własnego śmiechu. Śmieją się, bo pobudza je do tego radość. A gdy niezmaconą i wielką jest ta radość, przeto czystym i silnym i dźwięcznym jest ten śmiech. Dzieci te chichotu nie znają, ponieważ nie nakazywano im milczeć wówczas, kiedy na śmiech się im zbierało, przeciwnie, gdy jedno dziecko znajduje powód do śmiechu, śmieją się z niem razem wszystkie dzieci i wszystkie się cieszą, że mogą wziąć udział w chóralnym śmiechu.

Przypatrzmy się ludziom, którzy śmieją się brzydko; nie muszą to być, jak się zwykle przypuszcza, ludzie niekulturalni, prostacy; śmiech nie jest zwierciadłem duszy, jak nim bywa uśmiech ale często brzydki śmiech ma swoją przyczynę w tem, że ten, lub ów człowiek w dzieciństwie doświadczył wiele przykrości, że stłumiono w nim szczerość i radosną swobodę tak, że z tej lub owej przyczyny nie mógł się nigdy serdecznie i swobodnie wyśmiać.

Dziecko takie, dorósłszy, dowiadyuje się przypadkiem, że jego śmiech ma dźwięk brzydki i usiłuje ukryć tę wadę, już to przerywając nagle śmiech, już to zasłaniając usta dłonią, albo ściągając dziwacznie szczęki i w ten sposób tworzy się ze śmiechu tłumiony, brzydki chichot. Są też ludzie, którzy brzydki swój śmiech starają się przekształcić; to się tylko częściowo udaje: hałaśliwy śmiech można stłumić, krzykliwy utemperować, ale śmiech taki naturalnego brzmienia mieć już nie będzie. Bo naturalnym jest tylko śmiech dziecka. I szczęśliwy ten człowiek, któremu się udało za-trzymać taki dziecięcy śmiech przez całe życie.

Gdy się wejdzie do szkoły Ludwiki i natrafi właśnie na pauzę, to człowiek staje wprost oszołomiony pod wrażeniem tego świeżego, melodyjnego, szumiącego śmiechu i perlistego świegołu. I żadne dziecko nie wywołuje tu rozdzwiku swoim

głosem. Ten śmiech jest taki niewymuszony, taki szczery, że muzyk, o ile chodzi o czystość i piękno tonu, nie potrzebowałby tu nic dodawać, ani ujmować.

A co to oznacza, możemy ocenić najlepiej, skoro wyobrazimy sobie te dzieci już jako młode kobiety i matki. Ich dzieci również wyrosną w jasnej pogodnej atmosferze ciągłego śmiechu i śpiewu. I nawet najskromniejsze domostwo staje się przybytkiem radości, ponieważ mieszka tam śmiech.

Ludwika twierdzi, że każda godzina nauki, którejby nie przerywał śmiech i wesołość, byłaby straszliwą udręką. Ludwika nie może sobie po prostu wyobrazić, by taka „cicha godzina“ przyniosła rezultaty dodatnie, bo w jej szkole takie godziny wcale nie istnieją.

Cała nauka u niej zamienia się w szereg radosnych, uroczystych chwil. Każde rozwiązane zadanie odczuwa dziecko, jak pokonaną już przeszkodę, czego nauczyciel i nauczycielka serdecznie mu winszują, nie szczędząc pochwały.

Jest to jedną ze złotych reguł tej szkoły, że dziecko ośmioletnie nie powinno się niczego uczyć na pamięć, czego by z radością jako sześćdziesięcioletni człowiek nie mogło powtórzyć. Tak więc uczy się dziecko na pamięć tylko tego, co jest bardzo dobre i najpiękniejsze, nie przeciąża się też jego pamięci zbytecznym balastem.

Gramatyka jest od niepamiętnych czasów dla wielu dzieci źródłem utrapienia, bo jest albo trudna, albo nudna, a wreszcie jedno i drugie.

A oto panna Klara, „genialne dziecko“, wynalazła metodę, jeśli to metodą nazwać można, podług której nauczanie gramatyki staje się ulubianą i wprost pożądaną zabawką. Przedewszystkiem otrzymuje każdy wyraz niejako kształt plastyczny, tak, że wyrazy stają przed oczyma dziecka jako coś żywego. I wtedy Klara porusza wyrazami, jak figurami i każe im wykonywać rozmaite czynności. Unika przemycania gra-

matyki uboczną drogą (n. p. gramatyka rymowana!). U niej gramatyka jest czemś ważnem, nieodzownem. Gramatyka staje się tańcem i gimnastyką słów, sprężynami, poruszającymi wyrazy. W dziecku budzi się przekonanie, że bez gramatyki, słowa nie mogłyby się poruszyć i wywracałyby się bezładnie, jak ołowiani żołnierze źle odlani. Wyniki tej metody są takie, że dzieci już w dziewiątym roku życia umieją i rozumieją gramatykę.

Jakkolwiek chodzi tu o gramatykę ojczystego języka, to jednak ten, kto z niezachwianą pewnością i swobodą poruszać się umie w budowie jednego języka, z łatwością przyswoi już sobie także inne języki. Wesoła gramatyka panny Klary staje się temsamem podstawą dla nauki wszystkich innych języków w szkole.

Gdyby tę wesołą gramatykę ktoś spisał, oczywiście byłoby to tylko możliwem podług fonograficznego zdjęcia, to stanowiłaby nieoceniony materiał naukowy. Ale panna Klara pojmuję to jako zabawę i absolutnie nie przyszłoby jej to nawet na myśl, by obcy i niepowołani mogli wglądać w życie jej wesołej gminy szkolnej.

IV. KSZTAŁCENIE ZMYŚŁÓW I PAMIĘCI.

Gdy się dzieciom pokazuje jakiś obraz, nie widzą w nim nic, dopóki się ich nie przyzwyczai, aby umiały obserwować i to, co zaobserwowały, zachować w pamięci.

Oto robi się próbę. Umieszcza się w klasie obraz i poleca dzieciom, aby mu się dokładnie przypatrzyły i zachowały w pamięci. Po godzinie obraz ten się usuwa i wzywa dzieci, by go opisały.

Żadne nie potrafi.

I jest to istotnie ciekawe, co za dziwotagi fantastyczne

wyprodukuje wówczas dziecko ze swojej pamięci w miejsce widzianego przedtem obrazu. Albo też powie: „Już sobie niczego nie przypominam“.

A teraz zawiesza się inny obraz i zwraca uwagę dziecka na każdy zawarty w obrazie szczegół, mówi o barwie, kształcie, proporcji i wszystkim, co zawiera. Dzieci zaczynają się interesować i już same od siebie zaczynają odkrywać coraz to nowe szczegóły, na które jeszcze nie zwrócono ich uwagi. W tym wypadku nawet po miesiącu dzieci potrafią opisać ten obraz, co więcej narysują go, jakby go miały przed oczyma.

Innym razem dzieci już same mają obserwować pokazany im obraz. Rezultat będzie ten sam. Przyswoiły sobie całość jasno i dokładnie. A jak różnorodną jest indywidualność dziecka, taką też jest oczywiście różnorodność opisów tego obrazu; wszystkim jednak wspólna już będzie nadzwyczajna dokładność, z jaką powtórzyły to, co widziały.

W rok później zwraca się do tego obrazu i pozostawia klasie dziesięć minut czasu na jego opisanie. Pokazuje się, że obraz z pamięci, choć nieco przyblakł, jednak nie stracił na dokładności. W dzieciach budzi to przeświadczenie, że umieją używać wzroku. Od czasu do czasu ponawia się tego rodzaju ćwiczenia wzroku i pamięci, a dzieci same najbardziej zadziwia ta różnica między tem, co sobie przyswoiły w chwili, gdy przedmiot obserwowały, a tem, co zachowały w pamięci. I budzi się w nich zrozumienie, że oczy ich są jako czułe zwierciadła, w których odbija się obraz widziany i utrwała w pamięci, jak na płycie fotograficznej i że nie należy ich używać bezmyślnie i patrzeć na ludzi i rzeczy, jak koń, co ma kłapy na oczach.

Od szóstego roku życia przyzwyczajają się tutaj dzieci, aby rysowały i uzupełniały kolorami wszystko, co podpada ich uwadze. Do wierszyków i bajek dorabiają sobie ilustracje, rysują góry, które widziały, zwierzęta, ptaki, owady i t. d. Ćwiczą się w ten sposób w patrzeniu; ale rysunek i opis

z pamięci to coś innego. Powoli przyzwyczajają się dzieci do patrzenia dookoła siebie uważnymi oczami gdziekolwiek są. A gdy pobudzoną została ich pamięć, wtedy nigdzie nudzić się nie mogą: najbardziej monotonna droga kryje dla nich moc niespodzianek.

Dochodzi do tego, że podchwytyują już charakterystyczne cechy rozmaitych mieszkań, a potem różnych dzielnic i miast, z których podczas podróży każde otrzymuje w pamięci swoje ściśle określone miejsce. Stąd wyrabia się zdolność oryentowania się. I tak na przykład podczas zwiedzania muzeów, żadne z nich nie będzie miało tego przykrego wrażenia, że gubi się wśród labiryntu dzieł sztuki. Okrążając powoli salę, zyskuje już od razu pewien pogląd na widziane dzieła i zatrzyma się dłużej tylko przy tych, które go zajmują, ale te już utrwali w pamięci z całą dokładnością.

Z takiego ćwiczenia „artystycznej pamięci“ już w dzieciństwie wyrasta dla człowieka dorosłego nieoceniona wprost korzyść i rozkosz z obserwowania dzieł sztuki. A w ten sposób, jak to przedstawiłam, nie jest to dla szkoły wcale trudną rzeczą. Zdaję sobie z tego sprawę, że nie wszystkie dzieci odznaczają się w tym kierunku równą pojętnością i wrażliwością; dla jednych pozostaje i całość i szczegóły czemś suchem i martwem, gdy dla drugich czemś, co tryska życiem. Ale w tem leży cała doniosłość tej kwestyi; powinno się dzieci nauczać, aby jak najlepiej korzystały ze zmysłów, którymi władają.

Dziecko, które po miesiącu potrafi dokładnie narysować obraz widziany raz tylko, zdoła podczas przechadzki nie tylko czuć zadowolenie z rekreacji, ale wyczuje też bezwiednie niezmierną różnorodność w barwie, odcieniach, kształcie i ugrupowaniu drzew, w kolorach nieba i chmur; będzie śledziło ruchy poszczególnych drzew podczas wiatru i, nie zdając sobie z tego sprawy, chłonać będzie wszelakie świergoty i poszumy w ich konarach; wyczuje różnorodność tonów ze szelestu ich liści.

Dusza dziecka zawsze stoi otworem dla poezji, może chłonąć poezję wszystkimi zmysłami.

— — — — —
Ale też i takie dziecko nigdy świadomie przed sądem fałszywie świadczyć nie będzie, jak się to jeszcze teraz niestety dzieje ku hańbie ludzkości.

V. PAMIĘTNIKI DZIECIĘCE.

Dzieci mają niekiedy zwyczaj pisać pamiętniki, które przed okiem starszych ukrywają starannie. Przypadek chce często, że ktoś z dorysłych odkrywa taki pamiętnik, a wtedy, zależy to od charakteru rodziców, jak się wobec tego zachowują. Jedni przesadnie wychwalają dziecko, odczytując na głos pisane w tajemnicy pamiętniki, nierzadko przed gośćmi, aby ich „zabawić“ naiwnością myśli i uczuć swego dziecka, — dla drugich służy taki pamiętnik dorosłym jako broń zatruta przeciw dziecku, którego tajemnice przywłaszczyli sobie „w sposób szpiegowski“.

Tym, którzy nie mają tyle poczucia delikatności, aby zrozumieć, że wykradać taki pamiętnik jest to jeszcze coś gorszego, niż okradanie trupów, nie powinno się dozwoić, aby rozłaczali opiekę nad dziećmi.

I oto powód, dla którego należałoby wielu dzieciom odradzić pisanie pamiętnika. Zdarzyło się bowiem, że podrażniona ambicya dziecka, wrodzone jego poczucie sprawiedliwości i etyki, tak ucierpiały z powodu „odkrytego“ pamiętnika, że wypadek ten, na pozór mało znaczący, doprowadził przecie rozżalone dziecko do samobójstwa.

Ludwika zna rodziców swoich uczniów i uczennic. Wie, którym dzieciom doradzić pisanie pamiętników, a które odwieść od tego zamiaru.

Korzyści z pisanie dzienniczka dla studyowania wła-

snego charakteru, nie mogą być dość wysoko oceniane. Oczywiście, że dziecko pojąć tego nie potrafi, ale korzyści wynikają same przez się i oddziaływać także mogą zbawiennie.

Dobrze jest, jeśli dziecko odczuwa obowiązek, nad którym nikt nie rozłącza kontroli. Podczas gdy sobie coś zapisuje w dzienniczku, jest w całym tego słowa znaczeniu, sam na sam z sobą. Zastanawia się nad swoimi uczynkami, a dzienniczek, to jego powiernik, coś, jakby sumienie, którego ani zwodzić, ani zbywać pozorami nie można. Dziecko uczy się rozróżniać rzeczy istotnie ważne od rzeczy błahych; uczy się też samodzielności, uczy się wytwarzać zasady, na które nie wpływa chwilowy kaprys.

Dzienniczka nie powinno dziecko prowadzić dla rozrywki, bo tej ma dość skądinąd; dzienniczek ma dać dziecku możliwość skupienia się w sobie.

Ale w dzienniczku wolno też dziecku i marzyć swobodnie; on nie zdradzi, można mu się śmiało powierzyć, nie obawiając się nieporozumienia; on nie wyszodzi, ani nie przerwie brutalnie biegu marzeń. A gdy coś ciąży na sercu, wówczas sprawia to dziecku ulgę, jeżeli może swobodnie wynurzyć swoje myśli.

Lecz powinno się pouczyć każde dziecko, jak to pisuje się pamiętniki. Należy przedewszystkiem jak najczęściej z niem o tem rozmawiać, a to, aby się dowiedzieć, co dla dziecka ma największe znaczenie. Oczywiście, że wynurzenia dziecka będą różne, zależnie od jego charakteru i skłonności; ale ogólne wskazówki, jakich tu można udzielić, będą równe dla wszystkich.

Cóż więc zawierać powinien dobrze prowadzony dzienniczek?

Przedewszystkiem radzić należy dziecku, aby zapisywało w pamiętniku każdą wielką radość.

Należałoby także omówić w pamiętniku wszystkie wielkie troski dziecięce; ale nie potrzeba, żeby się tem dziecko zanadto gnębiło. I tak już prędzej zapamięta każde zmartwienie, aniżeli radosne w życiu chwile.

Dobrze jest zapisywać każdą nową znajomość i wszelkie doznane po raz pierwszy wrażenia. Przez to przyzwyczajają się dziecko do uważnej obserwacji i pewnej wstrzeźliwości w wypowiedaniu swoich sądów. Powinno też dziecko notować tytuły i treść przeczytanych książek. Kiedyś przypomni sobie, jakie wrażenie te książki wywarły i pozna, jak rozwijały się stopniowo jego wyobrażenia i poglądy i jakie skoki w tym rozwoju się zaznaczyły.

Należałoby doradzić dziecku, aby przepisywało do dzienniczka te wiersze, które nastrojem, melodyą lub rytmem wywarły nań wrażenie silniejsze; a dalej, aby także zanotowało wrażenia z przedstawień teatralnych i koncertów, podobnie, jak tytuły obrazów, które podobały się szczególnie. Jeżeli można, niech dołączy i zachowa sobie reprodukcje tych obrazów, lub wyciąg z programu przedstawień czy koncertu. W ogólności niechaj zanotuje wszystko, co widzi pięknego, przyczem rzecz widzianą należy opisać jak najdokładniej.

Zapiski tego rodzaju skrupulatne dziecko zanotuje z całą akuracnością. Dziecko o bujnej wyobraźni uczyni to z poetyckim połotem.

Niechaj także notuje wypadki współczesne i wrażenie jakie nań wywarły. Jest to niezmiernie ciekawe, jak dziecko odczuwa i jakie tworzy sobie wyobrażenia, gdy po raz pierwszy słyszy o wojnie, albo o zderzeniu pociągów, o zatonięciu okrętu, o śmierci i t. p. rzeczach.

Mogą też w pamiętniku znaleźć miejsce zabawne wyrażenia młodszego rodzeństwa, jakoteż kolegów, przygody ze zwierzętami, a wreszcie niech zapisuje zmiany, jakie noszą z sobą rozmaite pory roku; obserwacje, poczynione na wycieczkach i na przechadzce.

Niechaj przepisze życzenia przesłane innym osobom i wykaz podarunków, otrzymywanych przy rozmaitych okazjach. W noc Sylwestrową niechaj spisze wszystkie życzenia, których spełnienia pragnie.

Raz do roku niechaj popróbuje skreślić charakterystykę swoją własną bez obawy uświadomienia sobie istotnej prawdy. Jeśli na przykład napisze: „Jestem skąpy“ albo „Jestem krnąbrny“, wówczas już starać się będzie o to, aby pozbyć się tej wady, choćby to miało kosztować wiele wysiłku. A uczyni tak właśnie dlatego, ponieważ będzie to już sprawą rozgrywającą się między dzienniczkiem a jego sumieniem.

Wyznanie, które powierza się dziennicznikowi, nie jest przykrem. Wszystko jest takie zrozumiałe samo przez się, bo jest prawdziwe.

Radości i smutki „miłosne“ odgrywają w pamiętnikach wielu dzieci rolę niepoślednią, zupełnie, jak w życiu.

Większość dzieci — trudno temu zaprzeczyć — ma smutne dzieciństwo. Winno temu nietylko otoczenie. Są dzieci, które wszędzie dookoła upatrują krzywdę. Jeśli takie dziecko przyzwyczało się zapisywać sobie każdy dowód miłości ze strony rodziców, krewnych i znajomych, to w jakiś czas potem, sprawiedliwiej ich osądzi. Dziecko, które nauczy się być wdzięcznym, ma o wiele więcej radości, niżeli te dzieci, które widzą tylko zło dookoła.

Dziecko, zapisując sobie swoje „doświadczenia miłosne“ zyskuje sposobność do wypróbowania siły i trwałości swoich uczuć. Dzienniczek nie skarci niewczesnych zapalów i nie wyśmiewa ich szydersko, ich przedmiot ulegnie zmianie. A zwierzyć się komuś trzeba, gdy serduszko przepełnione radością, lub smutkiem.

Człowiek dorosły nauczy się wiele z tych pamiętników pisanych między ósmym, a osiemnastym rokiem życia. Dochodzi się do źródeł samopoznania, a co ważniejsze i... do zrozumienia duszy dziecka.

Zapomina prędko człowiek dorosły, jak myślał i czuł w wieku dziecięcym. Życie przynosi z sobą zapomnienie i prze-

suniecie myśli i uczuć. Pamiętnik dziecka jest szczerzy i można na nim prędzej polegać, niż na wspomnieniach.

Kto nie pamięta własnego dzieciństwa z wszystkimi jego radościami, troskami i błędami, ten kiepskim jest wychowawcą. Taki dzienniczek z lat dziecięcych daje nam niezbity dowód, że niezliczone były nasze głupstwa, któreśmy wówczas popełniali i że to wszystko, co dorośli nazywają „zbrodnią“, były to przewinienia, które powstały z nieświadomości. Gdy zaś wniknie się głębiej w tę sprawę, nie trudno będzie dostrzedz, że nasze własne błędy w mniejszym, lub większym stopniu, spotykamy u naszych dzieci. Świat jest wieczny, a wszelkie na nim sprawy powtarzają się.

W końcu uwaga:

Jeśli dajemy dzienniczek dziecku, należy dołączyć doń kluczyk.

A jak rodzice winni bezwarunkowo uszanować tajemnice dzienniczka, tak znowu dzieciom należy wpajać pełne poczucie moralności za swoje najdyskrytniejsze sprawy osobiste.

Wtedy dzienniczek będzie stanowił ochronę przeciw jednej pokusie, a da wiele, nieskończenie wiele radości.

VI. TRZY SIOSTRY.

Ludwika mawia: Ideałem nauczyciela byłby człowiek, któremu przypadłby w udziale przemily i czarujący uśmiech, zdobywający mu serca dzieci tak dalece, że czynią wszystko, aby raz po raz znowu go wywołać. Czar takiego uśmiechu działa niezależnie i bez względu na to, czy człowiek ten ma wzrost wspaniały i ładne rysy twarzy. Piękność przemawia do naszego wzroku, ale uśmiech przemily bierze w posiadanie nasze wszystkie zmysły, trafia do rozumu i do serca.

Kto zna źródło owej siły wzajemnego przyciągania się ludzi? I czy istnieje ono w rzeczywistości, czy też jest tylko

złudzeniem? Są nauczyciele, którzy n. p. dzieciom hiszpańskim potrafiliby przysporzyć wiele wiadomości, nie znając języka hiszpańskiego. Siła przyciągania pośredniczy tu w udzielaniu wiadomości.

Często nie umiemy sobie wytłómaczyć, dlaczego dzieci w jakiejś klasie kochają swego nauczyciela; potem dopiero okazuje się, że dzieci miały słuszość. Dzieci nie trwonią swej miłości dla niegodnych, jak to często czynią starsi.

Nie zna duszy dziecka nauczyciel, który niepokoi się tem, że nie może dać odpowiedzi na wszystko, o co go dzieci pytają. Wprawdzie jest tak, że dziecko skłania się do przypisywania autorytetowi nauczyciela jakiejś władzy nadprzyrodzonej, ale bóstwa nie spadną w pojęciu dziecka z piedestału, gdy się przekona, że nie posiadają spodziewanej wszechwiedzy. Owszem, przypuścić można napewno, że najwięcej kochać będzie takiego nauczyciela, który powie szczerze: „Nie mam pojęcia o rzeczy, o którą mnie pytasz; ale możemy zaraz popatrzyć do encyklopedyi, a dowiemy się“.

Jest wielu takich nauczycieli, co to, wchodząc do klasy, nakrywają właściwą sobie fizygnomię jakimś sztucznym wyrazem, ponieważ sądzą, że to najlepiej odpowie ich stosunkowi do dzieci. Jest to fatalną pomyłką; nauczyciel nie powinien tego czynić żadną miarą. Dzieci mają pod tym względem genialne wprost odczucie i poznają w tej chwili, co jest udawaniem, a co jest szczerem. Więc czy to będzie nieznośny pedant, czy też pobłażliwy i wyrozumiały nauczyciel-idealista, będą obojgu tak samo szanowały, byle jeden i drugi był szczerzy; a znienawidzą, jeśli odczują jaką sztuczność — — —

A oto mamy mówić o trzech siostrach nauczycielkach, z których każda, mimo znacznych różnic w charakterze, potrafiła zdobyć nadzwyczajną władzę nad duszami dzieci.

Eliza jest może dziwaczką. Młodość miała niewesołą; dokuczano jej bardzo, a skutek był taki, że straciła zaufanie do swych zalet umysłu, jak i wyglądu zewnętrznego. Obecnie

pogodziła się z losem. Żyje w świecie, który sama stwarza dla dzieci, w jakimś czystszy, dostojniejszym, idealniejszym, niżli ten, widoczny dla drugich. Serce jej bije gorąco dla przyrody i dla dzieci. Najchętniej zostałaby nauczycielką upośledzonych dzieci, n. p. głuchoniemych, albo ślepych, wreszcie niedorozwiniętych. Nie objęła tego posterunku i oto usiłuje wyrównać przepaść, dzielącą dzieci szczęśliwe od tych, które pozostały w cieniu.

Posiada ona dar cudowny: umie ozłocić dzieciństwo tym upośledzonym, niezrozumianym, często prześladowanym. — Dziecko, uznane jako zdolne, zdrowe i ładne, traktuje z tą zdrową naturalnością, która doskonale utrzymuje równowagę między tem, co jest, a co wytworzyć pragnie, podczas gdy dziecko, przez los mniej szczęśliwie uposażone, spotyka tutaj tyle miłości i tyle duchowej pogody, że mu tych skarbów, które tu zaczerpnęło, starczy na całe życie.

Dziecko, które pod opieką Elizy spędziło cztery lata — na taki to okres czasu pozostawiono jej kierownictwo klas — nie może być ani tak bardzo samotne, ani tak bardzo ubogie, żeby aż nieszczęśliwym się czuło. Przy niej odtajały serduszka, rozwinęły się dusze tych dzieci.

Klasyfikację w szkołach normuje się zazwyczaj podług tego, jak dzieci odpowiedziały na postawione zadanie. Inaczej zupełnie dzieje się w klasie Elizy. Gdyby dzieci z jej klasy zapytać: które uważają za najlepszego ucznia, możeby wymienili najmniej zdolnego; dobry stopień w nauce u zdolnych uczniów, uważać zwykły za coś, co rozumieć należy samo przez się, podczas gdy niezdolnemu uczniowi winszują, jeśli tylko udało mu się jako tako wypowiedzieć zadaną lekcję.

Nieśmiało budzącą się myśl wyczytać dzieciom z oczu, tajone troski odkrywać, dać się wypłakać rozżalonemu dziecku, które dławi się łzami — oto cudne dzieło Elizy.

Podczas pauzy Eliza nie szuka towarzystwa innych nauczycielek; nie opowiada im także nigdy o swoich uczniach

i uczennicach; onaby to nawet nazwała zdradą, popełnioną na dzieciach.

Ale wystarczy przejść obok jej klasy, a usłyszysz się, że tam dzieci jak ptaszka świegocą i śmieją się radośnie, szczerze. I Eliza bawi się z niemi; przeżywa razem z dziećmi to ich dzieciństwo, choć nie odgrywa dziecinnej i nie zniża się do ich poziomu. Jest ona tym dzieciom matką, a nawet więcej jeszcze, bo niewiele jest takich matek, któreby, jak ona, zwracawszy z uciechami światowemi, tak całkowicie i tak umiejętnie oddać się potrafiły dziecku.

W stosunku swoim do dzieci Eliza jest prawie odosobniona od reszty szkoły. Nikt z obcych nie może być obecny na jej lekcyach; nigdyby też nie pozwoliła żadnemu z nauczycieli, ani nawet samej Ludwice, temu opiekuńczemu duchowi zakładu, przeszkadzać sobie podczas nauki. Żadnego popisu nigdy nie urządza, twierdzi bowiem, że toby na szwank narażiło czystość dusz dziecięcych. Nie pozwala też żadną miarą, aby ktokolwiek, prócz niej samej, przeglądał zeszyty i listy dzieci.

Uroczystości szkolne i wycieczki urządza zawsze osobno dla dzieci swojej klasy.

Jednak mimo, że metoda jej nauczania otoczona jest tajemnicą, rezultaty rzucają się wprost w oczy. Chłopcy z jej klasy są rycerscy, a dziewczynki ogromnie kobiece, delikatne i subtelne w postępowaniu i w pożyciu. Dzieci są wesołe, ale nie dzikie, nie podlegają wpływom złego humoru, ani zmianie powietrza. Nigdy się między sobą nie sprzecają, nigdy jedno drugiemu nic przykrego nie powie. Nerwowe dziecko, pod wpływem Elizy, uspokaja się zupełnie; jeśli jest zarozumiałe, staje się skromne; nieśmiałe dziecko odzyskuje pewność siebie; sławna, mała piękność przestaje być próżną, a brzydka dziewczynka promienieje radością, bo oto cała klasa orzekła, że ładnie jej z nową wstążką we włosach.

Przy końcu roku szkolnego dzieci z klasy Elizy odznaczają się dobrymi stopniami we wszystkich przedmiotach.

Druga z sióstr, Zofia, urodziła się już artystką. Jej usposobienie jest zmienne, ale przytem niezwykle ujmująca, bardzo inteligentna, żywa, jak iskra. Wszystkie dzieci kochają się w niej „na wyścigi“.

W przeciwieństwie do Elizy, jest ona przedewszystkiem wychowawczynią uzdolnionych dzieci. Wprawdzie kieruje się serdeczną względnością i w stosunku do tych upośledzonych, ale wypływa to raczej z litości, a nie ze zrozumienia. Jej temperament i pogląd na życie skłaniają się ku dzieciom, które posiadają wrodzony zmysł artystyczny. Już zaraz w pierwszych dniach nauki szkolnej, obserwując mimikę i ruchy dzieci w swojej klasie, odgadła, które z nich pisze wiersze, które gra, lub tańczy, maluje, czy też ma talent aktorski. Jest ona sumienną nauczycielką dla dzieci przeciętnych, ale jej nadzwyczajne zdolności rozwijają się dopiero, gdy pokierować ma jakimś wybranem dzieckiem, obdarzonem szczególnymi talentami.

„Każde dziecko, to cudna, nienapisana bajka“ — mówi Zofia. A mimo swojej artystycznej natury posiada ona niewyczerpaną cierpliwość i w skrupulatnem wypełnieniu wszelkich obowiązków. Jej organizatorski talent sprawia, że zdobyła władzę nad tym różnorakim żywiołem dziecięcym prędko i bez opozycji. Wystarczy, aby skinęła głową, ba, dość cienia uśmiechu, ledwo dostrzegalnego mrugnięcia powieką, a wszystkie dzieci wiedzą, czego od nich żąda i co mają czynić. — — —

A teraz trzecia, Klara. Jest w niej coś z wesołego, szczerzego dziecka. Genialna w rodzaju takim, jak to dzieci bywają genialne. I podobnie jak dzieci, zdaje się mieć nie pięć a sto zmysłów, tyle posiada świeżej wrażliwości. Wszystko ją zadziwia i nad wszystkim się unosi. Kiedy uczniom swoim opowiada naprzykład o kuli ziemskiej i cudach przyrody, wówczas zda się, że wsłuchuje się we własne słowa z tem samem, co i oni przejęciem. Z dziećmi bawi się głównie dlatego, że to jej samej sprawia ogromną przyjemność. Ponieważ jest najchętniej-

szem, najbogatszem we wiedzę, a nadewszystko najbardziej ulubionem dzieckiem swojej klasy, przeto jest rzeczą zupełnie naturalną, że w jej ręku spoczywa przewodnictwo.

Ciągle odkrywa jakieś nowe metody nauczania, które są zawsze zachwycającą zabawą i ani wie, ile w tem kryje się genialności. Gdy wchodzi do klasy, wiedzą już dzieci, że teraz rozpocznie się najmiłsza godzina lekcji. A cóż dopiero mówić o wycieczkach, które urządza! Stają się jakby wyprawą odkrywczą, a wśród najpospolitszej drogi, przeżywają dzieci nadzwyczajne przygody, że w kąć iść mogą Robinson Kruzoe, Cooper, Nik Carter.

Klara uczy dzieci rysować mapy okolic, które zwiedzają; potem wędrują podług tych map „sztabowych“. Biada, jeśli w nich okażą się pomyłki. Wszak mogłoby się kiedy zdarzyć, że trzeba będzie przewędrować lasy dziewicze, rozbijać góry niebotyczne, spijać całe morza... Dzieci słuchają z zapartym tchem i usiłują przejąć się wielkością takiej sytuacji.

Miłość dziecka Klara traktuje z większą powagą, niż miłość dorosłego człowieka. Z pewnościąby się roześmiała głośno na oświadczeniu epuzera; ale list miłosny malca z jej klasy przyjmuje z zachwytem.

To też w klasie, której gospodynią jest Klara, kwitnie „erotyzm“, a maleńkie pary miłosne siedzą obok siebie, otoczone protekcją Klary i całej klasy. Ta opiekunka milusińskich — a za nią cała szkoła — rozumiała to doskonale, że miłość jest w życiu daleko ważniejszym motorem, aniżeli sucha wiedza.

I broni Klara tej miłości swoich pupiłów i pupilek całą siłą szczerzego przekonania.

Czas spędzony w szkole, wydaje się uczniom Klary jakby ucztą nieprzerwaną, ucztą chwili obecnej, ucztą w oczekiwaniu, a potem — i ucztą we wspomnieniu. Ciekawość wiedzy, która jest tak żywą w każdym dziecku, Klara umie wykorzystać zarówno dla szkoły, jak i dla życia. I dzieci, jej opiece oddane,

mają to uczucie, że ona zawsze powie im właśnie to, o czym pragnęły się dowiedzieć w danej chwili.

I co Klara osiągnęła swoją metodą? Oto zadania wyrabiane w jej klasie są najlepsze, najmniej w nich ortograficznych błędów, najstaranniej są napisane.

Podczas lekcji rachunków, zwłaszcza w pamięci rozwiązywanych, Klara zaprowadziła krótkie ćwiczenia gimnastyczne; a śpiew choralny łączy z odpisywaniem z tablicy.

Dzieci trenują równocześnie pamięć i poczucie samodzielności. A wszystko, co czynią, wykonują z przeświadczeniem, że: „skoro panna Klara orzekła, iż to zrobić potrafią, to z pewnością tak jest“. I otóż rodzi się ta ufność, która w dalszym życiu pokonać zdoła największe przeszkody.

Uczniowie i uczennice Klary żywią zdrową miłość do wszystkiego, co żyje, do całego w ogóle świata. Każdy liść zwiędły ma dla nich jakieś znaczenie. W ich postępowaniu jest naturalna przyzwoitość, a nie uważają tego jako cnotę. Popelniają też mnóstwo małych wybryków, a nie odczuwają ich jako grzech, któryby miał obciążyć ich sumienie. Do wszystkiego przyznają się otwarcie. Nie znają tego, co to znaczy szeptać po kątach, lub „na ucho“; tak samo nie rozumieją po prostu, jak można kłamać. Kłamię się wówczas, kiedy się z czemś ukrywać trzeba; a któżby tutaj zataił cośkolwiek, skoro z takim zachwytem przysłuchują się wszystkiemu, o czym się mówi.

U Klary w klasie odbywają się najliczniejsze zaręczyny. Ścisłość każe jednak zaznaczyć, że bardzo wiele z tych zaręczyn... rozchodzi się.

VII. KLASA WSTĘPNA.

W szkole Ludwiki nie wolno odprowadzać dzieci dalej, niż do bramy szkolnej. Same muszą wejść i same wstępować powinny na schody. Choć maleństwa słyszały, że w szkole

tej można się bardzo przyjemnie bawić, to przecież, gdy nadejdzie ta wielka chwila, kiedy po raz pierwszy mają wejść do szkoły, ogarnia je ogromny lęk. Zaczynają szlochać i zatrzymują się przy schodach.

I tutaj właśnie spotyka taką biedną duszyczkę panna Zofia i bierze płaczącego malca za rączkę.

— Boisz się? Ja także się boję. A może tak razem pójdziemy na górę?

Panna Zofia jest drobna i mała, i dziecko naprawdę w to wierzy, że i ona się boi. Idą razem. Po drodze zauważy taki bęben jej długą sukienkę i rodzi się w nim nieufność.

— Ty jesteś nauczycielką?

— O, nie! Bawię się tylko z dziećmi.

I pomimo, że dzień w dzień spotykają się z panną Zofią, nie odczuwają tego, że ona nietylko się z nimi bawi, ale je także bardzo wiele uczy.

Wchodzą do klasy. Panuje tu rozgwar i hałas nie do opisania. Panna Zofia zaczyna opowiadać historię o lwie. Kiedy opowiada się o zwierzętach, wszystkie dzieci okazują niezmiernie zainteresowanie. Jedno widziało już lwa w zoologicznym ogrodzie, inne o nim słyszały. Zaczynają o tem rozpowiadać, a jedno chce przekrzyczeć drugie. Panna Zofia poucza, że tylko jeden uczeń mówi, a ten, co mówić pragnie, powinien podnieść dwa paluszki.

Jakiś chłopczyzna namyśla się długo, podnosi rękę, porusza palcami, potem zgina jeden, drugi i trzeci palec, a wreszcie zaczyna płakać.

— Chcę opowiedzieć, co wiem o lwie — woła z płaczem — tylko nie mogę znaleźć tych dwóch palców, które mają się podnieść.

Wszystko możliwe i niemożliwe opowiada się o lwie, a raczej a propos lwa. Najmniejsze dziewczątko podnosi do góry paluszki, wstaje i opowiada: „Razu jednego szliśmy przez łąkę, więc tam leżał umarły ptaszek i myśmy pochowali tego ptaszka“.

Panna Zofia zwraca jej uwagę, że mówi się teraz o lwie. Dziewczynka nie daje się jednak zbić z tropu, podnosi znowu paluszki w górę i mówi:

— Ale to nie był lew, tylko ptaszek.

Jedna z nauczycielek zaprowadziła w tej szkole coś, co zwie się zadaniem pilności. Polega to na jakiejś pracy, którą uczniowie, zarówno z klas normalnych, jak i średnich, wykonują w domu. Panna Zofia powiada do jednego z chłopców swojej klasy:

— Słuchaj, a możebyś sporządził jako zadanie pilności, ładną chorągiewkę.

Chłopczyk wykonał polecenie i przyniósł do szkoły własnoręcznie zrobioną chorągiewkę. Panna Zofia okazała radośne zdumienie i pochwaliła ucznia.

I oto zaraz na drugi dzień poznosiły inne dzieci... dziwne rzeczy. Jedno przyniosło piłkę, drugie chrabąszcza, inne znów nieco nadgryzioną figę.

Panna Zofia rzekła zdziwiona:

— Ależ moje dzieci! Wszakże dzisiaj nie są moje imieniny!

A na to dzieciaki chórem:

— To są nasze zadania pilności.

Zrozumiały, że zadaniem pilności jest wszystko, co może rozradować nauczycielkę.

Później oczywiście uczą się, co to są zadania pilności i podziwiać trzeba, jak dalece stają się pomysłowymi. Jedno przynosi ćwiartkę papieru, zapisaną samymi przecinkami; drugie pokazuje swoje dziesięć paluszków z paznogietskami błyszczącymi, jak u eleganterki i powiada, że to kosztowało немало godzin pracy. Inne wreszcie przedkłada szmatkę flanelową.

— Co to jest? — zapytuje panna Zofia, oglądając szmatkę na cztery centymetry długą a na dwa szeroką i w środku rozciętą.

— To spodeńki dla mojego dziecka, jak je będę miał — brzmi odpowiedź.

Dzieci ćwiczą piosenkę francuską, w której powtarza się słowo „sans souci“. Nauczycielka zapytuje, czy rozumieją, co to słowo znaczy.

— Ależ naturalnie! — wołają dzieci.

I każde opowiada, że już wie, co to jest mieć zmartwienie.

Fredzio przytacza przykład:

— Włosy mamusi zaczynają siwieć, a tatuś się gniewa i powiada, żeby ich nie farbować.

Janek wzdycha:

— Ach, nasza kucharka tak się kłóci z mamusią!

Anusia woła:

— A moi blaszani żołnierze nie chcą stać prosto; jak jeden się przewróci, to już wszyscy upadają, a ludzie myślą, że polegli na wojnie.

Karolek robi ponurą minę i żali się:

— Łucya nie chce ugryźć z mojego jabłka.

Karolek kocha Łucyę. Codziennie przynosi z sobą do szkoły dwa jabłuszka i ofiaruje jedno z nich Łucyi. Lecz dziewczynka potrząsa główką i pokazuje, że ma swoje.

— Ja cię kocham i dlatego musisz ugryźć.

Gdy i to nie pomaga, Karolek jest niepocieszony, a ten ból swój przedkłada nauczycielce i współkolegom.

Erneś jest urodzonym dyrygentem; trzeba go widzieć, kiedy ćwiczy tańce z kolegami. Niemożliwości zdają się dla niego nie istnieć; nie pojmuje, że nie można równocześnie dyrygować i przewracać nuty dla małej Kasi, w której się właśnie kocha, i grać na skrzypcach. Panna Zofia pomaga mu w tem wszystkiem, a on tę pomoc łaskawie przyjmuje. Jeśli dyryguje, to wtedy usiłuje naśladować wszystkie ruchy kapelmistrza; odsuwa z nad czoła niesforne kosmyki włosów, lewą ręką ucisza rzekomo znajdujące się w głębi basy, robi kunsztowne pauzy, nakazuje zamierające pianissima. Jest po prostu niezrównany. Właśnie skończył swoją najnowszą kompo-

zycę i przynosi zeszytek do panny Zofii z prośbą: „żeby tę rzecz doprowadziła do porządku“.

Panna Zofia odbiera zeszyt z poważną miną i dobrotliwym uśmiechem. Ogląda, a widząc, że linie zapisane są nutami bez związku, zapytuje, co to ma być.

Erneś odpowiada poważnie:

— To przecie jest marsz tryumfalny. Nie widzi pani?

Perswadować, że tak nie jest? Panna Zofia cierpliwie składać zaczyna rozbite tony w ten sposób, aby wydobyć jaki taki takt; gdy ułożyła melodyę, siada do fortepianu i próbuje grać. Erneś przysłuchuje się, kiwa główką i tłumaczy, jak to on sobie to wszystko wyobrażał. I jest o tem przekonany, że jego marsz tryumfalny jest „taki sam dobry, jak w Tanhäuserze“.

Podczas pauzy panna Zofia dostaje następujący list: „Prosimy Panią o bardzo ważną radę. To jest bardzo ważne. Lili napisała list do Kasi, a Hela chce go także przeczytać. a Lili nie pozwala. Wyrwała Heli list z ręki, a Kasia okropnie się rozgniewała. Lili chce mieć ten list, a Hela już go czytała i teraz Lili jest okropnie zła. Ona przecie bierze udział w przedstawieniu gwiazdkowem, a jest strasznie obrażoną. Niech nam Pani pomoże, ale prędko, bo jesteśmy bardzo zmartwione...“

Henryś podnosi dwa paluszki w górę i prosi, aby się mógł zbliżyć do katedry i powiedzieć „jedno słóweczko“ do uszka panny Zofii.

Panna Zofia pozwala.

— Zawsze myślałem, że Helenka, to anioł. Ale dzisiaj to ona spojrzała na mnie takim złym tonem. (Ciekawy sposób wyrażenia się dziecka. Chłopak nie pomieszał spojrzenia z tonem, ale je połączył). A teraz widzę, że jest szkaradna. Czy ona może jeszcze być piękną, proszę pani?

Podczas wykładu o ptakach wędrownych, mówi mała Lucynka:

— Tej nocy nie mogłam spać. Mamy dostać małe dziecko. A przecie teraz bociany są w ciepłych krajach. Więc boję się, że nie będziemy mogli dostać naszego dziecka.

Panna Zofia codziennie gra na skrzypcach i dzieci chętnie się przysłuchują. Mały Rudek zakochał się w Gertrudzie i chciałby także grać na skrzypcach, żeby się popisać przed Gertrudą, bo wtedy i ona się w nim zakocha. Więc zamęcza matkę, żeby mu kupiła skrzypce.

— Przecie nie umiesz grać! — perswaduje matka.

Rudek nie chce ustąpić, przekonany o tem, że zagra bardzo pięknie.

— Umiem grać, jak ptaki śpiewają... jak róże... jak chmurki... Ale muszę mieć skrzypce...

Wreszcie chłopak dostaje skrzypce i uszczęśliwiony przynosi je do szkoły. Pokazuje jak zagra, przykładą smyczek do strun, uśmiecha się wniebowzięty do Gertrudy...

Niestety, nie potrafił zagrać. Rozpacz jego jest straszna.

Panna Zofia zarządziła, by każde dziecko zaśpiewało piosenkę, jaką sobie dowolnie wybierze. Gdy przyszła kolej na Wilusia, ten zaczyna opowiadać bajeczkę o Czerwonym kapturku. Przerywają mu, przypominają, że powinien zaśpiewać. Nie zważa na to i opowiada dalej. Wreszcie panna Zofia mu tłumaczy, że powinien coś zaśpiewać a nie opowiadać, skinął główką, że już zrozumiał, i zaczyna śpiewać na melodyę kołyski bajeczkę o Czerwonym kapturku.

Marcinek, to w swoim rodzaju oryginał; chce wszystko zrobić na swój sposób. Nie jest przekorny, ani nie udaje, ale fantazja jego jest tak silna, że wszystko przybiera formy osobliwe. Razu pewnego ma zadane wypełnić całą kartkę zeszytu literą *i*. Nazajutrz przedkłada kartkę, na której widnieje jedno ogromne *i*. Panna Zofia przyjmuje to z zupełną powagą i spokojnie mu tłumaczy, że jest to rozrzutnością, wszak można na takiej kartce napisać sto *i*. Marcinek odbiera kartkę, idzie do ławki i odwrotną stronę kartki wypełnia w przeciągu pół

minuty wężykowatemi liniami zygzaków; mają to być szeregi połączonych ze sobą *i*. Kartkę tę oddaje nauczycielce.

Panna Zofia nie jest tem zachwycona.

— Ja nie umiem innych *i* pisać — odpowiada Marcinek.

— Zostaniesz ze mną w klasie po lekcji — oświadcza panna Zofia. — Pokażę ci, jak należy pisać literę *i*.

A Marcinek patrzy na nią chwilę; zaczyna klaskać w ręce i woła uradowany po przez całą klasę:

— Hurra! Wy musicie iść do domu, a mnie będzie wolno tutaj zostać!

Panna Zofia opowiedziała mi następujące zdarzenie: Miała w klasie niesfornego ucznia. Przy kim go tu posadzić? I oto przyszło jej na myśl, że sąsiedztwo grzecznej, doskonale ułożonej dziewczynki, wpłynie bardzo korzystnie na tego małego łobuza. Dziewczynce było na imię Małgosia. Siedziała dotychczas obok grzecznego ucznia, ale ten właśnie wyjechał z rodzicami za granicę dla dłuższej kuracji. Wszystko składało się więc pomyślnie, jak mniemała. Obok grzeciutkiej Małgosi zajął miejsce niesforny Kostuś.

— Nie pojmuję dzisiaj — tak zwierzała się panna Zofia w dalszym ciągu — że w ogóle powziąć mogłam myśl podobną; zdawało mi się, że znam dzieci, że rozumiem duszę dziecka, a nie zauważyłam nawet, ile cicha, grzeczna Małgosia cierpi z powodu tego sąsiedztwa. Siedziała cicho, w sobie skulona. Duże jej błękitne oczy wpatrywały się we mnie poważnie i z dziwnym smutkiem. Widziałam ten smutek. „Ot, oczy Magdusi!” — pomyślałam i byłam spokojna. Aż jednego dnia wyczytałam w tem spojrzeniu, jakby wyrzut i skargę. Lecz dalej nic z tego nie rozumiałam. Zapytałam tylko: „Czy chcesz czegoś odemnie, Małgosiu? Cemu jesteś dzisiaj taka poważna?” Żadnej odpowiedzi. Nawet nie mrugnęła powiekami, ale jej oczy stają się coraz większe, coraz smutniejsze, cieniem jakimś przestaniają się źrenice. Dopiero w południe zauważyłam na moim stole list, który, który tam leżał od

dziewiętej. Pismo nie zdradza, że kreśliła je drobniotka dłoń, która od niedawna dopiero nauczyła się stawiać litery.

Oto treść listu:

„Kochana Pani! Bardzo chciałabym prosić, żeby Kostuś wrócił na swoje dawne miejsce. On mi dokucza. On się bardzo wierci, a ja mam tróję z pisania przez niego i on temu winien*).

Małgosia“.

VIII. OŚMIOLETNI LITERACI.

Dzieci tej szkoły posiadają zadziwiające poczucie stylu obok niezrównanej wprost zdolności wyrażania tego, co myślą i co czują bez żadnej obawy i jakiegoś tam konwenansu. Skąd to pochodzi? Oto już we wstępnej klasie zaprowadzone zostały t. zw. dziesięciminutowe zadania, które wchodzą w skład codziennego programu nauki.

Skoro tylko dzieci uczą się pisać, a dzieje się to przy pomocy „wesołej gramatyki“, już w pierwszej klasie zadaje się im jakiś temat i wówczas mogą pisać jak chcą, krótko, czy długo, byle tylko nie przekroczyły przeznaczonych na to dziesięciu minut. Nie wolno także wtedy dzieciom rozmawiać między sobą, ani stawiać pytań:

„Jak zacząć to zadanie?“

Nie! Tej troski dzieci tutaj nie znają. Nauczono je zdecydować się szybko i nie wahać się w wyborze pierwszego zdania, które mają napisać. W ogóle wolno im wyrażać się tak, jak tego pragną. Nie chwali się dobrych zadań, ani też nie gani tych, które są źle zrobione. Bywają tylko odczytywane na głos, co znowu stanowi nieprzebrane źródło uciech.

Swoboda tych dzieci jest tak wielką, że niczem nie da się zmylić, nawet przez autorytet nauczyciela.

*) Nie podaję w tym liście błędów ortograficznych, które w oryginalne brzmią oczywiście zupełnie inaczej. Tłóm.

Tak zdarzyło się, że nauczycielka poleciła im napisać cośkolwiek o wojnie. Było to w czasie, kiedy gazety wypełniały wszystkie szpalty wiadomościami z terenów wojennych, a każdej nocy odbywały się translokacje wojsk, wysyłanych dla strzeżenia granic, bo zdawało się, że ojczyzna wciągnięta zostanie w wir wojny.

Siedmioletni i ośmioletni malcy, usłyszawszy temat, onieśli w pierwszej chwili; potem poczęli mruczeć niezadowoleni, a już za chwilę w całej klasie rozległ się dziki protest.

— Nie chcemy pisać o wojnie. Wojna jest straszna. Nie chcemy o tem pisać, jak się ludzi zabija! Prosimy o coś innego!

Nauczycielka dumna była z tego stanowiska, jakie malcy zajęli, próbowała jednak dla salwowania powagi, czy nie uda się jej utrzymać danego raz zlecenia.

— Możecie przecie pisać o tem, jak okropną jest wojna i jak wiele złego z sobą przynosi.

Lecz dzieciaki upierały się przy swoim.

— Nie! Nie chcemy pisać o wojnie! Nie chcemy!

Jednego dnia odbyła się dla dzieci z całego zakładu prelekcja młodego inżyniera o sporcie automobilowym. Prelegent był autorem kilku broszur i zajmował stanowisko państwowego inspektora w tym dziale.

Dzieci miały nazajutrz w dziesięciominutowem zadaniu podziękować prelegentowi. I otóż okazało się, że dziesięcioletni malcy zainteresowali się ogromnie tematem, podczas gdy na młodsze dzieci nie wywarł odczyt żadnego wrażenia. Zręcznie lawirując między podzięką a przeproszeniem, prosiły inżyniera, żeby im kiedy o czemś innem opowiedział, na przykład: o skrzynkach do wylęgania kurcząt. Albo: dlaczego w Nowym Yorku nie wyprowadza się wody na najwyższe piętra domów. Jakiś chłopaczek prosił, aby opowiedział im coś o Napoleonie. Inny znów zapytywał inżyniera, co by się stało, gdyby gwiazda spadła z nieba i trafiła miasto „w samą głowę“.

Wszystkie miały to błogie przekonanie, że: skoro umie tak pięknie mówić o automobilach, to również potrafi dobrze mówić o wszystkim innem. Ale ujawniła się u tych dzieci i pewnego rodzaju kurtuazja: bo każde uważało za stosowne dotknąć także kwestyi automobilowej; i oto w każdym liście znalazło się opowiadanie o wypadku automobilowym, tramwajowym lub kolejowym.

Te dzieci tak są wolne od niedorzecznej tresury, że wszystko, co mówią, lub o czem piszą, charakteryzuje doskonale indywidualność każdego z nich.

To też rozwija się u tych dzieci dosadny, osobisty styl, który raz dobyte, nie zatraci się już nigdy.

Iluż to ludzi zdolnych i wykształconych walczy przez całe życie — niestety bezskutecznie — aby wyrobić sobie styl indywidualny! Pozostają jednak niewolnikami konwencyonalnego, banalnego stylu, który im został narzucony jeszcze w dzieciństwie przez bezmyślnych nauczycieli.

Oczywiście i tu zdarzają się wypadki, że dzieci ulegają wpływowi dorosłych i naśladują czyjś sposób mówienia lub pisania. Ale to się natychmiast wyczuwa w tej szkole i nauczycielka w poważnej dyskusyi żąda, lub udziela wyjaśnienia wyrażań, które zostały wykradzione z książki, lub powtórzone za kimś z domowników. Jeśli ośmioletnia dziewczynka pisze w zadaniu o „ponurych dniach listopadowych“, to nauczycielka wie o tem, że jest to echo czegoś, co nie zostało zrozumiane, bo zna to dziecko dobrze. Możliwe jednak, że dziecko użyło pewnego sposobu wyrażenia ujęte jego dźwiękiem, ale w danym wypadku tego rodzaju forma wyrażenia byłaby objawem nieuświadomionej jeszcze wrażliwości dziecka na działania pewnych momentów artystycznych, względnie pobudliwości jego fantazyi.

Oto jeden z chłopczyków, obdarzony bujną, marzycielską fantazyą, pisze w zadaniu:

„Chciałbym zostać poetą i pisać bajki, a nie być inżynierem“.

Nie trudno z tego wnioskować, że realizm życia jest dlań ciężarem.

W innym znów zadaniu podaje jako trzy najszczęśliwsze chwile w swoim życiu, widok pożaru, zabłądzenie w lesie i burzę. I otóż wytlómaczenie tej duszy zamkniętej w sobie, trawionej gorączkową fantazją:

„Będziecie się bardzo śmiali, a przecie ja naprawdę byłem wtedy bardzo szczęśliwy.

Pewnego dnia zabłądziliśmy w lesie. Myślałem, że już nigdy zeń nie wyjdziemy a to sprawiło mi wielką radość. I opowiadałem to później wszystkim, że wtedy byłem bardzo szczęśliwy.

Innym razem wybuchł pożar w hotelu i ja się przypatrywałem, a to trwało bardzo długo i dopiero o dwunastej w nocy wróciliśmy do domu. Wtedy byłem także bardzo szczęśliwy.

I znowu razu jednego była wielka burza na morzu, która wszystkie okręty zatapiała. Żaden okręt nie ważył się wypłynąć. Tylko jeden był na morzu, ale niedługo, bo przyszła fala, nakryła go i zniszczyła. To był trzeci szczęśliwy dzień“.

Ten sam chłopaczek pisze na temat:

Mój najlepszy przyjaciel.

„Moim najlepszym przyjacielem jest Harry i naprawdę go bardzo kocham, choć to tylko pudel. Ma on czarną sierść i ogon niebardzo długi. Nigdy się jeszcze z nim nie gniewał, bo zawsze jest bardzo grzeczny. Ma on także długie uszy i dobrze nimi słyszy.

Już go mam bardzo długo, a gdyby umarł, tobym bardzo płakał i takżebym umarł, tak go lubię i nie mam żadnych innych przyjaciół“.

Teraz wiemy, że to natura bardzo czuła, ale odosobniona, brak jej zdolności towarzyskich, będzie dopiero szczęśliwa, gdy dorósłszy zamknie się w świecie artystycznej fantazyi.

A oto dalsze przykłady wśród tysiąca wypracowań, które wskazują na to, jak swobodnie, samodzielnie i charakterystycznie potrafią pisać dzieci, wolne od obawy i przymusu.

Jakbym pragnął (ęła) podróżować.

Chłopczyk pisze: „Jeździłbym tylko parostatkiem, bo wtedy wiele zobaczyć można i używa się świeżego, morskiego powietrza. Chciałbym mieć własny jacht, długi na 150 m. a szeroki na 50 m. i żeby miał 4 kominy i trzy maszty i aby był kapitan i 100 majtków i sternik i ośmiu palaczy i czterech maszynistów. I aby cały był opancerzony i miał 42 ctm. armaty przeciwko piratom, i żeby robił 1000 mil w kwadransie. Chcę odbyć podróż do Tryestu, do Poli, do Kairo a potem do kanału Suezkiego do Cejlonu i do Honkong i Tsingtau“.

Dziewczynka: „Najchętniej podróżowałabym piechotą, a na pierwszą podróż wybiorę Tyrol. Tam wyjdę na najwyższą górę, a najpierw narwę sobie kwiatków. Potem coraz wyżej bym się wspinała aż do obłoków i ciąglebym śpiewała. Potem zeszłabym na dół i poszłabym nad morze, żeby pływać. A jeszcze później poszłabym obejrzeć wulkan. I wzięłabym z sobą notatkę i ołówek i zapisywałabym wszystko, com widziała. Zabrałabym sobie dzikie zwierzę i dzikiego ptaka do domu i bym je ułaskawiła“.

Chłopczyk: „Jabym chciał jechać automobilem i podróżowałbym po całym świecie i trochę już znam się na tem, a tylko nie potrafię kierować automobilem. Najchętniej zwiedziłbym Rosyę (ale tam trzeba uważać, aby nie dostać bombą w głowę) i inne dalekie kraje“.

Dziewczynka: „Chciałabym jechać w złotej skorupie od jaja, ale musiałyby być duża i mocna. 66 bocianów musiałyby ją ciągnąć, z przodu 33 i z tyłu 33. I wzięłabym z sobą różdżkę zaczarowaną, żebym mogła czarować i mieć wszystko, co bym tylko chciała. Bociany musiałyby znać drogę i latać na moje żądanie. Krótko i węzłowato musiałyby robić, co bym chciała. Gdyby nie chciały już ciągnąć, to bym wyczarowała żaby, żeby się najadły. A jak będzie deszcz, to schowam bociany do skorupy. Wyczarowałabym dach i zostawiłabym tylko mały otwór. O, tak! Podróżować jest pięknie“.

Czembyś chciał (a) zostać.

Dziewczynka pisze: „Chciałabym zostać: albo poetką, malarką, albo rzeźbiarką, albo profesorką. Gdybym miała dobry słuch i ładny głos, to najlepiej śpiewaczką, a jak nie, to albo przyrodniczką, albo fotografistką. Ale zawsze chcę być mamusią i mieć dziewczynkę i chłopaka, t. j. bliźniaczki i jeszcze jednego większego synka o trzylata“.

Chłopiec pisze: „Chciałbym zostać leśniczym, albo prezydentem ministrów. Jeśli naczelny wódz dostaje dużą pensję, to chcę nim także być. Ale mój kuzyn powiada, że przy wojsku dostaje się małe gaże. Pojadę do Węgier i ożenię się tylko z moją narzeczoną. Nie chcę mieć dzieci“.

Dziewczynka pisze: „Jeśli zostanę tem, czem chcę być, to wolałabym zostać baletniczką, albo nauczycielką, albo modniarką. Baletniczką najchętniej, bo zdaje mi się, że jestem do tego zręczna. Widziałam takie w teatrze i bardzo mi się podobają, bo są ślicznie ubrane i tak ładnie wyglądają i zawsze są wesołe i bardzo zgrabne“.

Dziewczynka pisze: „Chciałabym najchętniej zostać malarką. Chciałabym mówić wielu językami. Chciałabym

także zbierać minerały i monety i już mam kilka zebranych. Chciałabym także bardzo dużo grać. Jeśli bym się uczyła języków, to tylko dlatego, że to bardzo wesołe. Mamą chciałabym także być. Słabsze dzieci, to bym dała uczyć w domu, a mocniejsze w szkole. Jeśli zostanę malarką, to tylko, żeby malować piękne obrazy. Monety zbierałam, bo chcę je zostawić moim dzieciom. Grać chcę, bo to jest piękne. Jak będę mamą, to nie będę na dzieci krzyczała — a dlaczego, to wiecie“.

Chłopiec pisze: „Kiedy byłem mały, chciałem zostać cukiernikiem. A później czytałem o Krzysztofie Kolumbie i chciałem także objechać świat, żeby odkryć nową część świata. A potem chciałem odkryć aeroplan i już nawet z papieru zrobiłem takiego potwora i tylko przy tem życzeniu zostało“.

Rozmowy przez telefon.

Chłopiec: — Halo! Kto tam?

— Tutaj pan Śniegowski.

— Kiedy będzie śnieg? Zrób pan to prędko, żeby można było jechać saneczkami.

— Uczynię to, jak tylko będę wolny. Jutro spadnie obfity śnieg.

Dziewczynka: Rozmowa telefoniczna Leopolda Babenberga z Ottonem II.

Leopold: Halo! Kto tam? Tutaj Leopold Babenberg.

Otto II: Tutaj Otto. Czego sobie życzysz?

Leopold: Najjaśniejszy panie! Proszę, abys mi dał w lenno Marchię Wschodnią. Czy przypominasz sobie, jaką przysługę oddałem twojemu ojcu, kiedy polował na niedźwiedzie?

Otto: Zaprawdę, że sobie tego nie przypominam.

Leopold: Opowiedziałbym ci tę historię, ale jest bardzo

długa, a rozmowa przez telefon drogo kosztuje. Czy mogę do ciebie przyjść?

Otto: Ja do ciebie przyjdę. Koniec.

Leopold: Koniec.

Coby to jeszcze wynaleźć można.

Chłopiec: Chciałbym usunąć parowe maszyny, bo dużo sadzy i dużo iskier sprawiają, a węgiel bardzo drogi. Trzeba by wynaleźć maszyny hydrauliczne, które się opala oliwą. Aeroplan zrobiłbym o wiele lżejszym, bo motor byłby z aluminium. A dla poznania biegunów, to mam doskonałą myśl. Wyruszyłbym z wielką flotą i rozkazałbym z ciężkich haubic strzelać do lodowców, aż się nie skruszą, a potem flota mogłaby już przejechać. Można by także stworzyć elektryczne słońce, któreby świeciło i kiedyby się chciało.

Dziewczynka: Chciałabym wynaleźć taki automat, żeby tylko pocisnąć guzik, a już się jest ubraną i uczesaną, umytą i nawet zęby są starannie wyczyszczone, a nie potrzeba się trudzić i można podczas tego czytać książkę. Tobo przecie było bardzo dobrze, żeby to już raz wynaleziono.

Listy.

Dziewczynka: do sześciomiesięcznej kuzynki.

Kochana Małgosiu!

Jak ci się powodzi? Czy jeszcze ciągle płaczesz? Czy już dostałaś ząbki? Czy odkrywasz się jeszcze w łóżeczku? Czy masz jeszcze takie cienkie nóżki i rączki, czy też utyłaś trochę?

Moja siostra poparzyła się wczoraj. Gdy się ją naciera, płacze bardzo.

Kłaniam się wujaszce i cioci, a ciebie całuję.

Twoja Nelly.

Chłopczyk: Kochana, miła, słiczna wiosno!

Proszę nam już przynieść promienie słońca i kwiaty i płaszki. I proszę wygnać już raz z naszej ziemi tę stęjącą, starą królową zimę. A jak Pani do nas przyjdzie, to niech Pani zostanie z nami jak najdłużej i będzie nam bardzo przyjemnie i wesoło. A potem przyniesie nam Pani dużo owoców, prawda? Wierny Rudi, który Panią kocha.

Dziewczynka: Kochany Rudolfe! Dostojny władco Austrii!

Mój mąż umarł, a potem i mój syn. Nie mam ochoty panować dłużej, ale martwi mnie to bardzo, kto po mnie panować będzie w Tyrolu! Długo nad tem myślałam i nie znajduję nikogo lepszego od Ciebie. Tyrol jest piękny. Tyrolczycy są narodem dobrym. Tobie oddam Tyrol. A może pozwoliś, że w pobliżu Wiednia wybuduję sobie pałac.

Oddana Tobie Małgorzata Maultasch.

Wielce szanowna Pani Małgorzato!

Żałobna wieść o zgonie Twojego męża i syna doszła aż tutaj do mnie i wyrażam Ci moje gorące współczucie. Rozumiem powody dla których chcesz ustąpić z tronu. Zresztą, gotów jestem objąć Tyrol w posiadanie. Proszę też, abyś osiedliła się w Wiedniu.

Rudolf.

Często zdarza się i tak, że nie podaje się dzieciom żadnego tematu, a tylko mówi pierwsze słowa. Naprzykład: „Dziń, dziń!”

A wtedy piszą:

Chłopczyk: Dziń, dziń! Tak zadzwonił dzwonek okrętowy w Aulis. Bo ten okręt przeznaczyl Zeus dla bohaterów greckich, którzy mieli zdobyć Troję. Trzeba było uwięzić Parysa i jego ojca i zniszczyć wszystkich Trojańczyków, bo Parys wykradł piękną Helenę, żonę króla Menelausa.

Dziewczynka: Dziń, dziń! Któż to dzwoni? Ach, to dzwoneczki, śnieżyczki wiosnę nam zwiastują. Na łąkach i w ogrodach budzą się cudne kwiatki, wszystko się budzi.

Nie wiem, czy jest kto na świecie, żeby nie kochał śnieżyczek i dzwoneczków leśnych, które nie są prawdziwymi dzwoneczkami, tylko kwiatkami, ale to jest tajemnica.

Dziewczynka: Dziń, dziń! Odzywa się słaby głos dzwonka przy furtce cmentarza. Ponieśli trumnę metalową do grobowca; a tam jest ciemno, strasznie ciemno. Ale Pan Bóg dobrotliwy posyła anioła, który zabiera duszę. Umarły nie wie o tem, jak żył. Ale trudno jest dostać się do nieba, tylko dobrzy, grzeczni tam przychodzą.

— — — — —

Zdarza się i tak, że dziecko, pisząc zadanie, odczuwa ochotę wyrażenia czegoś, co odbiega zupełnie od tematu. I tak na przykład Herbert ma napisać: czemuby chciał zostać i już nakreślił, że pragnie być astronomem, albo ministrem, gdy najniespodziewaniej rzuca pytanie: „Kochana Pani! Dlaczego mnie Tińka nie kocha?”

IX. GODZINA PYTAŃ.

Do rozlicznych ulepszeń, które Ludwika zaprowadziła w swojej klasie, należy tak zwana „godzina pytań“, kiedy dziecko zapytywać może nauczycielkę o wszystko, co mu tylko na myśl przyjdzie.

Pomimo, że na każdej godzinie dozwolone jest dziecku pytać o rzeczy, należące bezpośrednio lub pośrednio do przedmiotu, wyznaczonego na tę właśnie lekcję, pozostaje przecież mnóstwo rzeczy, które ono w żaden sposób w tę godzinę lekcji wtłoczyć nie może. Niewymówione zaś pytania, jakże drę-

czą umysł dziecka, a nie zawsze można je wyjawiać głośno przed kolegami i przyjaciółmi.

Więc pisemnie lub ustnie, w tajemnicy lub otwarcie, przedkładają dzieci pytania swoje pannie Ludwice. I trzeba widzieć te maleńkie karteczki w kopertach, nieraz zamkniętych na kilka pieczęci, a które gromadzą się przez cały tydzień na pulpicie Ludwiki, żeby mieć jakie takie w tej sprawie wyobrażenie.

Odpowiedzi następują publicznie, wobec całej klasy. O ile zaś zachodzi obawa, że przytoczone pytanie zdradzi interpellanta, wtedy Ludwika zmienia nieco tekst pytania, by w ten sposób salwować tajemnicę.

Ale ogromna większość pytań stawiana jest otwarcie i nad odpowiedzią rozwijają się często ożywione dyskusye; cała klasa dzieli się na „za“ i „przeciw“, sam interpellant schodzi na plan dalszy.

Najmniejsze dzieciaki zapytują o rzeczy, na które otrzymania by mogły odpowiedź w domu, gdyby rodzice mieli dość czasu i cierpliwości zająć się swoim dzieckiem. Zabawną rzeczą w tem wszystkim jest owa tajemniczość, jaką oślaniają swoje pytania, a to dla nadania im większej wagi.

W dwunastym roku życia umysły tych dzieci zajmują „kwestye“, które łączą się z frenologią, monizmem, spirytyzmem i telepatją: Jak powstaje geniusz? Co to jest moralność? Co to są sny? Jaka jest różnica między snem a wizjami gorączki?

Później pytania ich nabierają charakteru czysto osobistego. Wówczas nietrudno odgadnąć, że tu kryją się własne przeżycia i własne bole. Wątpliwości i żale, długo ukrywane i dławione, stają się wymownymi i oto pytania: Jakie są przyzwoite sposoby, żeby się stać komuś miłym? Dlaczego często kocha się właśnie te osoby, które o nas wcale nie dbają? Czy może dorosły człowiek nabyć dobrego wychowania? Co robić, jeśli się nieszczęśliwie kocha? Dlaczego niektórzy ro-

dzice mają brzydkie dzieci, choć się bardzo kochają, a rodzice, którzy się kłócą, mają często dzieci ładne i dobre? Dlaczego mężczyźni są o wiele lepsi od kobiet? Jak się odzwyczaić od rumienienia się? Czy należy zmuszać niemuzyczne dzieci do grania? Czy istnieje sposób, żeby nie dręczyć się rozmaitemi pytaniami? Czy jest złym człowiekiem ten, kto sobie nic nie robi ze zwierząt? Dlaczego rodzice o najlepszych książkach mówią: ty tego nie rozumiesz?

A już najczęściej powtarza się pytanie: Dlaczego ludzie tak bardzo kłamią?

Bo i jakżeż mogą dzieci, choćby siedemnastoletni, zrozumieć, że istnieje polityka fałszu, podwójna moralność, niewdzięczność, złamane zakłady przyjaźni i zdradzona miłość?

Kiedy młodzież stawia te pytania, dziwny jakiś smęt obleka ich twarze. Ludwika, a także inne nauczycielki, odpowiadają, nierzadko w cztery oczy — i smęt znika, choćby odpowiedź niezupełnie była zadowalającą.

Wypowiedzieli się i poznali, że i drudzy tak samo odczuwają, że jest to wspólny ból i w tem właśnie przeświadczeniu leży wiele ukojenia.

Co jednak jest najpiękniejsze na tej godzinie pytań, to to, co łączy nauczyciela z dziećmi, a mianowicie, że wszystkich ich zarówno dręczy życie i że na wiele kwestyi niema rozwiązania.

X. ZDOLNOŚCI PODZIWIANIA.

W tej szkole uczy się dziecko pięknej i uszczęśliwiającej sztuki podziwiania. Nie zaniedbuje się tu niczego, aby zwrócić uwagę na to, co jest wielkiem, wspaniałem, szczególnem.

A z tem wiąże się dar bardzo cenny: umiejętność podziwiania.

Wyśmiewa się wiejskich Jasiów i Wojtusiów, gdy przy-

bywszy do wielkiego miasta, dziwią się wszystkiemu, co tutaj widzą. Nie czujemy tego, że właśnie oni są widzącymi, a my oślepli. Bo zużyte już zmysły utraciły swoją świeżą wrażliwość; ludzie nie słyszą, nie widzą, nie czują. I nie mają także możliwości podziwiania czegokolwiek z całej duszy.

A gdy stają wobec wspaniałych piramid, wtedy obliczają ich rozmiary. Ukrytej w nich potęgi, tajemniczego uroku, który wyczuje dziecko — oni nie widzą. Życie traci dla nich urok, a neurastenik, który odbiera sobie życie, bo mu już obmierzło, jest ofiarą modnej dziś choroby: oduczył się dziwić czemukolwiek.

W radosnej szkole nie żąda się od dzieci, aby się czemuś dziwiły, ale daje się im do tego sposobność i dziwi się razem z niemi.

Ciepło słoneczne, czy barwa kwiatu lub jego zapach, czy własne uczucia, wszystko to staje się czemś więcej, niż powszechnie zaobserwowanemi „rzeczami“.

Oto, jakie zadania na ten temat piszą czternastoletnie dziewczynki tej szkoły:

Marta: „Oburzam się zawsze na ludzi, dla których wszystko jest czemś zupełnie zrozumiałem. Ja zaś dziwię się wszystkiemu, na co patrzę i co odczuwam. Gdy wychodzę na przechadzkę i jest wtedy pogodny, piękny dzień, dziwię się i cieszę się tem; a potem nie mogę pojąć, że to ja jestem, która korzystam z tego wszystkiego. I dziwię się, że się, oto żdźbło trawy jest takie świeże i zielone, że ptaki tak cudnie śpiewają, a liście drzew szumią tajemniczo. Skąd to pochodzi i dlaczego to tak jest? Najbardziej podziwiam gwiazdami wyiskrzane niebo, gdy pomyślę, że te świecące punkciki są jednak takie duże i większe jeszcze, niż kula ziemską. A czemu się już najwięcej dziwię, to temu, że ludzie na tej ziemi żyjący wśród tylu cudów, zamiast kochać się i pomagać sobie wzajemnie, oszukują się nawzajem i zwalczają. I gdybym ja mogła stworzyć nowy

świat, to wyrzuciłabym z niego wyrazy: zawiść, zemsta, wojna, zazdrość. Często także dziwię się samej sobie: że jestem na świecie, że chodzę do szkoły, że mogę myśleć i czuć. Dziwię się wszystkiemu i tak mi się zdaje, że trzeba tylko zacząć, a nie przestanie się człowiek dziwić“.

Jadwiga: „Im młodszą się jest, tem więcej rzeczy wydaje się nam dziwnymi. Powoli jednak przyzwyczajamy się niestety do wszystkiego. Na szczęście, wiem, że jest jeszcze mnóstwo takich rzeczy, którym dziwić się mogę. Nadewszystko zaś dziwi mnie głupota ludzka. Dlaczego prowadzą wojnę? Przecie życie i tak jest krótkie; czy wolno je skracać w sposób tak lekkomyślny? Dziwię się, dlaczego istnieje klasowość między ludźmi; dlaczego ludzie obmawiają jedni drugich? I po co ciągle zmieniają mody sukien i kapeluszy i tańce? Ach, przecie tyle jeszcze jest rzeczy, którym dziwić się można!“

Gerda: „Dziwię się temu, że ludzie przez te ubiegłe wieki odkryli tyle rzeczy przedtem niezbadanych; ale uważam to za brzydką ciekawość, że tak szperają w tajemnicach świata i gniewa mnie to, że im się wszystko udało. Wczoraj słyszałam, że poszukują sposobu stwarzania ludzi zapomocą chemicznych połączeń. Myślą też nad tem, jak uczynić życie wiecznem. A gdyby im się to udało, kto wie, czy nie szukaliby za środkami, ażeby umrzeć“.

Agnieszka: „Dziwię się temu, że ludzie tyle pieniędzy wydają na pomnik poety, ale już po jego śmierci; przecie byłoby znacznie lepiej, gdyby za tę sumę sprawili mu jakąś radość za życia. Niestety, samem zdziwieniem świata nie poprawię“.

Tym dzieciom ich wykształcenie nie zaszkodzi. Nie przestaną z głębokim podziwem patrzeć na wysoką górę dlatego, że poznały jej formacje geologiczne.

XI. CZEŚĆ DLA BOHATERÓW.

Radosna szkoła posiada swój specjalny kalendarz; oznaczone w nim są daty urodzin lub śmierci sławnych ludzi. W odnośne dni poświęca się pewne godziny ich pamięci. A czyni się to w szczególny sposób.

I tak np. Dzień urodzin Beethowena rozpoczyna się odśpiewaniem „Hymnu do radości“ z IX Symfonii. Pamięci Björnsona oddaje się hołd przez odczytanie któregoś z jego pięknych listów. Na „dzień Dickensa“ wybiera się jako wspólną lekturę dziecinna scenę z jego utworów. Pamięć Michała Anioła czci się w ten sposób, że się dzieciom pokazuje jego freski, a jeden z uczniów deklamuje przytem odpowiednie utwory poetyckie. Z jakąż znów wdzięcznością i w jakimże podnieceniu słuchają dzieci opowiadania co dla ludzkości uczynili Röntgen i Edison, Epitafium z grobowca Franklina odczytują z niemniejszym wzruszeniem, jak pochwałę Waszyngtona. I tak następuje dalej cały szereg bohaterów.

Dzieci entuzjazmują się goręcej, aniżeli ludzie dojrzały; trzeba im podsunąć przedmiot godny entuzjazmu, bo inaczej fałszywych sobie wybiorą bogów. Nie zapomną też one nigdy tych wielkich nazwisk, skoro wiąże się z tem nazwiskiem wspomnienie miłej i pięknej uroczystości, czy też jakiegos nadzwyczajnego epizodu.

Ludziom wielkim, którzy żyli lub ponieśli śmierć dla dobra ludzkości, oddajemy tylko to, co im się należy, gdy wychowujemy młodzież w czci i miłości dla nich. Dzieciom zaś ofiaruje się najwspanialszy upominek: oto w okresie ich najwyższej wrażliwości wprowadza się je w towarzystwo wielkich ludzi, a wśród tego właśnie „dobrego“ towarzystwa odnajdą kiedyś najlepszych przyjaciół, którzy im nie dadzą upaść na duchu i osamotnieć.

I jeszcze jedno: dzieje wysiłków ducha ludzkiego są równocześnie dziejami głupoty ludzkiej, złośliwości, zaślepienia

i braku zrozumienia. Dzieci głęboko odczuwają wszelką krzywdę. Jeśli zatem wczas dowiedzą się, że ci wielcy za to, że dążyli do tego, co piękne i słuszne, ginęli na krzyżu, lub stosie, wówczas obudzi się w nich chęć zwalczania wszelkiej krzywdy w odniesieniu do współczesnych.

Bo wszystko trzeba uczynić, ażeby ludzkość nie wstrzymywała w rozwoju i nie zabijała swoich dobroczyńców. Szkoła specjalnie powinna tego przestrzegać wszelkimi środkami.

XII. GODZINA ŚPIEWU.

Nie bez goryczy i żalu przypominam sobie owe godziny śpiewu w szkole, z czasów mojej młodości. Jakże mi obmierzły dlatego, że nie umiałam „czysto śpiewać“. Na dwadzieścia uczennic w klasie, zaledwie kilka śpiewało jako tako „czysto“. Czy były muzykalne, nie wiem, dość, że te śpiewały a my reszty, milczałyśmy albo wtórowały tylko cichutko. Jeśli niekiedy przez zapomnienie odważyłyśmy się mieszać nasze głosy z ich głosami, wówczas łajała nas nauczycielka w sposób tak przykry, że zdawało się nam, iż nie mieć ładnego głosu jest tak samo upokarzającym, jak być... ubogą.

Nawet podczas wycieczek szkolnych, kiedy serca przepełnione były radością i kiedy to z duszy całej pragnęłyśmy dać upust tej radości w piosence, nawet wówczas musiałyśmy milczeć, śpiewały tylko te, które miały „łagodny głos“. I dopiero wieczorem, podczas powrotu z wycieczki, gdy zmęczone a jednak tak bardzo zachwycone, pędziłyśmy na wielu wozach a drzewa przydrożne usuwały się przed nami w głębokich ukłonach pożegnalnych, gdy zmierzch wieczorny coraz gęstszym welonem otulał ziemię a nad naszymi głowami zapalały się gwiazdy, gdy droga zaczynała się nam wtedy dłużyć w nieskończoność niepomne już pańszczyzny szkolnej, zaczęłyśmy śpiewać wszystkie równocześnie.

Były to szczęśliwe chwile. Chłód wieczorny owiewał nas i z pól i łąk szły upajające zapachy. Siedziałyśmy tak bardzo ciasno jedna przy drugiej, że gniotłyśmy się wzajem. Znużone półsenne opierałyśmy głowy o poręcze wozów a twarze nasze wychylały się, ni to kielichy drobnych kwiatów, które senne przymykają się z wieczora. Sylwety drzew przydrożnych ciemniały coraz bardziej, a gwiazdy stawały się jaśniejsze. Śpiewałyśmy. A były to wyłącznie pieśni ludowe, raczej popularne piosenki, wyśpiewywane przez służące. Śpiewałyśmy z pewnością fałszywie i bezwątpienia bardzo brzydko, ale nam brzmiało to nieskończenie miękko i łagodnie, była to nasza wielka, święta radość.

Powtarzało się to każdej wiosny; raz jeden tylko, wśród długiego roku szkolnego, śpiewałyśmy wszystkie razem. Dlaczego nie częściej? Nikt się o to nie troszczył.

„Przesłuchiwano“ nas, gdy wypowiadałyśmy wyuczone na pamięć wiersze, ale nie znałyśmy do nich melodyi. Recytowałyśmy najpiękniejszą poezję, jak martwą paplaninę i zapominałyśmy je natychmiast.

Te, które wówczas ze mną razem do szkoły uczęszczały, mają dzisiaj własne ogniska domowe, a wiele z nich ma i dzieci. Żadna śpiewać nie umie. Radość z piosenki — jaka spoczywa w każdej duszy dziecięcej zdławiono w zarodku, gdy zmuszono je wstydić się własnego głosu. Później niejednokrotnie może usuwały potrzebę wyrażenia radości lub skargi w pieśni, ale — wspomnienia dzieciństwa zbyt silnie działają...

— — — — —
Słyszałam i czytałam o godzinach śpiewu w szkole Ludwiki i poprosiłam, by mi pozwoliła przypatrzeć się takiej godzinie. A ona rozśmiała się serdecznie:

— Uczynisz to na własną swoją odpowiedzialność. Obawiam się bowiem, czy nie... popękają ci bębenki w uszach...

Gdy przyszłyśmy owego dnia do szkoły, panowała tam

wrzawa, którą trudno opisać. Uczennice z klasy Ludwika chciały śpiewać, lecz że to było przed egzaminem, wyrzucono je z sąsiedztwa innych klas, aby nie przeszkadzały.

Należało tu coś poradzić. Na ulicy śpiewać nie można dziedzińca odpowiedniego ani terasy nie było; wybrać się z wycieczką za miasto nie było czasu, bo egzamin „na karku”. Wreszcie znalazła się klasa sześciolatek, leżąca między salą gimnastyczną a salą slöjdu, maleństwa musiały się przenieść na piętro. Klasa ta, w której zwykle siedziało dwadzieścioro dzieci sześciolatek była stanowczo za mała dla czterdziestu dorastających śpiewaczek, więc musiały się rozmieścić gdzie która mogła: jedne na parapecie okien i na stopniach dookoła katedry, inne znów, jak na koźle, siedziały na oparciach krzesełek.

Weszła Ludwika. Jej ponsowy szal owiewa czarną sukienkę; w ramionach ma prześliczny wazon róż białych i czerwonych. W kolorach jest to hołd, złożony mojej ojczyźnie. Ludwika zresztą nigdy nie wchodzi do klasy bez kwiatów. To sprawia, że jej lekcja staje się uroczystą. Żadna też z nauczycielek nie dostaje tyle kwiatów, co Ludwika. Zdawałoby się, że cały Boży rok ma imieniny. Uczniowie i uczennice zasypują ją formalnie kwiatami. Wprawdzie zabrania im tego lecz kto widział te blaski w jej oczach na widok kwiatów, nie może brać seryo takiego zakazu.

Zanim Ludwika weszła do klasy, brzęczało tu, jak w pełnym ulu. Ledwo się ukazała, naraz ścichły wszystkie głosy. Twarze wszystkich okrywa uśmiech radosnego oczekiwania, zdawałoby się mogło, że otrzymały właśnie... zaproszenie na pierwszy bal.

Zaczyna się narada, jaką pieśnią zacząć tę godzinę. Wreszcie wybór pada na wesołą piosenkę, opiewającą rozkosze wycieczek. Przy fortepianie siedzi dwunastoletni geniusz, której Ludwika ocaliła przed mękami artystycznych tournée „cudownego dziecka”. Zabrzmiła pieśń i...

Doprawdy, dziwiłam się, że nie zarysowały się ściany. Miało się wrażenie, że to nie z czterdziestu, ale z czterystu silnych, młodych gardzieli wydobywają się te grzmiące tony. To był śpiew tryumfującej młodości, która pokonała smutek życia.

A te głosy! Ach, tak! Jedne były wcale, miłe inne nieco zachryple. Jednakże nikt tu nie zważał na to, jak nie zważa się na dźwięk pojedynczych fal, gdy huczy całe morze.

Oto las ludzki; koroną swych gałęzi dosięga nieba a szum liści jednoczy się w potężny hymn pochwalny i dziękczynny. To uczucie silnej, radosnej zbiorowości, jaką się tu widzi, zachwyca i zniewala. A wszystkie śpiewają tak wyraźnie, że ani jedna zgłoska się nie zatracza. Śpiewaków niema tu. Tekst ma każda w duszy. Jeśli pieśń ma dwadzieścia wierszy, to wiersz dwudziesty pamięta się równie dobrze, jak pierwszy.

Pieśń następowała po pieśni. Opiewano miłość, to znów wiosnę, to znów tęsknotę matki za zmarłym dziećciem. Śpiewano pieśni na cześć lata i na cześć zimy. Potem nastąpiła pauza. Aby nie tracić czasu, Ludwika odczytuje na głos prześliczne opowiadanie Selmy Lagerlöf: „Gość w Boże Narodzenie”, gdzie mowa jest o biednym chłopcu, który grając i śpiewając wędruje od podwórza do podwórza. Dzieci słuchają z zapartym tchem; w oczach mają blaski gwiazd.

Na nowo zabrzmiała pieśń: to długie, krwią ociekające ballady Zöwe’go. Zapas pieśni wydaje mi się niewyczerpanym. Zapytałam, jak mogą to wszystko zachować w pamięci?

— Ależ niema nic łatwiejszego—odpowiadają zdziwione nieco mojem pytaniem.

Każdą piosenkę odśpiewuje najpierw Ludwika. Następnie spisuje się tekst piosenki, odczytuje w domu kilka razy, a potem już razem z melodyą utrwała się w pamięci. Każdą piosenkę przyjmują jako podarek i przechowują, jakby skarb najdroższy, którego ani czas, ani zmiana losu nie zniszczy. Rozprószone później po świecie, zachowują zawsze te piosenki i zanucą je kiedyś w godzinach samotności i smutku; i wtedy

odezwie się w nich wspomnienie szczęśliwych czasów szkolnych, a z nimi razem i tej miłości, z jaką ogarniały wówczas wszechświat cały i obudzi się gorąca, promienna wiara w ludzi.

Na zakończenie pianistka zagrała starego walca i cała ta gromadka poruszyła się w takt muzyki. Zapominały o ciasnej przestrzeni, która zamieniła się w ich wyobraźni w salę balową, gdzie wszystko błyszczy od złotych światła i bieli szat. Tak tańczy młodzież...

W drodze do domu, zapytałam Ludwika, jak to się dzieje, że w szkole, gdzie tak bardzo dbają o podniesienie kulturalnego i prawdziwie estetycznego poziomu u uczniów i uczennic, pielęgnuje się tego rodzaju śpiew bez wyboru głosu, z pogwałceniem najprymitywniejszych zasad muzykalności.

A na to odpowiedziała mi Ludwika:

— Muzykalność naszego miasta ma już od dawien dawna ustaloną sławę. Tembardziej więc byłam zdziwiona tem, że czy to na wycieczkach, czy to podczas uroczystości szkolnych dzieci nie potrafiły ani jednej piosenki zaśpiewać chórem. Sprowadziłam więc najlepszych nauczycieli śpiewu do mojej szkoły, aby podnieść zainteresowanie dla tego przedmiotu. Ale to nic nie pomogło. Dopiero znacznie później zrozumiałam w czym tkwi przyczyna tego. *Śpiew artystyczny nie należy do szkoły*, bo nie może wchodzić w rachubę, gdzie chodzi o szerokie masy. Nauka śpiewu, oparta na teoretycznych formułkach zabija doń ochotę. Czy dzisiaj śpiewają tak ludzie przy każdej okazji, jak to bywało dawniej? Co najwyżej, nuci się jakiego modnego walca, gdy się jest w nadzwyczaj wesołym nastroju. A w tak zwanem lepszym towarzystwie śpiewać śmie tylko ktoś, obdarzony głosem już wykształconym artystycznie. A u takiego artysty złączył się często przyrodzony temperament i czystą ekspresję uczucia. A przecie dla dziecka jest śpiew czemś koniecznym i prawie że do życia potrzebnym; jest to jego najświętsze nietykalne prawo.

W śpiewie wyładowuje dziecko ów nadmiar uczuć, na których wyrażenie samo słowo mu nie wystarcza. Więc odważyłam się zaprowadzić godziny wolnego śpiewu, bez wszelkich pretensji co do słuchu i wyboru głosów. Zgromadziłam dzieci i śpiewaliśmy razem, jak śpiewają przyjaciele. Początkowo brzmiało to brzydko i krzykliwe, ale powoli zgodziłyśmy się. Śpiewaliśmy, nie stosując do śpiewu żadnej krytyki; powoli słuch sam przez się przywykał do harmonii, wrażliwość słuchowa kształciła się stopniowo i oto bezwiednie naginać się zaczął głos fałszywy, by utrzymać się w takcie i w tonie z głosami tych, które śpiewały bez zarzutu. Nauką kierowała tylko wspólna radość. Śpiewałam z dziećmi najpierw popularne piosenki ludowe, potem ballady; wśród tego rozwijały się głosy podobnie jak rozkwita kwiat, który długo stał ukryty w cieniu, a teraz do słońca otwiera swe kielichy. Mnie osobiście najbardziej wzrusza widok dziecka, które choć nie ma ani głosu, ani słuchu, jednakże z serdecznem jakimś oddaniem się śpiewa razem z innymi dziećmi. Śpiewamy, bo nam to daje radość, szczęście a przytem uczą się dzieci poznawać naszych kompozytorów znacznie lepiej, niż na sali koncertowej. I przysięgamy to sobie wskrzesić wśród ludzi cześć dla pieśni, by ją umiłowali tak, jak ją miłowali nasi ojcowie.

Dla mnie jako nauczycielki i wychowawczyny mają te godziny śpiewu nieocenioną wartość. Zwrócone ku mnie w czasie śpiewu twarze są jak otwarte księgi, w których odczytuję duszę każdego dziecka. Dziecko w chwili, gdy śpiewa porywa jakaś magiczna radość, która mu każe o wszystkim zapomnieć i ujawnić swe właściwości indywidualne, jak nigdy. Jakież tu można przeprowadzać badania psychologiczne, studyując wyraz poszczególnych twarzy podczas śpiewu!

Głęboka prawda tkwi w starym zdaniu: 'Zatracił życie wieczne, kto nie umiłował muzyki i śpiewu i nie ćwiczy się w nich często.'

Z radosnym błyskiem w oczach opowiada Ludwika przy jakiej to okazji jej lekcye śpiewu obchodziły największy swój tryumf.

W piękny dzień czerwcowy, zaraz po wschodzie słońca, wybrała się ze stu pięćdziesięcioma uczennicami i ośmioma nauczycielkami na wycieczkę w góry. Podczas jazdy koleją pogoda była wspaniała; zaledwie jednak dotarli do skraju lasu, gdy zerwała się wielka burza. Dziewczątka miały na sobie lekkie, przeważnie białe sukienki i płócienne półbuciki; dookoła zaś nigdzie nie było żadnego schroniska. A tu najpierw deszcz lunął jak z cebra, zaczęły migotać oślepiające błyskawice i huczeć ogłuszające grzmoty; potem sygnął grad, bijąc w twarze. Dzieci, które w pierwszej chwili przyjęły burzę jako wielką przygodę, poczęły się teraz bardzo niepokoić.

Wtem Ludwika dała hasło do zanucenia piosenki i jakby różdżką czarodziejską odegnany, natychmiast zniknął strach z oblicza dzieci. Młodsze i starsze, wszystkie śpiewać zaczęły razem i tak wśród śpiewu posuwano się naprzód, szukając schronienia, aż wreszcie po dwugodzinnym marszu dotarli do schroniska, przemokłe do nitki.

W schronisku jako tako osuszono sukienki i posilono się nieco. Więzione blisko dziesięć godzin w ciasnej izbie, podczas gdy na dworze wciąż jeszcze szalała burza, dzieci te nie straciły przecież humoru. Śpiewały, deklamowały, improwizując przytem rozmaite przedstawienia baletowe, kabaretowe, teatralne, nawet cyrkowe, ale ciągle wracano do śpiewu. Bawiły się doskonale, a ten zasób dobrego humoru wystarczył i na drogę powrotną w stronę dworca, choć przebywać ją było trzeba wśród ciemności i brodząc w wodzie lub błocie po kostki. Wtedy starsze dziewczątka przenosiły młodsze przez bajury, dźwigając, jak mogły. Deszcz padał jeszcze ciągle, a dookoła zalegały nieprzeniknione wprost ciemności. Posuwano się po prostu po omacku naprzód.

Ale od chwili opuszczenia schroniska aż do samego

dworca kolei dzieci śpiewały jedną pieśń za drugą. Ani na chwilę nie milknął śpiew, choć zdarzyło się, że się któraś potknęła, albo zaplątała się we włosy o niskie gałęzie drzew.

O północy wróciliśmy do miasta. Gdy pociąg stanął na dworcu, do wagonów cisnęli się rodzice, spodziewając się zastać dzieci w najgorszym stanie depresji, a może nawet chore. Tymczasem przywitał stroskanych rodziców choralny śpiew tak szczery i wesoły, jakby ta gromadka wracała z najbardziej udanej wycieczki.

Ta radość i to zadowolenie dzieci — to tryumf onych wolnych lekcyi śpiewu.

XIII. NA STARĄ NUTĘ...

Jeszcze przed pół wiekiem uważało się za główne przedmioty na pensjach żeńskich: religię i robotki ręczne.

Reforma szkolna zaprowadziła w tym kierunku znaczne zmiany. Ameryka na przykład nie zna wcale nauki religii jako przedmiotu szkolnego, a robót ręcznych w szkołach publicznych od lat dwudziestu nie uczono wcale. Dopiero w ostatnich czasach bardzo nieśmiało i tylko gdzieniegdzie wprowadzać tam zaczynają te przedmioty jako nadobowiązkowe.

Czy uważacie to naprawdę za jakiś postęp, że nie zmusza się już dziewcząt do wyrabiania pończoch, szydełkowania, wyszywania na kanwie lub haftowania w szkole?

Lekarze twierdzą, że te roboty ręczne psują wzrok i przyczyniają się w znacznej mierze do skrzywienia kręgosłupa. Zapewne, że tak było dawniej, gdy haftowało się misterne robotki lub dziergało całymi dniami, a co gorsza wieczorami przy świecach łojowych, małych lampkach naftowych lub nieokrytem świetle gazowym. Były to nadzwyczajnie kunsztowne i misterne robotki owe hafty i koronki, które dziś oglądać możemy tylko przez lupę. I prawdą to jest, że dawnymi czasy

częściej spotkać było można kobiety z zaczerwienionymi powiekami, albo i takie, które w młodym jeszcze stosunkowo wieku zmuszone były używać okularów.

Każda praca nadmierna i wykonywana wśród warunków niekorzystnych, może zaszkodzić zdrowiu. Nie ulega wątpliwości, że na punkcie „robótek ręcznych“ panowała wśród kobiet przesadna, niemądra gorliwość. Wydaje nam się to dzisiaj śmieszne, gdy słyszymy, że jakaś pani miesiące całe spędzała po kilka godzin dziennie nad krosienkami, żeby wyhaftować tyle a tyle metrów haftu, który miał potem zdobić... halkę krynoliny. Nie przeszkadza to jednak, że z zachwytem spoglądały na misterną taką robótkę, która dostała się nam w spuściznie po prababce.

Śmiem też twierdzić na podstawie mej znajomości kobiet, że jest to poprostu nieszczęściem dzisiejszej kobiety, że odebrano jej robótki ręczne, które tak dobrze wypełniały nudne godziny codziennego jej żywota.

I jeszcze jedno. Kobiety wszystkich czasów, a dzisiejsza kobieta również, pragnie być ładnie ubrana i przystrojona. Czemuż uboższą odwozić od tego przyrodzonego upodobania? Niechże i teraz haftuje, szyje, dzierga i szydełkuje, aby w danym razie i ona roztoczyć mogła dookoła siebie ów urok, jakiego pragnie.

Obowiązkowy kurs szycia i krawieczyzny, który przejść musi „dobrze wychowana“ panienka dzisiejszej rodziny mieszczańskiej, wydaje mi się w tym wypadku zupełnie chybiony. Natomiast dużo bardzo zrobiłby tu potrafiła szkoła. Małe dziewczątka mogłyby, ot, bawiąc się, rysować wzory sukienek dla lalki, przykrawać i szyć je z bibułki, a potem podług tych samych wzorów i dla siebie. Starsze już niechby oswajały się z maszyną do szycia. Naturalnie nie wszystkie dzieci dojdą w tem do doskonałości i nie wszystkie okazują specjalne do tego zdolności. Ale ostatecznie nie uwalnia się przecie od lekcji rachunków dzieci, nie mających zdolności do matematyki.

Nasze prababce same szyły swoje suknie i bieliznę do wyprawy i same je ozdabiały. A te były tak trwałe, że przeżyły swe właścicielki. Niezamożne kobiety dzisiejszych czasów nie umieją szyć i zmuszone są do kupowania niegustownych, brzydkich sukien i obskurnych kapeluszy. I opłacają te artykuły stosunkowo o wiele drożej, aniżeli bogate panie, które przynajmniej otrzymują coś za swoje pieniądze.

Obo uboga dziewczyna przypatruje się często nie bez żalu, a nawet nie bez zawiści rozłożonej w wystawie sklepowej ozdobnie wykończonej bieliznie. A kiedy opanuje ją silna ochota posiadania takich rzeczy, kupuje zaledwie imitację imitacji, a po pierwszym już praniu spostrzega, jak bardzo się oszukała. Wszak za te same pieniądze mogła była dostać bardzo dobry materiał, a gdyby umiała sama sporządzać takie drobiazgi, mogłaby sobie uszyć i ubrać suknię lub bieliznę swą i trwale i elegancko.

Powiecie może, że ta dziewczyna nie ma czasu. To mi nie przemawia do przekonania. Wszak robótki ręczne mają tę właściwość, że doskonale wypełnić nimi można czas wolny od pracy, choćby to była tylko chwilka i że przerwać je można, kiedy się tylko chce.

Takie oddawanie się robótkom i sporządzanie sobie własnymi siłami garderoby ma jeszcze i tę dobrą stronę, że wytwarza ową swobodną towarzyskość wśród dziewcząt. Bo oto odbywają nad projektem i dziełem wspólne narady; wszak jedna dobrze próbuje, druga ma dobry gust, tamta wyrobione oko, inna znów umie dobrze przykroić i jeszcze inna dobrze upiąć.

Suknie, sporządzane wprost przez osoby, które je same potem mają nosić, noszą na sobie cechę jakiejś indywidualności i mają dobry krój, gdyż dana osoba zna ostatecznie linie swego ciała, w każdym razie o wiele lepiej, niż jakaś podrzędna krawczyń.

Radość matki, która ubiera dziecko swe w ubranko wła-

snego wyrobu — niema potrzeby opisywać. Jest to ta dawna, szczerza uciecha, jaką czuła, gdy ongiś szyla sukienki dla swych lalek, tylko podnioslejsza i spotęgowana.

Są jeszcze inne, ważniejsze powody, dla których przemawiam za powrotem robótek ręcznych. Kobieta, już z przyrodzenia swego, obdarzona jest wybujałą, często nieposkromioną fantazyą. Czy tak wiele dowodzić o tem trzeba, jak w pewnych chwilach życia kobieta czuje się po prostu niešťeśliwą, nie mogąc opanować tej jakiejś marzycielskiej tęsknoty, która, być może, jest nawet „niezdrową“! W dawnych czasach kobiety zahaftowywały razem z przędzą i swe tęskne marzenia, a wśród turkotu cichego kołowrotka uspokajało się powoli niespokojnie bijące serce. A przecie kobiety nowszych czasów są jeszcze bardziej nerwowe od tamtych, a sędzę, że najlepszym tutaj środkiem uspakajającym, a przytem nie znieczulającym byłaby... jakaś robótka ręczna, którąby wykonać mogła bez zbytniego utrudzenia. Że tak jest istotnie, przytoczyć mogę jako przykład, że wiele zakładów leczniczych dla nerwowo chorych kobiet, posługuje się właśnie niemi jako najważniejszym, uspakajającym środkiem.

Należałoby zatem koniecznie przywrócić w szkołach należyty szacunek i uznanie dla robótek ręcznych, ale pod jednym warunkiem: niechże wykonują robótki takie, które służą ku ozdobie życia, a są pożyteczne i zarazem estetyczne. Precz wykluczyć należy owe nieskończone nigdy pończochy; owe płótna ze wzorami szycia, owe kanwy również „ze wzorkami“, owe... wzorki szydełkowych robót. Każda robótka powinna być celowa i... piękna.

Ale dziewczę należy już wcześniej zaprawiać do robótek, jeśli ma się długo cieszyć tem ukojeniem, jakie z nich spływa wśród życiowych burz. I jak przy każdej pracy, tak i tu musi się w niem budzić zadość ze skończonego dzieła.

Kto potrafi popęd dziecka do zabaw wyzyskać dla wprawienia go do pracy — ten przysparza dziecku największy po-

żytek i sprawia zarazem największą radość. I dlatego też nie należy zajmować dziecka niczem nieużytecznem.

Jeżeli twierdzę, że dziecko winno tworzyć tylko rzeczy użyteczne, to nie rozumiem przez to tylko rzeczy użytkowych, ale w ogóle wszystko, co przyczynić się może do ozdoby życia. Tylko, że to wszystko, co młode ręce mają tworzyć z entuzjazmem i niesłabnącą energią — musi mieć i duszę.

A oto właśnie w ostatnich dziesiątkach lat zeszłego stulecia obniżył się znacznie artystyczny poziom robótek ręcznych. Artyści wprost z pogardą patrzyli na hafty, odmawiając im zupełnie swych usług artystycznych. Obecnie widać znów zmianę ku lepszemu. Już pojawiają się tu i ówdzie artyści, którzy poświęcają się komponowaniu wzorów do robót kobiecych i zestawiają kolory dla nich, a nawet tworzą nowe.

Wzrok dziecka może się zatem kształcić obecnie na robotach ręcznych, jak jego zmysł estetyczny rozwija się przez oglądanie arcydzieł sztuki. Przeładowane haftami mieszkanie, gdzie wszystkie meble obłożone są pstrokatemi poduszkami i bezdusznemi pokryciami — przejmują wprost wstrętem. Ale i najdroższe meble, projektowane i wykonane choćby przez pierwszorzędných artystów, nie odbiorą mieszkaniu cechy jakiejś dziwnej pustki, jak długo brak w niem tego indywidualnego piętna, ukrytego w wytworach rąk pani lub mieszkanki domu. Najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam, był dworek, otoczony małym ogródkiem, pod Hamburgiem. Pełny był robótek ręcznych, ale jakiego rodzaju! Młoda pani tego domu, obdarzona niezaprzeczenie wysokim smakiem artystycznym, sama dobierała każdą materję, każdy kolor i wzór. I oto wśród najcięższej zimy działało to wnętrze, jak misterny jasny ogród japoński. Nie dziwiłam się też wcale, gdy mnie mąż zapewniał, że cieszy się zawsze, gdy może już wrócić do swego domu, po zajęciach codziennych.

Tak było u ludzi zamożnych. Ale uboga kobieta, o ile odnosi się do tego z zamiłowaniem, może osiągnąć wspaniałe

wprost efekty. Znam pewną staruszkę, która z materyi starych znoszonych ubrań męża sporządzała roboty, które na każdej wystawie wzbudzały zasłużony podziw. Ze szmatek aksamitu, jedwabiu lub sukna wycinała bez poprzedniego rysowania wzoru osobliwe smoki, cudne kwiaty i nadzwyczajne arabeski, i przyszywała to na tło szare kolorowemi nitkami wełnianemi i różnymi ściegami, jakie sama sobie wynajdywała.

Natura kobiety wymaga ciągłego zajęcia się czemś. Kobieta nie potrafi siedzieć — jak mężczyzna — godzinami po-grążona w myślach. A gdy robotki ręczne wyszły z mody — sięgnęła po papierosy, by przygłuszyć lub podniecić nerwy. Ale upragnionej równowagi duchowej nie odzyskuje.

Robotki ręczne wydają mi się dla kobiet tak konieczne-mi, jak np. digitalis dla chorego serca.

XIV. SZCZĘŚCIE, JAKIE DAJE PRACA.

Dziwnie wytrzymałym jest człowiek. Ileż to razy słyszy się o ludziach, którzy całymi tygodniami błakają się po morzu, za jedyne pożywienie mając garść sucharów. Albo weźmy górnika, który nigdy słońca nie widzi; czy też wygnańców sybirskich, którzy wystawieni są na okrutne tortury, a przecież je wszystkie wytrzymują. Wreszcie, czy mało mamy takich ludzi, którym los nie oszczędził żadnej boleści, a oni przecież nie zwątpili...

Lecz są i tutaj granice: tak zupełnie bez pożywienia niktby żyć nie mógł, a z nadmiernego bólu fizycznego można stracić przytomność. Wgnaniec czy aresztant oszaleje, jeśli męczarnie jego nie ustaną, jeśli długiej samotności czy tęsknoty nie osłodzi praca.

Człowiek żyć nie może bez pracy i bez towarzystwa drugich ludzi; ale choć tej starej prawdy nikt nie zaprzeczy,

to jednak jakże mało uwzględniają ją rodzice i wychowawcy w stosunku do dzieci!

Jeżeli zamknjemy dziecko w najwspanialszym parku, to choć je otoczymy najkunsztowniejszemi zabawkami — już w krótkim czasie, z uczuciem rozpacz, którą zna tylko więzień, szukać będzie wyjścia.

A gdy ten sam eksperyment powtórzmy z 20 dziećmi i zostawimy je same, by bawiły się od rana do nocy, to będą się niezawodnie radowały, będą dokazywały co niemiara; ich wynalazczość jest przecież ogromna. A jednak przyjdzie taka chwila, kiedy po prostu nie będą wiedziały, co dalej mają z sobą począć. Przypuśćmy, że wówczas wejdzie między nie ktoś starszy i obejmie kierownictwo zabawy. Wtedy potoczy się ona dalej, ale i to także nie znudzi.

Spróbujcie atoli dać dzieciom do wykonania jakąś pracę, której użyteczność pojmują, a która wymaga zarówno natężenia sił fizycznych, jak i skupionej uwagi; — jeśli przytem będzie to robota urozmaicona, wtedy po nocach nawet spać nie będą mogły, wciąż o tej swojej pracy myśląc i niecierpliwie wyczekując powrotu do niej po przerwie; zdolność wykonywania jakiejś pracy podlega u dziecka zupełnie innym prawom, niż to dzieje się u osób dorosłych; bezwątpienia jednak stosunkowo bywa zawsze większą, bo dziecko dysponuje nieużytemi jeszcze siłami, a przytem posiada ruchliwość, jakiej dorosły człowiek mieć nie może.

Dla dziecka nie istnieje przeciążenie pracą, dowodzi tego dobra szkoła.

Jeśli damy dziecku do ręki książkę i każemy mu, aby nauczył się dwadzieścia stron na pamięć, wówczas, jeśli nie posiadało sztuki pracowania, opuści głowę i bezradne patrzeć będzie w książkę, aż mu litery zaczną skakać przed zmęczonemi oczami; ogarnie rozpacz, jakby mu kazano wypić całe morze. Albo bezmyślnie odczytywać będzie po wiele-

króć razy stronicę po stronicy, albo zacznie mechanicznie bębnić na pamięć słowo za słowem.

Jeśli atoli dziecko traktować potrafi tego rodzaju zadanie jako gościniec długi, który ma przebyć, gdzie jednak odległości oznaczone są kamieniami kilometrowymi, a przy każdym takim kamieniu stoi ławeczka, ocieniona drzewem owocowym, wtedy rażno biegnie od ławki do ławki, od jednego drzewa owocowego do drugiego, nie myśląc wcale o tem znacznem oddaleniu od 20. kilometra.

Może zechce ktoś zarzucić tutaj, że tego rodzaju imaginacja bywa szkodliwą, bo należy dziecko już wcześniej wprawiać do spoglądania prawdzie w oczy. Wszak na długim gościńcu życia brak zwykle cienistych drzew przy każdym kamieniu milowym. Ja jednak twierdzę, że one i tam stoją. Tylko nie należy ich mijać, nie zwracając na nie uwagi; nie dopuścić, by usychały te drzewa niepielegnowane, a co gorsza, wycinać je na opał.

Siły życiowe dziecka, to... wodospad Niagary. Zniszczenie tego wspaniałego widowiska przyrody na to, aby całą siłę wodospadu użyć na pędzenie motorów fabrycznych, byłoby oczywiście zbrodnią karygodną. Cenną jest ta siła, to prawda, lecz nawet zauważyć się to nie da, gdy pewną jej część zużyje się dla celów praktycznych.

Nigdy nie powinno się używać dziecka do pracy, jak konia do zaprzęgu, którego się batem pogania. Dziecku musi się zostawić czas, aby zaprzyjaźniło się z kwiatami, z ptakami, ze słońcem. Dzień każdy jakże jest u dziecka długi! Znajdą w nim czas na sny i marzenia dziecięce, na zabawę i wyładowanie energii; znajdzie się także czas na poważną pracę.

Jest mnóstwo sposobów ulżenia dziecku w pracy: myśl, że w następstwie wykona pracę inną, która mu jest miłą; nadzieja przyjemności, jak ślizgawka, odwiedziny kolegów, dobra książka, a wreszcie wewnętrzne zadowolenie z dokonanego ja-

kiegoś dzieła, co oczywiście kiedyś zamienić się może w istotną radość z samej pracy.

Nawet najnudniejsza i na pozór przykra robota, może mieć swój urok; zależy tylko, jak na nią zapatrywać się będziemy.

Dziecko, które ma dobre skłonności, niezmiernie lubi pomagać starszym w pracy. Tę ochotę należy w dziecku podtrzymywać i popierać. Dwuletnia dziewczynka dreptać będzie za mamusią i ocierać kurze z krzesełek, poprawiać poduszki na kanapie, przenosić krzeselko z jednego pokoju do drugiego, a czuje się wtedy ogromnie szczęśliwa, bo ma zajęcie, słyszy pochwałę, bo zdaje się jej, że jest komuś potrzebną. Jakże szczęśliwym jest pięcioletni synuś, gdy go pošlą po znaczki pocztowe, albo gdy podaje tatusiowi kapelusz i laskę.

Nie znam piękniejszego widoku nad ten, kiedy dzieciaki wedle sił wyręczają mamusię w gospodarskich czynnościach, gdy mamusia jest niezdrowa, albo gdy nie ma służącej. Współzawodnictwo można w tym wypadku nazwać wysoce szlachetnem.

Dla pracy dziecka powinno się mieć zrozumienie; nie należy jej lekceważyć, jakoby była zabawką bez znaczenia, ani też przykładać doń miarę surowej krytyki.

U moich znajomych zachorowała służąca. Pani domu, młoda, wątła osóbką, żaliła się przed kimś w obecności swoich dzieci na ciężar pracy, który spadł na jej barki. Czteroletnia jej córeczka i pięcioletni synuś postanowili dopomóc mamusi. Po obiedzie matka wyszła za sprawunkami. Naczynie z obiadu stało w kuchni niemyte. Małeństwa zabrały się do mycia talerzy i garnków, oczywiście zimną wodą. Wkrótce cała kuchnia była zalana, a dzieci same tak przemokły, że ubrania ich ociekały wodą; talerze poustawiały na podłodze, żeby obeschły.

Zapadał już zmierzch. Dzieci uszczęśliwione przykucnęły w kąciку, za kuchennym piecem, czekając powrotu mamusi i ciekawe bardzo, co też powie do tej niespodzianki.

Nareszcie matka wróciła. Nie znalazłszy dzieci w pokojach, zaczęła na nie wołać, ale nikt się nie odzywał: wszakże miała być niespodzianka. Zaniepokojona wbiega do kuchni, wywraca się na rozstawionych talerzach, no, i zamiast spodziewanych hymnów pochwalnych, wszystko kończy się na krzyku i łzach.

Jeśli małemu już dziecku — obojętne, czy należy ono do klasy uprzywilejowanej, czy też jest ubogie — pozwolimy, aby okazało się użytecznym, wówczas odczuje pracę w dobrej szkole tak, jak pracę odczuwać należy: jako błogosławieństwo.

Dzieci naszej epoki nie znają wartości minuty. W szkole Ludwiki pokazuje się im, ile zrobić mogą w dziesięciu minutach, każąc im za ten czas napisać zadanie. Na jedną godzinę przypada sześć rozmaitych czynności, aby zrozumieć mogły, jaka jest rozciągłość czasu. Daje się także dzieciom wązką, długą wstawkę do wyszywania z poleceniem, aby codziennie pracowały przy tem nie dłużej jak dziesięć minut. Gdy zmiarkują potem, że robota tak wykonywana mimo to rośnie prędko, zaczynają się zastanawiać, w czem tkwi tego przyczyna.

Podczas wycieczki wykonuje się taki np. eksperyment: Dzieci spokojnie mają odpoczywać w trawie przez 10 minut. Następnie przez 10 minut pozwala się im biegać; przez dalszych 10 minut mają stać spokojnie i... nudzić się. Różnica w odczuwaniu długości tego czasu z pewnością nie ujdzie ich uwadze.

A oto inny eksperyment:

Lato. Susza. Starsi mają dosyć do roboty i brak im czasu do zajęcia się ogrodem i sadem. Drzewa stoją wyschłe ze smutnie opuszczonymi gałęziami. I wtedy poleca się dzieciom jako zadanie dziesięciominutowe, żeby podlewały codziennie po pięć drzew. W przeciągu dwóch tygodni drzewa lśnią świeżą zielenią, a dzieci promienieją z zadowolenia i dumy. Odtąd już na zawsze żyć będzie w tych dzieciach przeświadczenie o wdzięczności ziemi, za poświęconych jej 10 minut.

Dwunastoletnia dziewczynka źle czyta; a w tej szkole zwraca się większą uwagę na ładne, głośne czytanie, niż na grę na fortepianie. Więc zastanawiają się, jak zaradzić temu złemu. Trudność leży w tem głównie, że nikt w domu nie chce słuchać, jak dziecko na głos odczytuje, ćwicząc. Wtedy Ludwika wpada na pewien pomysł i powiada do dziewczynki: „Wiesz co? Codziennie podczas tego, jak kucharka wasza myje naczynie, czytaj jej na głos cośkolwiek z gazety przez 10 minut“.

A oto rezultat: Kucharka odczuwa to jako wielki honor i cieszy się zresztą miłym towarzystwem, a przytem dowiadyje się wielu ciekawych rzeczy; dziewczynka zadaje sobie Demostenesowskiego trudu, żeby opanować brzęk talerzy, skupić uwagę zajętej myciem kucharki i wreszcie, by obce wyrazy tak wymawiać, aby je ta zrozumieć mogła. Wkrótce już staje się z niej tak doskonała lektorka, że ojciec prosi ją, żeby mu na głos czytała gazetę. Czyni to, ale nie bez... honorarium.

XV. PRZECZULONE DZIECI.

Małe dziecko widziało raz, jak z żywej ryby zeskrobywano łuski i ta ryba drżała i wiła się w rękach kucharki. Wówczas miało ono uczucie, że ta ryba krzyczałaby z bólu, ale nie mogła. Od tego czasu, nie chce jadać ryb, które przedtem lubiało; co więcej, wychodzi z pokoju, gdy ktoś je rybę.

Dziecko ukarano, aby nie było przeczulone, ale to nic nie pomogło. W wigilię Bożego Narodzenia podają tradycyjnego karpia. Ta okoliczność psuje dziewczynce uroczysty nastrój całego wieczoru. Kiedy rodzina siedzi przy stole, ona musi wyjść z pokoju, bo inaczej na pewnoby zemdlała. Gdy dorosła, próbowano przezwyciężyć ten wstręt i razu jednego podano jej faszerowaną rybę pod pozorem, że to co innego.

Skutek był taki, że dostała gwałtownych wymiotów, że w całym organizmie wystąpiły objawy silnego zatrucia. A przecież była to osoba zdrowa, wcale nie rozkapryszona i w dzieciństwie przeszła też bardzo racjonalne wychowanie. Tylko na punkcie ryb miała właśnie takie „niewytłumaczone“ uprzedzenie, że tu nie pomagała ani silna wola, ani rozum, ani uczucie wstydu.

Na pytanie, co by się było stało, gdyby ją przymuszono jadać ryby, odpowiedziała: „Sądzę, że bym zwaryowała“.

I rzecz szczególna przy tego rodzaju wypadkach, że działają one wprost zaraźliwie. Młodszy brat, który podczas owego wypadku miał zaledwie dwa lata, przejął tę animozę swej siostry i choć był chwackim młodzieńcem, nie mógł przezwyciężyć przerażenia na widok... ryby.

— — — — —
Potęga sugestyi jest istotnie szczególna*).

Mały chłopczyk sankował się i upadł tak nieszczęśliwie, że o sztachety przeciął sobie język. Przyzwyczajony bez lży znosić cierpliwie największy ból i tym razem także nie płakał; zaprowadzono go do lekarza, ten bez narkozy zszywał mu rozcięty język. Chłopiec zemdlął. Wróciwszy do przytomności, nawet nie jęknął. Nie pozwalała mu na to jego zaciętość.

Ale od owego dnia, nawet w wiele lat później, cofał się ze wstrętem, widząc kieliszek czerwonego wina, barszcz, czerwone jabłko lub mięso. Widok krwi przyprawiał go o mdłości.

— — — — —
Mnóstwo dzieci czuje jakąś instynktową obawę przed niektórymi zwierzętami, a zwłaszcza przed poszczególnymi owadami, płazami czy gadami. Często winne są temu bezmyślne matki, głupie niańki i bony. Nie zmuszając dzieci, aby się przypatrywały tym stworzeniom, albo się niemi bawiły,

*) Porównaj: Potęga sugestyi przez dr. J. D. Wyd. „Kultura i Sztuka“, Lwów.

należy je przecie ostrożnie z niemi oswajać i pouczać, że nie powinny się ich obawiać, ani też czuć do nich wstręt.

Bardzo dobrze działa w tym wypadku przykład; jeśli ktoś taki, kogo dziecko kocha i któremu ufa, zbliży się do takiego stworzenia i bawi się niem, to może to podzielać na dziecko dodatnio. Jeśli atoli dziecko żadną miarą nie może przezwyciężyć wstrętu, trzeba to zostawić czasowi i przypadkowi.

— — — — —
Mała dziewczynka bała się pajaków. Codziennie po modlitwie wieczornej prosi „Bożę, by nie dopuściła, żeby pajak w nocy po niej łąził“. Pewnego razu jednak nagle w ciągu modlitwy budzi się w niej zwątpienie w wszechpotęgę boską i obawa, że pajak mógłby podejść Bożę; więc prędko dodaje: „Pajak nie powinien ani łązić po mnie, ani skakać, ani chodzić, ani na mnie spaść!“ I wtedy dopiero zasypia spokojnie i z tem błogiem przeświadczeniem, że już jest dobrze strzeżona.

— — — — —
Dwie dziewczynki bały się ogromnie karaluchów. Bawiły raz latem u krewnych na wsi, gdzie w pokojach było wiele tych owadów. Idąc jednego wieczora spać, zobaczyły w swoim pokoiku karalucha. Młodsza siostrzyczka zaczęła płakać i bała się położyć do łóżka. Starsza, aby jej okazać, że się nie boi, wzięła próżne pudełko od zapalek, wsunęła doń karalucha i zasunawszy wieczko, wyrzuciła go razem z pudełkiem za okno. Uspokojone położyły się do łóżka, ale nie mogły jakoś zasnąć. Wreszcie starsza przyznaje się, że gnębi ją troska, „czy też karaluch nie był żonaty, może miał dzieci i teraz te małe są głodne, bo same nie dadzą sobie rady“. Dziewczynki postanowiły uwolnić karalucha z więzienia. Cichutko otworzyły okno, wyszukały za oknem w trawie pudełko, a wróciwszy do pokoju, położyły je na ziemi i otworzyły. Teraz karaluch mógł sobie pójść, gdzieby tylko zechciał. Dzieci miały przy-

tem to błogosławione przekonanie, że karaluchy uznają ich dobry postępek i zostawią je w spokoju.

Pewna rozpieszczona dziewczynka bała się pozostawać w ciemnościach. Nie była także przyzwyczajona wychodzić sama na ulicę. I oto zdarzyła się jej rzecz wprost śmieszna: dzień w dzień musiał ją ojciec odprowadzać do szkoły i przychodzić znowu po nią.

Kiedy jednego razu ojciec pożegnał ją przed budynkiem szkolnym i odszedł, zauważyła, że brama jest zamknięta; był to dzień wolny od nauki, o czym zupełnie zapomniała. Chwilę stała przed bramą bezradna, potem strapiona usiadła pod bramą i zaczęła płakać. Jakaś pani, przechodząc, zapytała o powód tych łez. Odpowiedziała, że ojciec odszedł, szkoła zamknięta, a ona boi się czekać tu sama do południa, aż ojciec wróci po nią, by ją zabrać z powrotem do domu.

Litując się nad pięknem dzieckiem, pani oświadczyła gotowość odprowadzenia jej do domu, sądząc przytem, że mieszka gdzieś w odległej dzielnicy.

Jakież atoli było jej zdziwienie, gdy dziewczynka zawołała:

— O, mogę pani pokazać drogę; to bardzo blisko! Zraz za tą aleją parku.

I wzięła panią za rękę i pokazała jej drogę do domu.

W jakiś czas potem rodzina tej dziewczynki wyjechała do letniska. Mieszkali w samotnej willi, do której prowadziła ze wsi długa ulica, dookoła skały, a rzadko tylko oświetlona nocą latarniami. We wsi tej żyli murzyni, a murzynów dziewczynka bała się tak samo, jak ciemności. Jednego wieczora matka przyjmowała liczniejszych gości i poleciła jej, żeby dopilnowała służby przy przyrządzeniu i podawaniu potraw do stołu. Jedna z usługujących nie знаła krajowego języka, a druga była najęta wyłącznie na ten wieczór.

Przez pomyłkę nie przysłano zamówionych lodów.

Dziewczynka niepokoiła się tem coraz bardziej w miarę, jak zbliżał się czas podania lodów na stół, a tu żadnej służącej nie można było wysłać po nie. I oto stało się coś niespodziewanego:

Nie uprzedziwszy o tem matki, wybiegła dziewczynka z willi. Nie zważała, że to już późny wieczór i popędziła do cukierni. Sama, choć była szczupła i wątła, dźwigała wiaderko z lodami. Wróciła do domu w samą porę, kiedy należało podać lody i zasiadła przy stole. Matka zauważyła niezwykle blask w jej oczach, jak również i to, że oddech jej jest przyspieszony. Dopiero po odejściu gości opowiedziała matce, jak się rzecz miała.

— Jakto? I mogłaś przewyciężyć obawę przed ciemnością i murzynami? — zapytała matka wzruszona.

— Ciągle o tem myślałam, jakby się mamusia zmartwiła, gdyby lody na czas nie przyszły — odpowiedziała dziewczynka, rumieniąc się z radości.

Dusza dziecka skonstruowana jest niezwykle subtelnie. Należałoby, zauważywszy w postępowaniu dziecka coś takiego, czego wytłómaczyć sobie nie można, zachować się wówczas z pewną rezerwą. Wszystko u dziecka ma swoje uzasadnienie, niekiedy i ściśle logiczne powody. A właśnie najmniej zrozumienia okazują rodzice i wychowawcy dla uczuciowości dziecka; to też nic łatwiejszego, jak zadrasnąć przez to jego uczucie. Ileż to dzieci zostało zrażonych w swych uczuciach na całe dalsze życie, bo zdarzyło się, że kiedy przyszły do matki z pieszczotą, ta, zajęta czem innem, złała je: „Wstydź się! Jesteś już za duży na to, żebym się z tobą pieściła!“ I dziecko zaczyna się tego wstydzić i zasklepia się w sobie.

Nigdy nie jest się z nadto rozrzutnym w okazywaniu dziecku miłości i przywiązania. Nadmiar nawet pieszczot jest dla nich tak samo potrzebny, jak nadmiar słodczy. Niektórzy rodzice rozmyślnie nie pieszczą swoich dzieci, a to z obawy, żeby się nie stały ślamazarnami. Jest to bardzo smutny błąd.

Życie znajdzie już swoje sposoby, aby je zahartować, a im większy zasób czułości i łagodności wyniesie dziecko z domu rodzicielskiego lub ze szkoły, tem lepszym i pogodniejszym wyda mu się świat; o ileż łatwiej przytem dźwigać będzie ciężar smutnych dni, które go z pewnością nie miną. Istnieją całe generacje, którym, rzecz można, obcą jest każda pieszczota; ale to odrazu wyczytać można z twarzy dzieci, które należą do takich pokoleń.

A owa dziewczynka, która w odpowiedzi na pytanie: „Jaka jest twoja największa troska?” — napisała: „Nikt mnie już więcej nie bierze na kolana i nie pieści...” z pewnością nie była jeszcze tą najbardziej skrzywdzoną: zachowała szczerą swobodę wyrażenia swoich uczuć.

— — — — —
Pierwsze, najsztudniejsze, wszystko ogarniające uczucie miłości u dziecka, obrażają i zabijają niewłaściwe powiastki i bajki. Choć pisane przez pisarzy utalentowanych, mogą jednak w tym kierunku być złe. Słuch i dusza dziecka są wrażliwsze na każde gwałtowne szarpnięcie, aniżeli... Stradivarus.

Każda powiastka, którą opowiadamy dziecku, może być dla niego korzystną lub szkodliwą: powiększa wiedzę dziecka i albo daje mu właściwe lub niewłaściwe pojęcie o moralności.

Gdyby dzieciom nie opowiadano bajek, w których jest mowa o znęcaniu się nad zwierzętami, nie istniałaby wśród dzieci taka pasja do dręczenia zwierząt. Mówi się, że dzieci są już z natury ich dręczycielami. Ale to nieprawda. Dziecko tylko z nieświadomości wyrывa motylowi skrzydła, tak samo, jakby obrywało płatki róży. Winę w tym wypadku ponoszą starsi, którzy patrzyli na to spokojnie, jak dziecko niszczy kwiaty.

Należy troszczyć się o to, aby dziecko przyswoiło sobie należyte wyobrażenie o wszystkim, co żyje i co należy do życia organicznego. Wtedy odczuje radość z przeświadczenia o własnem istnieniu, a dotykać się będzie każdej rzeczy ostrożnie i z miłością.

Dziecko rozróżnia w najwyższym stopniu to, co jest smutne, od tego, co jest wesołe. Lecz nie zawsze potrafią dorosli odgadnąć, co wydaje się dziecku wesołem, a co smutnem. Zdarza się, że dzieci proszą, aby im opowiedzieć właśnie „smutną” bajkę, która ich wzrusza aż do łez i chciałoby jej ciągle a ciągle słuchać.

Trudno z początku w tem się zorientować; przypuszcza się, że dziecko pomieniało pojęcia; dopiero z czasem dochodzi się do przeświadczenia, że pod określeniem „smutnej” bajki należy rozumieć coś takiego, co wywołuje niepokój u dziecka.

Śmierć jest dla dzieci czemś takim, czego zrozumieć nie mogą. Można im opowiedzieć o śmierci tak, że będą drżały z przerażenia, ale można i tak mówić, aby ją uważały za coś ponętnego. I tak to, że zmarłe dziecko leży w zimnej, mokrej i ciemnej mogile, wydaje się im brzydkie; ale, że dziecko dostaje piękne, białe skrzydła i może, jak motyl, bujać w powietrzu i lecieć aż do samego słońca, a nocą odwiedzać złote gwiazdy na niebie, to przecie jest cudowne.

Historję o „Jasiu i Małgosi”, która przecie kończy się dobrze i dorosłym nie może się wydać wcale tragiczną, dzieci zaliczają do bardzo smutnych. Spalenie czarownicy wywołuje u nich przykre uczucie. Nie cierpią wprawdzie tej czarownicy i prawdopodobnie nie współczują z nią wcale; to jednak, że poddana zostaje męczarniom, wydaje im się okrutnem i choć sobie z tego nawet nie umieją jasno zdać sprawy, nazywają tę bajkę „smutną”.

Szwedzka piosenka dziecinna powiada: „To mnie najwięcej i z całego serca cieszy, że piętnastu krąwców waży za ledwie jeden funt”. Mała Marylka nie chciała śpiewać tej piosenki; pogodziła się z nią dopiero wtedy, gdy jej pozwolono na zmianę tekstu: „To mnie martwi z całego serca...” i t. d.

Nad tem powinni się zastanowić wychowawcy i literaci, piszący dla dzieci. Nic łatwiejszego, jak spaczyć u dzieci pojęcia w tym kierunku, które zwłaszcza w początkach przed-

stawiają dla nich najwyższą wartość moralną. Jeśli okażemy powolność dla naturalnych wymagań dziecięcego umysłu, zanim ten uległ spaceniu przez narzucone przez starszych pojęcia, to się okaże, że jest coś naprawdę boskiego w tem poczuciu, dobra, czystości i piękna u dziecka.

W ciągu niewielu lat piękne dzieło natury zostaje zniszczone. Małe, niewinne dzieci pławią się wprost w lekturze krwawych historii, chłoną chciwie książki o wojnach, o szpiegostwie, więzieniach i wyprawach rozbójniczych i o uprawianym na nich handlu pojmanymi jeńcami, jako niewolnikami.

Te baśnie i opowieści, które obecnie przykrawują jako lekturę dla dzieci, długo wędrowały przedtem po świecie jako umoralniające książki dla ludów nieoświeconych i dzikich i bezsprzecznie wywierały tu wpływ dodatni; lecz dziś nie nadają się one absolutnie do tych celów, jakie się im wyznaczają, a w dzieciach budzą tylko brutalne instynkty.

Bardzo rzadko spotyka się jednostki, któreby popełniły jakieś okrucieństwo ze złośliwości, a nawet wątpię, czy wogóle takie jednostki istnieją. W takim wypadku można to przyjąć za pewnik, że w wychowaniu ich zaszła jakaś niewytłómaczona omyłka, albo że jest to reakcja przeczulonego serca, które mści się w ten sposób za doznane w dzieciństwie krzywdy.

Wychowanie nie jest wszechmocnem. Wychowanie, jeśli cuda działa, to niestety rzadziej w dodatnich, pozytywnych wynikach na polu kształcenia duszy dziecięcej, niż w ujemnych kierunkach niszczenia walorów wartościowych.

Przytoczę tutaj dwa klasyczne przykłady, do czego doprowadzić może niedołęstwo albo opieszałość rodziców: Pewna dziewczynka uważana była przez otoczenie za głuchoniemą. Gdy ją wreszcie oddano do zakładu dla głuchoniemych, okazało się, że jest zupełnie normalną. Zapomniano ją tylko nauczyć... mówić.

Wygląda to na przesadę, ale jest niestety smutną prawdą.

Ojciec, zubożały arystokrata, namiętnie oddawał się grze w karty. Matka, niepozorna, wiecznie zahukana istota, czyniła nadzwyczajne wprost wysiłki, żeby jako tako utrzymać ład w domu. Dzieci, dorosłe, poszły już w świat, gdy przybyła jeszcze dziewczynka. A właśnie wtedy ojciec przegrał znaczną sumę i nie mógł tego długu karcianego spłacić; uważając się z tego powodu za imfamisa, wytrąconego z t. zw. towarzystwa, począł się zapijać. Wtedy dochodziło nawet do tego, że brutalizował żonę. Kobieta płakała, ale nie żaliła się przed nikim. Samotna i opuszczona, przyzwyczaiła się mówić do siebie samej. Gdy dziecko zapłakało, mąż rzucał się na żonę. Uspakajała wtedy, by je uciszyć, a potem to już przeszło w jakieś przyzwyczajenie, przyczem, zamiast mówić do dziecka, porozumiewała się z niem na migi; w ten sposób dziewczynka rosła niema. W domu bowiem panowało wieczne milczenie, którego nikt obcy nie przerywał.

Gdyby nie to, że ojciec umarł, a matka zachorowała niebezpiecznie i obcy ludzie zajęli się wtedy dzieckiem, to nie byłoby się ono nigdy dostało do zakładu dla głuchoniemych i nie nauczyłoby się mówić.

Drugi wypadek jest jeszcze tragiczniejszy. Ktoś, ze starego, bogatego rodu, ożenił się z kobietą nie swojej sfery. Oburzona mezaliansem rodzina, odsunęła się od niego, wyznaczając mu roczną rentę i mieszkanie na małym folwarku. Z czasem przyszła na świat spora gromadka dzieci. Ojciec troszczył się tylko o chłopców; dziewczęta były dla niego „stworzeniami niższego gatunku“.

Nie widział on tego, że żona znacznie go przewyższa umysłem; była bowiem niezmiernie taktowna i subtelna. Dla niego pozostała zawsze tylko tą, do której się musiał zniżyć. Próżniactwo, brak towarzystwa, sprawiły to, że stał się dla domowników tyranem i zdziwaczem. Synowie mieli podnieść

ród jego, a córek nawet do szkoły nie posyłał. Matka uczyła je sama, ale umiała niewiele. Od najwcześniejszych lat były traktowane przez braci, jak dziewczki służebne i tak już zostało do końca. Najmłodsze dzieci były, ku strapieniu ojca, dwie dziewczynki; ojciec nie patrzył na nie, ani nie mówił do nich wcale. W jego mniemaniu okradały braci z nadwyżki, którą mieć mogli z tego, co kosztowało żywienie i odzież sióstr.

Jeśli synowie byli w domu, a mieli u siebie gości, starsze dziewczęta usługiwały im, a najmłodsze nie pokazywały się wcale, bo nie miały przyzwoitego ubrania, a przytem robiły takie wrażenie, że nie można ich było pokazywać ludziom. Brutalne postępowanie ojca tak je onieśmieliło, że bały się wejść do pokoju, w którym on przebywał, a gdy ktoś przemówił do nich, spoglądały, jak nieprzytomne. Odpowiadając, jękały się i drżały na całym ciele. Wyglądały wprost na idiotki.

Dziwnym trafem odkryła jakaś obca pani, że jedna z tych dziewczątek posiada nadzwyczajne poczucie barw i zamiłowanie do rysunków, i że druga ma głos prześliczny. Nie spoczęła więc, dopóki nie udało się jej wyrwać tych dzieci z domu rodzicielskiego. I oto jedna z dziewcząt, ta, która miała talent malarski, dzwignęła się rychło, gdy nie czuła już nad sobą tyranii ojca. W szkole celowała w naukę, a potem dostała się na akademię. A jednak cień jakiś pozostał na zawsze na jej duszy. Jeśli ją ktoś z nienacka zagadnął, mogła wybuchnąć histerycznym płaczem. Ilekroć wspomniał ktoś o jej ojcu, blade śmiertelnie. Nawet prośba matki nie mogła jej skłonić do tego, żeby przekroczyła progi ojcowskiego domu, gdy ojciec był już nieszczęśliwym paralitykiem, na resztę życia przykutym do swego fotelu.

Młodsza dziewczynka za wiele już wycierpiała, kiedy ją odebrano z domu rodziców. Nie pomogło, że ją umieszczono u dobrych i mądrych ludzi. Wskutek ciągłego zahukania, nieustannego brutalnego obchodzenia się z nią, naprawdę zidyociała. Gdy jej powiedziano: „Idź do swojego pokoju“, poszła,

lecz zatrzymywała się przed drzwiami i wystawała tam godzinami całemi. Jej myśl już nie wibrowała wolą, by poszła dalej. Gdy jej kazano grać, grała, potrafiła nawet wzruszyć muzyką swą, atoli najczęściej urywała nagle, a miała przytem taką minę, jakby nie wiedziała, gdzie się znajduje. Pewien sławny psychiatra zainteresował się tym wypadkiem, zaczął ją leczyć, ale po jakimś czasie orzekł, że jest nieuleczalnie chorą. Oto w dzieciństwie zabito w niej nawet instynkt samozachowawczy, a wszelka wola, wszelkie siły żywotne zostały w niej sparaliżowane.

XVI. MALI KŁAMCY.

Są dzieci, które można oduczyć kłamstwa, lecz bywają znów takie, że wszelkie w tym kierunku wysiłki pozostają bez skutku. Często leży wina złego i w tem, że nie zbadano uważnie przyczyny kłamania i nie starano się właśnie tej przyczyny usunąć.

Dzieci kłamią najczęściej, bo się boją wyznać prawdy, albo kłamią, żeby ich zostawić w spokoju.

Jeżeli dziecko późno wraca do domu, bo po drodze oglądało wszystkie możliwe wystawy sklepowe, wówczas wymyśla bajkę o... wstrzymaniu tramwajów. A gdy zapomniało w domu książkę — to opowiada, że ojciec przez pomyłkę zamknął ją w swojej szafie. Nie zrobiwszy zadania dlatego, że je zanadto nęciła ślizgawka, skłamanie na usprawiedliwienie, iż ktoś zachorował w domu, albo że niespodziewanie przyjechali krewni z prowincyi.

Dziecko zdaje sobie niekiedy z tego sprawę, że tym małym kłamstwom nikt nie wierzy, ale ma równocześnie to uczucie, że one powodują mniej kłopotu, aniżeli przyznanie się do prawdy.

— — — — —

W szkole Ludwika spotyka dzieci ta niespodzianka, że się im wierzy, bez zastrzeżeń. Mogą opowiadać, co im się żywnie podoba, wszystkiemu tu wierzą.

Bajkę o wstrzymaniu ruchu tramwajów, przyjmuje się seryo i z dobrą wiarą; nauczyciel i koledzy wyrażają swoje współczucie: „Biednyś ty!... Czekałeś tak długo i marześ na ulicy, podczas gdyśmy tu siedzieli w ciepłej klasie. A myśmy przypuszczali, żeś sobie zasnął, jak to niejednemu z nas niekiedy się zdarza. W każdym razie skrzywdziłeś cię takim posądzeniem“.

W zeszycie nowego przybysza są plamy z atramentu. Winna temu służąca w domu. Wszyscy w szkole Ludwika śmieją się z tej dziewczyny: „A to się biedaczka z pewnością przestraszyła i martwi. Nie wie, że my tu mamy płyn taki, który wywabia plamy z atramentu“.

Żartem dodaje się uwagę, że woda do wywabiania plam jest zawsze do dyspozycji uczniów. Przy tej sposobności dowiaduje się dziecko, że nie tylko te plamy na papierze dadzą się wywabić, ale i wiele innych, które w życiu ich dotknąć mogą. Przeświadczenie to dodaje dziecku pewności siebie i pozbywa się obawy. Wnet też czuje się dziecko w tej szkole jakby oszańcowane przed każdym niebezpieczeństwem, z jakiegokolwiek stronyby ono groziło.

Zadanie, nienapisane rzekomo z powodu przyjazdu austrialskiego wujaszka, staje się punktem wyjścia rozlicznych dyskusji o... Australii i to z mapą i ilustracjami w ręku. A przytem te rozliczne pytania: Czy wujaszek żonaty? Czy ma dzieci? Czy nie zechciałby zwiedzić kiedy szkoły? Czy mówi tylko po angielsku? A możeby się wyuczyć jakiego wiersza, aby mu sprawić niespodziankę?

W krótkim czasie ustają owe kłamstwa.

Jedna z małych dziewczynek kłamała i zawsze u niej służące były wszystkiemu winne. Zaledwie pobyła w szkole

Ludwika pół roku, doszło do tego, że rodzice znaleźli raz następujący list, który uszczęśliwiony ojciec przyniósł Ludwice:

„Kochany Ojcie! Kochana Mamo! Stłukłam gruszkę od elektrycznej lampy w waszej sypialni. Piszę o tem, abyście nie myśleli, że to zrobiła służąca, gdy wrócicie z teatru, a ja wtedy będę już spała“.

— — — — —

Wpływ tej szkoły jest tak znaczny, że dziecko może swobodnie wyznać: Nie mogłem się nauczyć lekcji, ani napisać zadania. Coś mnie zirytowało, ale nie wiem, co. Siedziałem nad książką i ani rusz nic nie zrozumiałem.

Pod tym względem szkoła wiele zdziałać może. Niezawsze lenistwo jest powodem, że uczeń przychodzi na lekcję nieprzygotowany. Często się zdarza, że uczeń walczy z chwilowym niedomaganiem fizycznym, lub też, że rozgrywa się w nim jakiś proces psychiczny na zewnątrz nieujawniony.

Powinno się uwzględniać tego rodzaju rozterki psychiczne i starać się zbadać ich przyczyny. Gdy się w rozmowie z dzieckiem uderzy w tym kierunku we właściwy ton, to zadanie w znacznej mierze jest ułatwione.

— — — — —

Niezwykle zdolna, szesnastoletnia pensjonarka, nawiasem mówiąc, z wybitnym talentem poetycko-lirycznym, nie przyszła jednego dnia do szkoły. W domu zauważyli rodzice, że suknie jej są obłocone, a obuwie przemokłe. Nie chciała jednak powiedzieć, gdzie była.

Ludwika poprosiła ją do swojej kancelarii.

— Nie byłaś dnia tego ani w szkole, ani w domu? — pyta Ludwika.

Dziewczynka milczy.

— Czy byłaś w lesie?

— Tak.

— Sama?

— Tak.

— Skomponowałaś nowy wiersz?

Ze spuszczonei oczyma dziewczyna szepce:

— Tak.

— Czy mogę zobaczyć i przeczytać ten wiersz? — pyta znów Ludwika.

Z pewnem wahaniem i niechętnie dziewczyna pokazuje początek... poematu.

— Byłaś wtedy szczęśliwa? — pyta Ludwika, przeczytawszy rękopis.

— Nie...

— Czy dlatego, że miałaś wyrzuty sumienia?

— Tak.

— A może już dość masz tej szkoły?

— Kocham szkołę!

— Czy szukałaś samotności?

— Mam ośmioro rodzeństwa; w domu ani chwili nie mam spokoju...

— A więc, proszę cię, jeśli będziesz jeszcze miała ochotę pójść do lasu, połóż przedtem na moim stole karteczkę i napisz dokąd poszłaś?

I przytem zostało. W przeciągu roku zdarzyło się zaledwie kilka razy, że na stole swoim Ludwika znalazła takie karteczki. Życzenie owej poetki było za każdym razem poważnie respektowane.

Gdyby nie zrozumiano porywów tego dziecka, zmuszonoby ją do kłamstwa, a przytem miałyby ona to uczucie, że jest traktowaną, jak więzień.

Szczególnie w okresie przejściowym rozgrywają się w duszy młodego dziewczęcia przemiany, wobec których należałoby się zachować z nadzwyczajną delikatnością. Za wielką pobłażliwość jest tu bardziej wskazana, niż system przeciwdziałania. Liczyć się z tem trzeba, że takie dziewczątka bywają niezmiernie rozdrażnione i byle co może stanowić tę jedną kro-

plę, która puchar rozgoryczenia pełny przelewa za brzegi, a wtedy... nieszczęście gotowe.

Bywają dzieci, które kłamią, nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy. Rozbijała ich wyobraźnia w ciągłym jest ruchu i pracuje tak intensywnie, że nie mogą nad nią zapanować. Nie mogą też odpowiadać za swoje kłamstwa, ale życie narzuca im tę odpowiedzialność. Nie ulega kwestyi, że wyświadcza im się wielkie dobrodziejstwo, gdy się je kłamać oduczy. Tylko... że równocześnie ogranicza się im świat, usuwa się im z przed oczu cudną fata morgana.

Marcinek i Helenka mieli jednakie skłonności do fantazyowania. Rodzice przypuszczając, że jedno na drugie wpływa ujemnie, zażądali rozdzielenia ich w szkole. Marcinek dostał się do innej klasy.

Zachorował.

Rodzice chcieli mu sprawić przyjemność i zapytali, jaką mu kupić zabawkę. Marcinek długo nie odpowiadał, spoglądając w sufit, nareszcie szepnął: „Pozwólcie mi znowu siedzieć w jednej ławce z Helenką. My sobie takie ładne wymyślamy kłamstwa...”

Helenka kłamała. A ponieważ matka jej, jako dziecko, miała również wyraźne skłonności do fantazyowania, lękała się, czy też córka nie odziedziczyła tego po niej. Za wszelką cenę, dobrocią czy surowością, postanowiła oduczyć ją kłamstwa. I dziwna rzecz. Helenka była spokojnem dzieckiem; niktby się tego po niej nie spodziewał, że w tej główce pali się, jak w kraterze. Skoro tylko ktoś opowiedział coś w szkole, Hela wysuwała swoje paluszki, by potem cichym, spokojnym ale przekonywującym tonem opowiedzieć o czemś podobnem, ale jeszcze straszniejsze i ciekawsze rzeczy.

Mówiło się n. p. o aeroplanach, wówczas Helenka właśnie temu dwa dni dopiero odbyła podróż napowietrzną zeppelinem. Nie obyło się oczywiście bez strasznego wypadku:

zeppelin zleciał, ale zawisł na maszcie okrętowym i tak uniknęli śmierci.

Gdy była mowa o pożarze, to już paliło się w domu, gdzie mieszkali rodzice Helenki. Był to ogień straszny, a strażacy, ratując dzieci, wyrzucali je... kominem.

Przy opisywaniu okazów z ogrodu zoologicznego, miała już w pogotowiu historyjkę o tem, jak to spotkała raz węża w lesie, a taki był długi, jak wieża kościelna, i już zaczął się owijać w około niej, ale na szczęście nadbiegł policyant, który szabłą uciął wężowi głowę.

Nie wszystkie historie były tak przeraźliwe. Umiała także opowiadać rzeczy niezwykle wzruszające o kwiatach i ptakach. A opowiadała nie dlatego, żeby się pochwalić, albo pokazać, że umie to lepiej, niż drugie, ale poprostu dlatego, że tamte historie, które inni opowiadali, nie zadawały jej ruchliwej fantazyi. A podczas kiedy opowiadała, widziała wszystko przed sobą tak, jakby to się rozgrywało w rzeczywistości.

Razu jednego matka Helenki, była gdzieś z wizytą; tu przystępuje do niej nieznaną damą i wśród rozmowy powiada: „Taka pani młoda, a już tak wiele przeżyła“.

— Jak to? Nie rozumiem — dziwi się matka Helenki.

— Wszakże straciła pani czworo dzieci, które poumierły w krótkim czasie.

W tem wszystkim nie było ani słowa prawdy. Ale wkrótce rzecz się wyjaśniła.

Oto w szkole mówiło się o cmentarzu; nauczycielka rzekła do dzieci: „Przypuszczam, że żadne z was nie ma tam swoich bliskich“. A na to wstaje Helenka i nie zastanawiając się wcale nad tem, że nauczycielka jest siostrą jej matki, opowiada zaczyna ze łzami w oczach, że czworo jej rodzeństwa umarło i że w białych, ślicznych trumienkach wyniesiono je na cmentarz.

Postanowiono, by Helenka sama wyznawała, kiedy mówi prawdę, a kiedy fantazyuje. Aby jej nie obrazić, unikano wy-

rażenia, że kłamie. Skoro zaczynała coś opowiadać, przerywano jej słowami: „Przeżyłaś to naprawdę, czy to tylko taka historyjka?“ A Helenka, która z powodu swej bujnej wyobraźni już dużo wycierpiała, spuszczała wówczas główkę i smutna, jak ktoś, co obudziwszy się po cudnym śnie o kwiatach i wiośnie, widzi, że śnieg i wichura na dworze, odpowiadała cichutko: „To tylko taka historia, ale już nie chcę dalej opowiadać“. Duże, perliste łzy staczały się po jej buzi. Leciuchny pyłek motyli zdmuchano brutalnie ze skrzydeł jej fantazyi, już nie mogła ulecieć w słońce. Odtąd kłamie już tylko tyle, co i inni ludzie.

XVII. MALI ZŁODZIEJE.

— Czy istnieje jeszcze coś, co rodzice i wychowawcy traktują z większą powagą jak właśnie kradzież? — Tem pytaniem odpowiedziała mi Ludwika, gdy ją raz zagadnęłam o jej doświadczenia w tym kierunku. — Dziecko które kradnie! — ciągnęła dalej. — Owińmy suknię ciasno dokoła nóg, byle tylko nie dotknąć takiego dziecka. Stara przypowieść powiada: Kto szepce — ten kłamie, kto kłamie — ten kradnie, a kto kradnie — tego powiesić! W obronie moralności i dziś jeszcze nie jesteśmy dalecy od myśli, że należy powiesić dziecko, które „kradnie“. A jednak pozostanie to niewzruszoną prawdą, że niema prawie takiego dziecka (a mówię o zdrowych i normalnych dzieciach,) któreby przy jakiejś okazji, raz lub drugi nie przywłaszczyło sobie cudzej własności. Bo dzieci nie mają takiego zrozumienia dla pojęcia własności, jak starsi.

Gdyby umarli mogli powstać i zaświadczyć, wówczas byśmy się dowiedzieli, ilu to ludzi zepchnięto na drogę zbrodni ponieważ kiedyś ich niewinne wybryki dziecinne traktowano jako wielką zbrodnię.

Dziecko kradnie albo z podnieconej przez fantazję skłonności do emocyi, lub też z żądzy posiadania jakiegoś przedmiotu, któregoby, według swego przekonania, w inny sposób nie osiągnęło. A jak małe są te życzenia dziecięce! Ciastko z kremem, wędka, scyzoryk, lub coś podobnego. I oto zbyt długo w ukryciu noszone życzenie staje się im ciężarem nieznośnym, od którego uwolnić się mogą tylko przez przywłaszczanie sobie owego przedmiotu upragnionego. No i jest kradzież!

Ludwika mówi dalej:

— Rozumie się, że i w naszej szkole zdarza się tu i ówdzie sposobność do doświadczeń i w tym kierunku. Wypadki te jednak są bardzo rzadkie i mało znaczące, a dla mnie pozostało to pewnikiem, że jeśli dziecko kradnie, jest to wada, której się pozbędzie, gdy traktować je będziemy z szczerą serdecznością i z istotnem zrozumieniem.

Jeśli ojciec popiera u synka jakiegokolwiek kolekcjonerstwo, np. marek, to temsamem u dziecka rozwija chciwość w tym kierunku. Chłopiec będzie marzył o posiadaniu jakiejś „kosztownej“ marki, której ceny dla niego olbrzymiej nie posiada — i jednego dnia wykradnie matce z torebki potrzebną kwotę. Rodzice wtedy zapłoną pobożnem, cnotliwem oburzeniem: „Nasz syn złodziejem!“

Do szkoły Ludwika przyszła biedna kobieta z małą córeczką i prosiła o bezpłatne umieszczenie. W trakcie rozmowy kobieta wyjawiała z płaczem, że córkę jej wydano z publicznej szkoły, bo... kradła. Dlaczego to robiła? Ojciec, ubogi urzędnik, chorował długie miesiące. Na lekarza i lekarstwa wydawało się wszystką gotówkę. Córką nie mogła się doprosić pieniędzy na przybory szkolne. Wstydziła się do tego przystać w szkole, a chciała mieć wszystkie potrzebne przybory, bo zdolna i ambitna, nie mogła tego na sobie przenieść, aby zalegać z zadaniem, czy to z rysunkami.

Ludwika przyjęła dziewczynkę do szkoły; a ponieważ nigdy nic nie czyni połowicznie, przeto i tu oddała się sprawie całą duszą. Pierwotnie postanowiła, by przedewszystkiem nikt nawet z grona nauczycielskiego nie dowiedział się, dlaczego ta dziewczynka zmieniła szkołę.

Ale to milczenie ciążyło dziecku. Żyła w ciągłej trwodze, że wszystko się wyda.

Koleżanki dziwiły się, że „ta nowa“ taka jest bojaźliwa i tak trzyma się zdala od reszty. Zaczęły badać, dowiadywać się, aż wreszcie pewnego dnia jedna z uczennic wprost zapytała Ludwikę podczas pauzy:

— Proszę pani, czy to prawda, że Lidyę wydano ze szkół, bo kradła?

Ludwika ominęła na razie odpowiedź, i opanowawszy się, rzekła tylko:

— Jutro opowiem wam rzecz całą.

Przedewszystkiem musiała się dowiedzieć, jak się sprawa wydała. Otóż w szkole, gdzie Lidya popełniła kradzież, dyrektor zakładu miał wykład we wszystkich klasach na temat: Nie kradnij i opowiedział o Lidyi, która mimo to, że jest jedną z najzdolniejszych uczennic, będzie przecież wydaną ze szkoły, bo kradła.

To wystarczyło Ludwice. Wiedziała, że takie wieści wychodzą ze szkoły na miasto.

Obmyśliła sposób, żeby na dzień następny uwolnić Lidyę od nauki. Weszła do klasy i zamiast zwykłej lekcji, miała wykład o tem, czem jest prawo własności. W oświeceniu teoretycznem własność powinna być strzeżona. Dzieci przyznały jej słuszność. Potem Ludwika zaczęła kolejno rozwijać myśl swoją o prawie własności ze stanowiska praktyki życiowej i wnet znalazła sposobność przytoczyć mnóstwo przykładów ze swego życia i z życia innych osób, które jako dzieci przywłaszczyły sobie cudzą własność.

Wnet w całej klasie zawrzało, jak w ulu. Wszystkie kradły. Ale to wszystkie.

Wtedy Ludwika przeczytała dzieciom wzruszające opowiadanie Isoldy Kurz o pewnym chłopcu, który mimo swych nadzwyczajnych zdolności, zmarniał nędźnie. Razu jednego ukradł koleżance złoty pieniądz. Przekonany był o tem, że to blaszka. Lecz temu tłómaczeniu nie dawano wiary. Wyrzucili go ze szkoły, a on potem stał się naprawdę zły i przewrotny. Przy końcu opowiadania, cała klasa płakała. Jedna z dziewczątek rzekła:

— Przecie w rzeczywistości ludzie nie mogą być tak okrutni i karać dzieci w ten sposób.

Teraz Ludwika opowiedziała historię Lidy, nic nie ujmując z prawdy i nic też nie upiększając. Dzieci były głęboko wzruszone.

Długą chwilę trwało w klasie milczenie. A potem sypnęły się uwagi:

— Dlatego taka małowówna!

— I lęka się spojrzeć ludziom w oczy!...

— A takie ładne ma przecież oczy.

— A ja zawsze ją lubiłam, tylko nie wiedziałam, jak jej to trzeba okazać.

Zrozumienie i współczucie wytrysnęły ożywczą strugą z tych dusz dziecięcych. Nie mogły się doczekać, aż zobaczą Lidę, żeby jej powiedzieć coś dobrego. Chciały pójść do niej. Lecz wytłómaczyła im Ludwika, że tak być nie może i zażądała owszem, aby niczem nie dały poznać Lidy, o czem tutaj mówiono. Cała klasa złożyła solenne przyrzeczenie, jak przysięgę.

I wiedziała o tem Ludwiką, że żadne z dzieci nie opowie tego w domu, co słyszało tutaj o Lidy. Co więcej, przekonana była o tem także, iż jeśli która z dziewczynek zapisze w swoim dzienniczku, czego ją dzień ten nauczył, nie wymieni imienia Lidy, lecz oznaczy je kropkami.

Bezwiednie przyczyniła się Lidya do tego, że w całej

klasie zapanował szczególnie podniosły nastrój. Zadziwiający był takt tych dzieci. Krok za krokiem, powoli i delikatnie nastąpiło zbliżenie się do Lidy, i zanim minęło pół roku, stała się Lidya najweselszą w całej klasie, a była też wszystkich ulubienicą.

Jeszcze jedno: Lidya przekonała się w tej szkole, że tutaj ubóstwa nie należy się wstydzić, że owszem te zamożne uczennice prawie że się wstydziły swago bogactwa.

— — — — —

A był to jedyny poważniejszy wypadek w szkole Ludwiki, jeśli można tak powiedzieć, że dotyczy on szkoły.

Ludwika śmiała się przy tem opowiadaniu.

— Jeszcze musisz usłyszeć o innych dwu wypadkach — rzekła. — Rozradują twoją poetycką duszę, jak już rozradowały innych wielu, którzy znają tę historię.

Mamy w naszej szkole chłopaczka, który jest synem bogatego kupca. Złota rybka. Gdyby zarząd szkoły w to się nie wmieszał, byłby codziennie zajeżdżał przed szkołę w własnym automobiliu z lokajem i szoferem w liberyi. Otóż temu chłopcu polecamy uroczyście, żeby posługiwał się tramwajem w razie potrzeby, a szczególnie wtedy, gdy ma przychodzić do szkoły. Stało się. Ojciec daje mu codziennie na bilet tramwajowy 28 groszy, w tem na „napiwek“ dla konduktora 4 grosze.

Minął rok. Jednego dnia odwiedza mnie w kancelaryi jego ojciec, zaaferowany i zmartwiony okrutnie. Co się stało? Mały jest złodziejem. Znalaziono puszkę z mnóstwem drobnej monety. Skąd te pieniądze? Rodzice z zasady nie dają dziecku gotówki, lecz tylko upominki. Wołam dziecko i powoli wydaje się rzecz cała. Owe cztery grosze „napiwku“ dla konduktora, chłopiec chował skrupulatnie.

— Dlaczegoś to robił? — pyta ojciec.

Chłopiec energicznie wstrząsnął głową.

— Bo konduktorowi dyrekcyja kolei elektrycznej płaci

pensję. Toby było głupie, żebym mu dawał więcej, aniżeli się należy. Chcę być bogaty i zaczynam już dzisiaj oszczędzać.

Voilà! Uspokoiliam ojca zapewnieniem, że taka praktyczna natura jest u tego dziecka, iż ten z pewnością żadnej kradzieży w życiu nie popełni.

Ludwika dodaje, opowiadanie to kończąc.

— Ręczę ci, że ten chłopak, dorósłszy, nie ożeni się z biedną dziewczyną. Nie nadaje się on do mojej szkoły, ale cóż, kiedy zachwycony jest naszym zakładem i żał mi wydać go. Mam nadzieję, że nie wniesie tu szkodliwego wpływu. Subiektywnie, wierząc mi, wołałabym, żeby był popełnił formalną kradzież z włamaniem, aniżeli zbierał do puszek te miedziaki zaoszczędzone kosztem konduktora. Trudno mi przecież zwalczyć głęboko zakorzenione właściwości, które tkwią w naturze tego dziecka. Przechodzi to kompetencję szkoły i... moje siły.

Tak mówiąc Ludwika ma minę, jakby zgryzła gorzkie migdały.

— — — — —
A teraz drugi wypadek.

Ludwika powiada:

— Właściwie zaliczyćby to trzeba do innego rodzaju, zwanego w naszych czasach kleptomanią. I gdybyśmy dość wcześnie nie oduczyły tej małej Kornelii, aby nie kradła, z pewnością jako dorosła już dama, ściągnęłaby w jakim domu towarowym koronki lub klejnoty a rodzina, żeby uniknąć skandalu, musiałaby ją zamknąć w sanatorium dla nerwowo chorych, gdzie leczą się także kleptomanki.

Kornelia liczyła lat ośm. Codziennie przyjeżdżała z zamiejskiej dzielnicy wielkopańskiej we wspaniałym automobilu, w towarzystwie bony, Francuzki i z lokajem w liberyi. Ubrana była jak lala i bardzo kosztownie. Koleżanki lubiły ją; była tak rozgadana i wesoła, że ani chwili cicho usiedzieć nie mogła. Koledzy i koleżanki odwiedzały ją chętnie. Miała osobny pokój z zabawkami, lalek całe tuziny. Do szkoły przynosiła

kilogramowe pudła z cukierkami i pomadkami. Wyglądała sama, jak marcypanowa kielbaska.

Pierwszy raz w dziejach naszej szkoły zdarzył się wypadek, że mieliśmy „domowego złodzieja“. Ginęły ołówki i pióra, scyzoryki i linijki, napastrki i tacki; ginęły nawet pojedyncze rękawiczki i kalosze.

Upłynęło dość czasu, zanim chcieliśmy temu dać wiary. tak dalece sprawa ta była dla nas niezwykłą i nową, w końcu jednak wyszło na jaw, że sprawczynią tych kradzieży jest... Kornelia.

Właśnie zbliżały się święta Bożego Narodzenia i postanowione zostało, aby nie rozmazywać na razie tej sprawy. W międzyczasie dano wszakże o tem znać rodzicom Kornelii ale z tem zastrzeżeniem, aby i oni zachowali to w tajemnicy. Kornelia, jak zawsze, przychodziła i wracała; w jej twarzy promieniał wyraz... niewinątko.

Tuż przed Wigilią urządzono w klasie Kornelii uroczysty wieczór Bożego Drzewka i wszystkie uczennice były w świątecznym nastroju, nie wyjmując jej samej. Podczas antraktu między jednym a drugim numerem programu, zbliżyłam się do niej i wszczęłam rozmowę o piękności tych świąt, o upominkach, którymi wzajem obdarowują się ludzie, o tych wszystkich smakołykach wreszcie, które obwieszone jest Boże drzewko. Jednakże — mówiłam dalej — tylko wówczas wychodzi to wszystko na zdrowie, jeśli się spożywa te dary, sumienie mając czyste, jak kryształ. W przeciwnym bowiem razie, żołądek zaraz napęcznieje, jak temu wilkowi w bajce o *Czerwonym kapturku*. Czy znasz tę bajkę?

Długo pytać nie potrzebowałam. Kornelia przyznała mi się do wszystkich swoich kradzieży.

Powiedziałam jej: Ja na twojem miejscu, postarałabym się o to, aby jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia mieć zupełnie czyste sumienie, stanie się zaś tak wtedy, jeśli wszystko wyjdzie na jaw. Jabym naprzykład zaraz jutro

odniosła te wszystkie zabrane przedmioty i miałabym jeszcze przedmowę do moich koleżanek i uczyniłabym uroczyste przyrzeczenie nigdy nie brać niczego, co do mnie nie należy. Bo widzisz, jeśli daje się komuś takie przyrzeczenie, wtedy omija nas pokusa do dalszych kradzieży.

Kornelia potakiwała moim słowom. A nazajutrz, wyobraź sobie, zajeżdża automobilem przed naszą szkołę, lecz nie tylko w towarzystwie bony i lokaja. Jest jeszcze i ojciec we własnej osobie. Wszyscy znoszą na górę pakiety, zawinięte elegancko w jedwabną bibułę i związane wstążeczką.

Kornelia poprosiła, że chce mieć przemowę do kolegów i koleżanek. Obecna miała być także gospodyni klasy, której zwędziła naparstek.

Mocno zarumieniona, prawie bez tchu, weszła Kornelia na katedrę i zaczęła mniej więcej w te słowa: Chcę mieć przemowę do was, nie wiem, jak zacząć i nie mam dzwonka. Chcę wam tylko powiedzieć, bo wnet nadchodzą święta Bożego Narodzenia, że to ja wzięłam te wszystkie ołówki, pióra i naparstki, które ginęły w klasie, ale już tego więcej czynić nie będę. I żałuję bardzo, bo wiem, że to kradzież, a gdyby taką rzecz uczyniła nasza kucharka, musiałaby siedzieć w więzieniu. A ona przecie jest biedna, a ja kraść nie potrzebuję, bo rodzice moi powiadają, że mogą mieć wszystko i kupić sobie wszystko, czego tylko zapragną. A w kaloszu Mizzi była dziura, którą dopiero zauważyłam potem w domu. Mama zaś przyrzekła mi kupić wysokie kalosze z futerkiem i na to cieszę się bardzo. Wypisałam sobie wszystkie życzenia na kartce; jest ich 53. Dostanę, co tylko zechcę. A wy nie gniewajcie się na mnie. Przyrzekłam pani doktorce i mojej mamie i mojemu papie i Panu Bogu i sobie, że już nigdy nie będę kradła.

W tem miejscu Kornelia umilkła i spojrzała w stronę drzwi. A kiedy nikt nie nadchodził, uderzyła w dłonie, bo to był umówiony znak. I istotnie weszli w tej chwili: najpierw ojciec, potem bona i lokaj, wszyscy obładowani pakietami.

Złożywszy je na stopniach katedry, odeszli, a Kornelia znowu zaczęła w te słowa:

— Ponieważ teraz są święta Bożego Narodzenia, przyrzekłam wszystko oddać, a *mademoiselle* tak to zapakowała. Oprócz tego, co zwędziłam, jest tu dla każdej podarunek na gwiazdkę od mojego papie i od mojej mamy... Czy jesteście zadowolone?

Spojrzała po całej klasie i odetchnęła głęboko. Koledzy i koleżanki, tem wszystkiem zaskoczeni, nie wiedzieli, czy zbliżyć się do niej i pocałować, czy też odpakować te wszystkie paczki.

Kornelia dała znak ręką, sama zaczęła odpakowywać i wołać: To jest Mizzi! A to Ludki! A to Helenki...

I rzeczywiście każdemu oddała, co wzięła.

Gdy następnie otworzono paczki z podarkami gwiazdkowymi, radość wśród dzieci była olbrzymia, a Kornelia cieszyła się najwięcej.

— Gdyby jeszcze ustawić Boże drzewko, wyglądałoby tutaj, jak w wigilię Bożego Narodzenia! — zawołała Kornelia wzruszona radośnie.

Najcudowniejsze z tego wszystkiego jest właśnie ta okoliczność, że Kornelia, która obecnie liczy już lat dwanaście, ani razu nie popadła w recydywę kleptomanii.

A teraz ja sama opowiem historię o chłopcu, który kradł. Już nie żyje. I lepiej tak. Lecz, gdyby go byli oddali do szkoły Ludwiki, ręczę, stałby się dobrym obywatelem. Jako człowiek był niezwykle ujmujący. Znałam go od czasu, kiedy liczył zaledwie cztery lata. Ani przedtem, ani później nie spotykałam już w moim życiu tak ładnego dziecka. Siadywał zazwyczaj na kamiennych stopniach przed domem, w którym mieszkali jego rodzice. U jego ręki uczipiona była może o rok

starsza siostrzyczka. Oboje mieli na sobie drogie ubrania, ale zaniedbane i brudne.

Jednego dnia zastałam dziewczynkę rzewnie płaczącą. Zapytawszy o powód, słyszę, taką odpowiedź:

— Tata i mama chcą się rozwieść i teraz na połowę „targają“ meble.

Dzieci słyszały o podziale mebli i wyobrażały to sobie w ten sposób, że każde krzesło, każdy talerz będzie musiał być przepołowiony. I jak one przytem płakały!

Rodzice istotnie się rozwiedli. Chłopiec przyznany został ojcu. Ojciec był nałogowym pijakiem i zaniedbywał dziecko. Płatne dziewczki służebne zajmowały się nim, a raczej doprowadziły do tego, że dziecko dziczało coraz bardziej. Potem słyszałam, że kradnie służącym pieniądze, a wreszcie, że okrada w szkole kolegów.

Chłopca tego wydalili ze szkoły. W drugiej, w trzeciej i czwartej szkole powtórzyło się to samo. Kradł dalej. Lecz ilekroć go spotykałam, widziałam na jego twarzy ten sam miły uśmiech, którym mnie zawsze witał. Istniało między nami jakieś porozumienie od owego dnia, kiedy mi wyznał, że rodzice się rozchodzą.

Mijały lata. Jedno i to samo słyszałam o tym chłopcu: Bodajby umarł. Kłamię, kradnie i upija się. Razu jednego podpalił dom i chciał, żeby wszystko poszło z dymem. Prokrowano, że skończy w kryminale. W końcu oddano go do domu poprawy. Dyrektorem tego zakładu był dzielny człowiek. Mój kolega po piórze. Wypadło tak, że w jakiś czas później spotykamy się w towarzystwie i zapytuję kolegę o... małego, znanego mi przestępcę.

— Pani go zna? — zawołał, a uśmiech radości ożywił jego poważne oblicze. — Ten chłopiec, to moja chluba.

Stropiłam się. Zdawało mi się, że zachodzi tutaj nieporozumienie. Wtedy jednak przekonałam się, jak sprawa istotnie się przedstawia.

— Wiem, sądzi pani, żeś się pomyliła—mówił mój kolega w dalszym ciągu. — Słyszałaś, co o tym chłopcu opowiadali inni, że kłamię, kradnie i popełnia mnóstwo innych wybryków. Ale teraz ja pani powiem co innego. Oto, zdaje mi się, że odkąd świat światem, nie było lepszego, bardziej kochanego i lubego dziecka, jak ten łobuz Kai. Tylko to jedno niestety, że miał podłe dzieciństwo. Nikt mu nie okazywał miłości, a on jej pragnął gorąco i potrzebował jej, bo dziwnie jest tkliwy i uczuciowy. Błogosławię tę chwilę, w której przeprowadzono tego chłopca do mnie. Co dla niego czynię, oddaje mi tysiącrotnie. Moich własnych dzieci nie kocham więcej, jak jego. Obiecuję też sobie coś bardzo wielkiego po tym chłopcu w przyszłości...

Mój kolega, dyrektor zakładu poprawczego, zginął w tym samym roku w sposób tragiczny. Koń, na którym jeździł spłoszył się, zrzucił jeźdźcę i on zabił się na miejscu. Kierownictwo w zakładzie objął najstarszy syn jego, człowiek prawy, ale natura oschła. W dwa miesiące potem doniosły gazety, że jeden z wychowanków zakładu — był to właśnie Kai — po kłótni z dyrektorem, podłożył ogień pod gmach szkoły i uciekł. Znalezione jego trupa w pobliskim dole obok margłowni.

XVIII. GŁUPIE DZIECI.

Istnieją beznadziejnie głupi chłopcy — beznadziejnie głupich dziewcząt niema, bo ich głupotę można zawsze położyć na karb... kobiecości. W wyjątkowym jeno wypadku, jeśli dziewczynce brak już nie tylko rozumu w ogóle, ale także wszelkich uczuć kobiecych, można dopiero mówić o stanie beznadziejności w tym kierunku.

Ludwika uważa to sobie wprost za punkt honoru, stworzenie możliwości rozwoju dla dzieci głupich, by nie cierpiąc

z powodu braku zdolności, znalazły przecie choćby małe jakieś pole działania, gdzie mogłyby się odznaczyć, a przynajmniej okazać się użytecznymi.

Do szkoły przychodzi mała dziewczynka. Po tygodniu wie już cała klasa — chociaż nikt o tem nie mówi — że jest głupia. Nie umie ani płynnie mówić, ani porządnie pisać. Jest umysłowo tępa, a niezdarność gnębi ją.

I oto całe grono nauczycielskie usiłuje wynaleźć jakiś teren, bodaj jako tako odpowiadający jej kwalifikacyom umysłowym. Uważają wszyscy zgodnie, że sytuacja jest już pomyslna, jeśli wyśledzić można choćby jeden przedmiot, w którym dziecko zdaje się okazywać bodaj pewne zdolności. Nauczyciel rysunków bada, czy nie ma ona talentu do rysowania. Nauczyciel francuskiego uczy ją wiersza, którym sprawić ma niespodziankę całej klasie. Może wreszcie nie zawiedzie nadzieja, że jest muzykalną. Entuzjazmują się każdą odpowiedzią jako tako znośną; tryumfują, jeśli udało się jej ominąć błąd ortograficzny.

Ale na ogół trud jest daremny. Nie da się z nią nic zrobić.

Współczują z nią wszyscy, lecz to nie wystarcza, by zająć mogła stanowisko, które zdobywa się tylko... wyrobieniem sobie respektu.

Jedyną, która jeszcze ufa, że zdoła z niej coś wykrzesać, to kierowniczką klasowa. Dziecko, ma przemiły, ujmujący uśmiech, który ukazuje się, ilekroć mówi się o dzieciach, ptakach albo kwiatach.

Jest wiosna i cała klasa wybiera się z wycieczką do lasu. Zabierają z sobą prowianty.

Owa dziewczynka, Jadwiga jej na imię, trzyma się zdala od innych dzieci. I oto przychodzi nauczycielce myśl pewna; woła ją do siebie i mówi:

— Wiesz co?—A możebyś tymczasem nakryła do stołu dla nas wszystkich. A było dwanaście osób na wycieczce.

Po dwóch godzinach zabawy wołają do stołu. Jadwiga uplotła tymczasem z łożyny prześliczne koszyczki i napelniła je prymulkami. Wstążeczką, którą wyjęła z gorsecika, przymocowała do koszyczków małe karteczki, wycięte z zeszytu. Na każdej karteczce ołówkiem wypisała słów parę do koleżanek. Naiwne to było w treści, ale świadczyło o uczuciu, a nawet o pewnym zasobie humoru. Naprzykład: „Dla ciebie, piękna Mizzi o niebieskich oczach i w niebieskich pończochach!“ Albo: „Świergotaj z ptaszkami w zawody, mileńka Marto!“ Na stole uszykowała wszystkie prowianty we wzorowym porządku. Sama posmarowała masłem wszystkie kromki chleba i rozdzielała je teraz z troskliwością i radością matki, karmiącej swe głodne maleństwo.

Zapewne, że nie jest to dużo, ale dosyć. I oto to nieznaczne samo w sobie zdarzenie pasuje ją przecież w oczach kolegów i koleżanek na... osobę godną szacunku. I odtąd nie patrzą już na nią z politowaniem. Stała na równi z niemi wszystkimi. A przez to budzi się powoli drzemające w niej poczucie własnej wartości. Sama uważała się dotychczas za beznadziejnie głupią. Teraz próbuje utrzymać się na stanowisku raz zdobytem. I to się jej udaje.

XIX. OBJAWY PATOLOGICZNE U DZIECI.

Rzuciłam raz pytanie: Czy są takie dzieci, których nie należy wychowywać wspólnie z drugimi.

A Ludwika odrzekła mi na to ochośnie, jak zwykle:

— Tak jest, bywają dzieci, którym poprostu szkodzi wychowanie gromadne, gdyż ono nadaje się tylko dla zdrowo rozwiniętego i normalnego dziecka. Uważano to wprost za szkodliwe, aby dziecko, obdarzone n. p. talentem muzycznym powiedzmy genialne, pakować do klasy, gdzie są zwyczajne, przeciętne dzieci. Naturalnie, jeżeli nie można przytem uwzględ-

dnieć w całej pełni indywidualności tego dziecka. Odwrotnie też, dziecko, obciążone jakimkolwiek zboczeniem dla drugich dzieci niezrozumiałem, cierpi niestusnie w współżyciu z innemi.

Jeśli w szkole panuje dobry, rozumny kierunek, wówczas dzieci odnosić się będą do ułomności fizycznej z tą naturalnością, która pozwala słuchać bez uśmiechu deklamacyi jąkającej się koleżanki. Nie wyśmiewają garbuska, nie będą się naigrywały z kuternogi. Natomiast dzieci znieść nie mogą jakichś szczególnych właściwości umysłowych, które wyróżniają takiego kolegę lub taką koleżankę. Mają jakąś awersję do wszystkiego, co trąci patologią.

Taki smutny, ale znamienity wypadek zaszedł właśnie przed paru laty w naszej szkole. Jako nowicyszka wstąpiła tutaj dziewczynka, której ojciec był neurastenikiem, a matka histeryczką. Dziewczynka ani głupia, ani zła, ale zachowywała się w sposób szczególny. Istocie duchowej tego dziecka brakło jednolitości i zwartości. Podczas tego, kiedy cała klasa poważnie była zajęta zadaniem, mogła wówczas ni stąd, ni zowąd wybuchnąć niesamowitym śmiechem. Jej ruchy były nieobliczalne; żadnej rzeczy nie umiała chwycić jak należy. Nie panowała także nad głosem, i raz mówiła piskliwie, to znów basem. Była niemożliwie kapryśną. Koleżanki jej nie lubiły, chociaż ona kochała je wszystkie. Rodzice, ludzie zamozni, czynili co tylko mogli, aby pozyskać dla niej przyjaciółki; urządzali wspaniałe przyjęcia, ale kto raz jeden był u niej drugi raz pójść nie chciał.

Ludwika zrozumiała, że tak dłużej trwać nie może. Dziecko cierpiało niewinnie, a przytem budziło złe uczucia u innych. Chciała ją usunąć, Lecz wydaleniu jej ze szkoły sprzeciwiła się na razie nauczycielka klasowa, która postanowiła użyć tego wypadku jako czynnika wychowawczego i doprowadzić do tego, by dzieci potrafiły ukochar nawet tak antypatyczne dziecko. W pierwszej chwili Ludwika protesto-

wała, wydawało się jej to wstrętnem używać dziecko do eksperymentów, a przytem nie chciała, aby dzieci przymuszały się do czegoś, co jest przeciwne ich naturze. W końcu jednak uległa namowom i zezwoliła na dwutygodniową próbę.

W kilka dni potem nauczycielka oświadczyła z rozpromienioną twarzą, że znalazła doskonałe wyjście z tej sytuacji. Oto pod pozorem, że owa dziewczynka jest w szkole nowicyszka i nie może się jeszcze oswoić z nowymi dla niej stosunkami poruczyła ją opiece całej klasy. Jedna z koleżanek czuwać miała, aby przychodziła na czas do szkoły; druga, aby utrzymywała w porządku rekwizyty szkolne; trzecia, aby nie zapomniiała podczas pauzy zjeść śniadania. Każdej przydzielono inny obowiązek. I oto napływały zwycięskie wiadomości.

Mijały miesiące i pozornie odbywało się wszystko w porządku. Nie można powiedzieć, aby Małgorzatka była zaniedbywaną przez swoje koleżanki, owszem, przechodziła w szkole z rąk do rąk; wszystkie pomagały, każda z osobna czuła to, że jest za nią odpowiedzialna. Ludwika zaczynała już wątpić w swoją znajomość psychiki dziecięcej.

Nagle stało się przecie to, co się stać musiało.

Pewnego dnia przyszła do szkoły jakaś obca pani i oświadczyła, że słyszała wprawdzie o tem, że wśród dzieci tego zakładu panuje ton jak najlepszy, jednak z własnego doświadczenia wie, że tak nie jest.

Tutaj należy wtrącić, że dzieci, które przedpołudniem były zajęte w szkole, popołudniu schodziły się na zabawę do jednego z parków miejskich. Tam to owa pani już od kilku tygodni przypatrywała się zabawom dzieci z jednej szczególnie klasy. I właśnie na podstawie obserwacyi, doszła do tego wniosku, że należałoby tutaj czynnie wkroczyć. Opowiadała dalej, że cała ta klasa znęcała się nad jedną dziewczynką, że dzieci przezywały ją, przedrzeźniały, a nawet okładały szturchańcami, wykluczyszy ją zupełnie z wspólnych zabaw.

Ludwika była wprost przerażona. Podług opisu, domyśliła się, że odnosi się to do klasy Małgorzatki. Dnia następnego, w nieobecności ofiary, zapytała dzieci, dlaczego sobie tak brzydko postąpiły.

Przestrach malował się na wszystkich twarzach, ale żadna nie odczuwała wyrzutów sumienia. Najgrzeczniejsza z całej klasy wstała i oświadczyła:

— Nie możemy znieść Małgorzatki, nie wiemy dlaczego. A pani każe, abyśmy całe przedpołudnie były dla niej grzeczne i usługane. I postanowiliśmy, że po południu, podczas zabawy, każda jej dokuczy. — — —

XX. TEMPERAMENT U DZIECKA.

Mieszkańcy gór mówią zazwyczaj donośnym głosem, tak, że rozlega się i odbija hen o góry i skały. Nie często się śmieją, ale śmiech ich ma w sobie coś z piorunu. Krocząc po górach, nigdy nie jest góral samotny. Jego ciężkie kroki mówią do kamieni, a one mu odpowiadają. Lecz niech tylko zejdzie w niziny, a przerazi się własnego brzmienia głosu; zdaje mu się wtedy, że tu ludzie mówią szeptem, a stąpają cicho, jak wśród grobów, jakby zmarłych obawiali się zbudzić.

Małomieszczanin czuje się dotknięty, jeśli chłop podniesionym do niego mówi głosem; razi go krzykliwy śmiech chłopca, jego chód ciężki i dudniący. Ale niech sam przyjedzie do wielkiego miasta, zdziwi się, że tu w ogólnym hałasie prawie nie słyszy, co ludzie mówią. Widzi, że się śmieją, ale śmiechu tego nie słyszy. Wówczas miarkuje, że sam mówi za głośno i zaczyna zniżać głos prawie że do szeptu.

Jest to faktem stwierdzonym, że tam, gdzie przyroda pełna jest ciszy — a więc w górach, ludzie najgłośniej mówią, a wstrzemięźliwi są w ruchach swoich.

Tam jednak, gdzie wrzawa przelewa się z hukiem, a za-

tem w wielkich centrach miast o milionowej ludności, tam rozmawia się przyciszonym głosem; a czy to przy pracy, czy też podczas zabawy, wszyscy prawie gorączkują się. Nie ma to nic wspólnego z kulturą; stwarzają to przyrodzone warunki.

Dziecko już z przyrodzenia swego skłania się do głośnego śmiechu i głośnego mówienia. Tresowane, nauczy się, jak starsi, mówić ciszej. Nieraz wszakże na ulicy powołuje to sobie w ten sposób, że przekrzykując chce turkot wozów.

Istnieje taka nienaturalna obawa przed naturalnymi dźwiękami; idzie ona w parze z tym jakimś lękiem przed każdą silniejszą namiętnością i... każdą wybitną indywidualnością.

Moc panowania nad sobą — ten produkt sztuczności, ta duchowa maskarada — w wysokim jest poważaniu. Kto przy otrzymaniu najstraszniejszej wieści ani drgnie, uważany bywa za człowieka kulturalniejszego, aniżeli ten, który w takiej chwili rzuci się na ziemię z głośnym krzykiem, gdyż ból tak go zgnębił, że nawet ustać nie może.

Bywają dzieci, których silne namiętności występują w najwcześniejszych latach. Natura dała im skarb wielki: odczuwają intensywnie każdą radość, każdy ból; i one to właśnie mają ten dar żyć chwilą tak, jakby nie istniało żadne przedtem i żadne potem. Lecz wychowawcy zamiast radować się, że dziecko posiada taką cudną zdolność silnego odczuwania, tłumią w niem i niszczą te skarby, jakby to były chwasty, które zawczasu z korzeniem wyrwać należy.

Zapewne, że zbyttna namiętność, jeśli jej zostawić wolne pole działania — może w pewnych okolicznościach przynieść wiele złego — jednakże nikt nie rezygnuje przecież z podróży morskiej dlatego, że burza mogłaby rozbić okręt o skałę.

Namiętność jest najwspanialszym darem; w niej dojrzewają nieraz najcudniejsze rezultaty.

Żaden mąż stanu — niechby z natury zimnym był, jak głaz — nie zdobędzie wpływu na współczesnych, jeśli nie posiada zdolności roznamiętnienia siebie i drugich. Uczony

nie zostanie odkrywcą, jeśli w nim nie goreje święty ogień zapalu. Dla artysty jest to sprężyna życia. Nawet w wyrachowaniu jest namiętność.

Życie wskaże już dorosłemu człowiekowi granice, jakie mu stawia społeczeństwo. Ale namiętne dziecko, któremu wcześniej przycięto skrzydła, nigdy nie dojdzie do samopoczucia swoich sił.

Dla rodziców i wychowawców zapewne, że ciężkie to i niewygodne zadanie pokierować dzieckiem namiętnem; ale praca taka opłaca się stokrotnie.

XXI. ARTYSTA JAKO DZIECKO SZKOLNE.

Kobieta z usposobienia swego pozostaje ze sztuką w bliskim powinowactwie. W większym jeszcze stopniu powiedzieć to można o dzieciach. Zdarzało mi się nieraz spotykać dzieci improwizujące dyalogi z takim przejęciem, że — gdyby ciągle rozwijały się w tym kierunku — wówczas każda szkoła, niemal każda klasa, miałaby swojego Shakspearę. Malują tak, że już widzimy w nich jakiegoś Ruysdala albo Goyę. Deklamują w taki sposób, że zdają się, być prawowitymi spadkobiercami talentu Dus'y albo Zacconi'ego.

Często słyszy się nawpół żałosne, a przez pół szyderskie pytanie: „Gdzież są ci genialni artyści, których spodziewaliśmy się, że wyrosną z tych dzieci?”

Polega to na nieporozumieniu. Ich talent artystyczny jest właśnie nie co innego, jak ich... dzieciństwo. Wraz z dzieciństwem minęła także genialność.

— — — — —

Jeśli szkoła wzięła pod swoją opiekę takich rzeczywistych, czy też chwilowych tylko geniuszów, powinna podwójnie tyle dołożyć starań i tak nimi pokierować, żeby mogli

wybrać karierę artystyczną, a potrafili także wycofać się i wybrać skromną działalność obywatelską.

Urodzony artysta nie potrzebuje tych wszystkich wiadomości, które zwykłemu śmiertelnikowi mogą ułatwić egzystencję. Jego instynkt i fantazyja wymagają innej zgola strawy duchowej, aniżeli dać ją mogą książki szkolne. Nie potrzebuje on ścisłej wiedzy; jak motyl, potrafi miód wyssać i z zatrutych także kwiatów.

Gdyby szkoła wiedziała na pewno, że to jeden z tych niewielu błogosławionych, z Bożej łaski artysta, niejednoby mu przepuściła, co wstrzymuje tylko jego lot w chmury. Lecz szkoła nie wie o tem, nie może wiedzieć. Dlatego zostawić mu winna otwartą furtkę, żeby w danym razie stać się mógł użytecznym członkiem społeczeństwa.

Utalentowane dziecko bywa w domu albo ośmieszane, albo przecenione, a najczęściej nie rozumie się go zupełnie. Raz uważa się jego zdolności artystyczne jako zaporę do zrobienia „dobrej“, „zdrowej“ kariery — to znów traktowane bywa, jak młody bożek, a wtedy rozbudza się w nim nadzieje o sławie, która może nie urzeczywistni się nigdy.

Szkoła musi więc balansować pomiędzy tymi przeciwnymi biegunami. Jak się to stać może? Nie rozniecać ani też tłumić owych „iskier natchnienia“. Przedewszystkiem niechaj dziecko dzieckiem zostanie wśród dzieci, a troszczyć się bardziej o jego dobro fizyczne, niż duchowe. Bo — jeśli dziecko przeciętne potrzebuje znacznej nadwyżki zdrowia, aby znieść mogło owo „zamykanie“ w szkole, to praca mózgowa genialnego dziecka potrzebuje znacznie większego zasobu sił, z którego czerpaćby mogło.

Jeśli genialne dziecko najlepiej napisze zadanie, wspólnie nauczy się zadanych lekcji, przyjmuje się to w szkole Ludwika jak coś bardzo miłego, ale nikogo to nie dziwi, podobnie, jak *salto mortale* znakomitego gimnastyka. Staje się to tylko źródłem radości; bo zresztą, nic naturalniejszego dla

takiego indywiduum. I nie przykłada się tej samej miary w obec drugich dzieci. Powoli daje się też do zrozumienia kolegom, że dziecko, które wyrabia zadania, wydające się im samym jakby były „arcydzielami“ albo, gdy rysuje portrety, „jak żywe“ — może nie umieć tak dobrze rachunków, czy też gramatyki. Szkoła dba właśnie o to, aby dziecko genialne miało więcej wolnego czasu, niż przepisowo udziela się go innym uczniom. Dziewczynka, której talent muzyczny uprawnia do przypuszczeń, że zostanie pierwszorzędną pianistką, dostaje jak najmniej zadane do domu, aby mogła bez zmęczenia wolne godziny dnia poświęcić ćwiczeniom na fortepianie. W szkole akompaniuje ona do wszystkich godzin śpiewu; chwala ją za to, że jest taka czynna, dumni są z tego że ją mają w swoim gronie, chociaż tak samo pysnią się naprzykład Maryjką, która na rękach wejść może po schodach, albo Tinką, która umie aż piętnaście sztuczek rozmaitych gier w karty. Wszelkie nadzwyczajne „talenty“ koleżanek i kolegów wspólną stanowią tutaj kasę: są źródłem wspólnej radości.

Bywają takie wypadki, w których szczególnie utalentowane dzieci muszą być traktowane odrębnie, aczkolwiek nigdy wiedzieć nie można, czy te ich okazywane zdolności są trwałe lub też tylko przemijające.

I tak n. p. mały genialny skrzypek, którego nie bez trudności udało się ocalić przed opłakany losem cudownego dziecka, zmuszanego odbywać tournee na obu półkulach świata. Rodzina widzi w nim przyszłego swego żywiciela. W domu wywierają po prostu presję, żeby ćwiczył dziennie niezliczoną ilość godzin. O zadaniach szkolnych niema mowy, tem mniej o zabawie z rówieśnikami. W tym wypadku jest to niemałą rzeczą, jeśli szkoła dostarcza temu dziecku sposobności, aby odczuł radość dziecięcego wieku. Tym sposobem ocala się go poprostu, aby nie stracił rozumu i życia przy tych ćwiczeniach smyczkowych. Z wyrozumiałością traktują jego niedo-

stateczne przygotowanie się naukowe, uwalnia się go z wielu mniej ważnych przedmiotów szkolnych, a zwraca uwagę na te rzeczy, które mogą mu się przydać w jego karierze artystycznej.

Przypuśćmy, że mimo wszystko chłopiec ten nie zostanie artystą. W takim razie ma on szkołę i kolegów, nie jest opuszczony, jak znaczna część cudownych dzieci, którym się nie poszczęściło.

Zabawy w szkole większą dla niego są korzyścią, aniżeli te godziny, które prześlęczał na lekcji geografii i historii. Wielki atoli nacisk kładzie się w szkole Ludwiki na naukę języków, a zwłaszcza języka ojczystego, stale zmierzając do ostatecznego celu: żeby dziecko rozwijało swoje człowieczeństwo. Starają się tu także rozbudzić w dziecku zainteresowanie dla przyrody. Dopomagają też do zawierania stosunków przyjaznych i ich utrwalenia. Okaże się zaś niewiernym — bo skrzypce wyssały z niego równocześnie i tę siłę, żeby umieć myśleć o drugich — wówczas, jeśli jest nieobecny, broni się go, a w cztery oczy starają mu się wdrożyć to przekonanie, że najcenniejszym skarbem, którego osiągnąć ludzie mogą, to ta zdolność zyskiwania sobie przyjaciół i umiejętność zachowania sobie ich przyjaźni.

Zdarza się, że do szkoły Ludwiki uczęszczają dzieci, które mają zostać aktorami. Jeśli nie można wpłynąć na rodziców, aby im nie dawali występować na scenie w wieku, kiedy bawią się jeszcze lalkami, wówczas przeciwdziała się tu w inny sposób, aby powetować tym dzieciom to, co im odbierają z ich dzieciństwa. Próby w teatrze, przygotowania w domu, to wszystko pochłania wiele czasu; szkoła ma tutaj w sposób dobrze obmyślony dostarczyć takiemu dziecku najpotrzebniejszych wiadomości ogólnych, a także z zakresu takich przedmiotów, które potem mogą mu się bardzo przydać. Bierze więc lekcye języka włoskiego, co zarezerwowane jest

tylko dla klas wyższych zakładu; ma także sposobność brać udział w kursie gimnastyki rytmicznej Dalcrose'a, podczas tego, kiedy wiele innych przedmiotów szkolnych odpada zupełnie. Nie można wprawdzie powiedzieć, aby takie dziecko, w razie gdy talent jego zwiędnie w latach przejściowych, przygotowane było również do zawodu praktycznego, ale — droga doń nie jest zamknięta, a na razie ma to poczucie, że jest członkiem opiekuńczej korporacji szkolnej.

Bywają też tutaj wypadki, że musiało się zapłacić rodzicom, aby ocalić dzieci przed obwożeniem ich, albo pokazywaniem, jako curiosum.

— — — — —
Moralna podpora szkoły największe ma znaczenie właśnie dla „cudownego dziecka“. Rodzice, choćby byli anielsko dobrzy, z pewnością odczują i okażą swoje rozczarowanie na wypadek, gdyby ich syn, genialny skrzypek, w siedemnastym roku życia, nagle utknął w rozwoju talentu. Dziecko samo czuje się wtedy zbyt cenne na świecie. Oto stracone nadzieje i niepotrzebny on już nikomu. Nie zawinił, a poczucie grzechu opada na jego duszę i ciało dławiącym, śmiertelnym spleciem mąk. Jeśli wtedy szkoła i koledzy roztworzą mu ramiona i okażą mu, że dla nich pozostał zawsze ten sam — wówczas nowe poczuje siły i odnajdzie w sobie... człowieka, takiego, jak są drudzy.

— — — — —
Jak długo dziecko nie wyrośnie zupełnie, przewidzieć nie można, czy talent jego „opłaci się“ kiedyś.

Chłopczyk, liczący lat pięć — wie więcej — słyszy o wielkim pożarze i prosi ojca, aby mógł pójść na miejsce wypadku i przejrzeć się temu. Zabierają go z sobą. Nazajutrz siada przy stoliku i kolorowanymi ołówkami rysuje obraz nocnego pożaru tak żywo, z taką wprost dramatyczną ekspresją i bajkowo kolorystycznie, że każdy, kto obraz ten zobaczy, oczy i usta otwiera szeroko.

Ojciec, mądry pan, uczony profesor, a mający przytem zrozumienie dla sztuki — pokazuje ten rysunek syna pewnej znakomitości, najslawniejszemu w kraju krytykowi z działu sztuk plastycznych. Ten, nie wiedząc, kto to rysował, oświadcza, że obraz jest dziełem artyzmu. Nie chce poprostu wierzyć, że to przypadkowa robota pięcioletniego malca. Przekonano go, że tak jest istotnie, a wtedy powinszował ojcu genialnego syna. Ojciec uśmiechnął się i rzekł spokojnie: „Chłopiec nie więcej ode mnie jest artystą lub geniuszem, ale posiada żywą wyobraźnię i umie zdrowo widzieć. Nigdy przedtem nie oglądał pożaru, a kiedy, wracając do domu, zaspany zamykał oczy ze zmęczenia, zachował równocześnie owo wrażenie pożaru i utrwalił je nazajutrz na papierze“.

Ojciec miał słuszość. Chłopiec został wybitnym matematykiem, ale ani śladu artyzmu nie okazał, prócz tej jednej próby z czasów dzieciństwa.

Gdyby miał mniej rozumnych rodziców, kto wie, czy życie jego nie zostałoby zwichnięte.

— — — — —
Pewien chłopiec wcześniej już okazuje nadzwyczajne zdolności muzykalne. Rodzice przyprowadzają go do sławnego pianisty i ten zachwycony jest „talentem“ siedmioletniego malca. Rodzicom radzi, żeby całe wychowanie skierowali ku temu jednemu, t. j. kształcili muzykalne zdolności dziecka. A chłopiec jest ambitny. Pracuje zapamiętane. Utalentowany był wszechstronnie, bo i rysował ładnie i pisał także poezye, a przytem niezwykłą okazywał inteligencję. Aby nie rozprasać tych zdolności, rodzice odebrali go ze szkoły. Miał wtedy lat dwanaście. Muzyka była teraz jedyną rzeczą, której się poświęcił.

Profesor muzyki zapewnił rodziców, że w dniu, kiedy publicznie da się słyszeć, imię jego wymówione zostanie jednym tchem z imionami największych pianistów. Dodał wszakże, iż właśnie dlatego nie powinien być wyzyskiwany jako cu-

downe dziecko, lecz raczej zaczekać, aż będzie mógł wystąpić jako człowiek dorosły i dojrzały już artysta.

Chłopiec zaczyna się niepokoić i dłuży mu się ten czas wyczekiwania. Rozwinięty jest nad wiek. Głowa jego płonie. Kolegów nie ma żadnych. W domu go nie lubią, bo jest kapryśny, brutalny i tyranizuje wszystkich.

Ustalono czas jego występu; profesor jednak sądzi, że powinien się jeszcze uczyć. W jego grze nie ma dość „duszy”. Chłopiec — niezwykle ambitny — decyduje się jeszcze czekać. Chce być doskonałym. Ćwiczy zapamiętałe, żeby gra jego miała więcej „duszy”. Niestety, im więcej ćwiczy, tem mniej uduchowioną jest jego gra. Słyszał największych mistrzów i wie, że w wielu punktach im dorównywa, a w niejednym przewyższa ich nawet. Ale dosłuchał się w swojej grze, że istotnie brak jej porywającego sentymentu. Jest on w swojej grze dyabłem, demonem, ale chce być aniołem. Ambicję tę podsycają rodzice i profesor. A kiedy tak ciągle ćwiczy dalej, aby wygrać melodię w sposób planowany, stało się, że chwycił się nagle za czoło: nie może sobie nut przypomnieć. To się powtarza. Gra jego staje się coraz bardziej brutalną. W końcu oświadcza: „Nie będę więcej grał, to mnie nudzi”.

Oddano go do zakładu dla nerwowo chorych. A w rok potem, jako nieuleczalny, przewieziony został do domu obłąkanych.

Możliwe, że na tym chłopcu mściły się także grzechy w krwi po ojcu odziedziczone. Lekarze zaprzeczyli temu. Pewnem jest to, że brak zrozumienia i rozwagi doprowadziły tutaj do zaciemnienia umysłu.

Przedewszystkiem nie dano mu się wyżyć jako dziecku w fantastycznych, gwałtownych zabawach, któreby odpowiadały jego temperamentowi. Mając kolegów, nie naraziłby się na tę przykrą, narzuconą samotność i tę zaskraszającą konieczność, żeby zawsze tylko myśleć o sobie. W szkole, której za-

daniem jest zbadać duszę dziecka, byliby powiedzieli jego rodzicom i profesorowi muzyki, że jest stworzony na mistrza tonów, ale że w duszy jego niema tkliwych, łagodnych strun. I byliby mu dali wcześniej wystąpić przed publicznością, bez ujmy dla jego talentu. Należało zadowolnić wcześniej w nim rozbudzoną próżność. Satysfakcja ta była koniecznie potrzebna, żeby mógł uwierzyć w siebie.

— — — — —
Ludwika powiada, że ma w szkole „całą „menażeryę“ „cudownych dzieci“, ale obcy nie mogłby ich odnaleźć w gromadzie innych, choćby szukał jak najtroskliwiej. I to właśnie napawa Ludwikę rzetelną dumą. Czuwa ona nad „chwilowymi“ i „stałymi“ geniuszami z tą samą zabiegliwością, z jaką koczosa strzeże swoje małe przed jastrzębiem i ujemnymi wpływami temperatury.

XXII. MIŁOŚĆ WŚRÓD DZIECI.

Uważny wychowawca wie o tem dobrze, że przyjaźń między trojgiem albo i czworgiem dzieci trwa zazwyczaj dłużej, niż przyjaźń we dwójkę. Powód jest dość jasny.

Po pierwsze, jest dużo takich dzieci, które mają ten smutny zwyczaj, zupełnie, jak to dzieje się u starszych, że „zżerają“ człowieka; wyssą, otworzą najwewnętrzniejszą treść jego istoty, a potem odrzucą precz, niby wyciśniętą cytrynę.

Tego oczywiście dziecko sobie nie uświadamia i zarówno ofiara, jak i winowajca pojęcia o tem nie mają. Ale tak jest.

Nowa „przyjaźń“ jest dla dzieci, jak nowa, zajmująca książka. Gdy się książkę przeczytało, już się o nią nie troszczy, lecz tęskni za inną. Kto chce, może sobie tamtą przywłaszczyć.

Różnice w duchowem życiu dzieci stanowią materyał

dla studyów. Dziecko ma to uczucie, że podwójnie żyje, jak długo czerpie z przyjaźni innego wciąż dziecka.

To wcale nie są „złe” dzieci, ani też z przyrodzenia swego oschłe i niewdzięczne, które tak właśnie traktują „przyjaźń”. Kierują się tylko wewnętrznym popędem, którego sobie objaśnić nie umieją. Często z takich dzieci wyrastają potem artyści albo filantropi, kochają całą ludzkość, ale pojedynczy człowiek tylko tak długo ma dla nich jakieś znaczenie, o ile dostarcza nowego dlań materiału do studyów, czy do filantropijnych czynów.

Dzieci mogą nad tem cierpieć, że ktoś zużywa ich przyjaźń; ale tamte czują się tylko dobrze tak długo, dopóki nowa „przyjaźń” wprawia je w pewien rodzaj podniecenia. Potem ostygną. Jeżeli zawierają „przyjaźń” z jednym tylko dzieckiem i opuszczają je dla drugiego i trzeciego, wówczas mówi się o nich, że są niestałe i że muszą się „przypodchlebić”, aby zyskać „nową przyjaźń”. A to wymaga pracy i pewnej sztuki. Dla takich dzieci trójkąt czy czworobok w przyjaźni, to prawdziwe zbawienie. Zbliżenie nie jest tutaj takie ścisłe; zawsze jeszcze zostają takie zakamarki duszy, do których nie mają dostępu, właśnie dlatego, że to nie jest przyjaźń tylko we dwoje. Przytem czyni to przyjaźń przyciągającą i ciągle nową. Mniej ognia, a bardzo solidna. Trójka przyjaciół czy przyjaciółek może w inny zupełnie sposób wyładować wzajemnie swoje kaprysy, aniżeli gdy we dwójkę są tylko, kiedy to przez cały czas własnemu przysłuchują się głosowi. Treść rozmów, zabawa pomiędzy trójką lub czwórką przyjaciół czy przyjaciółek, nieskończenie się pomnaża.

W przyjaźni, we dwójkę, zdarza się, że wiele tematów wcale poruszyć nie można, bo taka jest różnica w usposobieniu, że porozumienie staje się niemożliwe, a dyskusja doprowadzićby musiała do sprzeczki. Dyskusja zaś, prowadzona we troje czy we czworo, przestaje być osobistą i mniej też może dotknąć. Jeśli dwoje, jak barany uderzą na się łbami,

trzecie występuje jako pośredniczący w zgodzie i oddziaływa to jak najlepiej.

Pomijając powyższe wywody, to przyjaźń we dwójkę zawsze przedstawia pewne niebezpieczeństwo. Nawet tam, gdzie przyjaźń opiera się na miłości (przyjaźń w istocie rzeczy jest fałszywem określeniem, ponieważ dzieci nie nadają się do pielęgnowania czystej przyjaźni) i gdzie uczucie oparte na erotyce, jest tak wielkie, że świat wydaje się bez słońca i bez radości, jeśli przez dzień jeden nie widzi się ukochanej istoty — nawet i w tym wypadku widzę niebezpieczeństwo. Uczucie dochodzi do tego kulminacyjnego punktu i zamiera. Nie doszłoby zapewne do tego, gdyby istniało tutaj to, co dorośli rozumieją pod przyjaźnią; ale u dzieci uczucie to jest zawsze tak dalece przepełnione erotyką, że dochodzi właśnie do kulminacyjnego punktu. Jednego pięknego dnia, bez istotnego powodu, uczucie wygasa i przestaje istnieć. Jedno drugiemu jest już ciężarem. Skończyli z sobą — uczucie się przeżyło.

— — — — —
Ciekawy jest następujący wypadek: Dwoje dzieci kochało trzecie uczuciem zazdrośnym. Zwalczali się jak dwaj rywale. Czynili wszystko, aby ośmieszyć się wzajem, prześcigali się zaś w posługach dla trzeciego.

W tem umiera umiłowane dziecko. Rywale są obecni na pogrzebie. Rodzina, która wie o ich miłości, daje im postępować tuż za trumną. Bezwiednie podają sobie wtedy ręce i — co przed tygodniem zdawałoby się niemożliwem — zostają przyjaciółmi.

Wydarzyło się to przed ośmiu laty i obaj jeszcze ciągle w takiej żyją przyjaźni, że jeden ułożył swoje stosunki w ten sposób, żeby mogli pozostać razem nawet wtedy, gdy minie okres studyów.

— — — — —
W szkole zdarzają się wypadki, że małe dziewczynki zawierają z sobą przyjaźń, mającą wszelkie znamiona gwałtownej

namiętności. Dwa serca równym uderzają taktem, dwie istoty jednako czują i myślą. Rumienia się i bledną, skoro się zobaczą. Z błyszczącymi oczami witają się wzajem i cieszą każdym spotkaniem, szczęśliwe, że mogą być razem. Gdy ich rozłączyć, mizernieją. Pisują do siebie listy, pełne namiętnych wynurzeń, jeśli nie widzą się przez dwa dni z rzędu. Mają przecie za wiele kobiecej niepewności, żeby odważyć się na pocałunek. Gdy kroczą razem pod ramię, nie trudno dostrzedz, że drżą z rozkoszy. Ich namiętność w pełni jest dojrzała. Są to zdrowe dzieci, z dobrymi skłonnościami i nawet subtelne. Patrząc na nie, odczuje wrażliwy obserwator to samo wrażenie, jakby po raz pierwszy oglądał „Romea i Julię“.

Jednakowoż bywają rodzice, którzy upatrują w tem coś, co je przeraża. Żądają, aby rozłączyć te dzieci i zabronić im dalszego widywania się.

Ojciec powiada: „Ależ to najprawdziwsza historia miłosna“.

Naturalnie, że jest to historia miłosna. Dzieci w tym wieku nie rozumieją się na przyjaźni. Przyjaźń przychodzi dopiero w dojrzałym wieku. U dzieci jest to tylko rozkochanie, namiętność, wspólność interesów.

— — — — —

Rozkochanie wśród dzieci — płeć nie odgrywa tutaj żadnej roli — polega na nieświadomionej sile przyciągania, tak podobnej do płciowej, że tylko bardzo subtelny obserwator dostrzeże tę różnicę. Zdarza się też, że powodem jest tutaj wspólna miłość do trzeciego dziecka, co w wieku przejściowym tak często obserwować można wśród dzieci. Wreszcie jest to poprostu związek dla wzajemnej admiracji i współudział w brojeniu.

Tego rodzaju miłość między małymi dziewczynkami uważają dorośli za coś wstrętnego. Czynią też wszystko, aby taki stosunek zerwać, czy to przebiegłością lub nawet brutalnie.

Jest to jeszcze jedna z tych zbrodni, których tak wiele

dorośli popełniają wobec dzieci. Dlaczego? Nikt się przecie nie oburza na zapach róży. A należałoby właśnie w ten sposób pojmovać tę kwestię. Taka wczesna namiętność jest tylko dowodem, że ma się tutaj do czynienia z wybitnie erotyczną jednostką.

Wniosek łatwo daje się tu wysnuć.

Te same dziewczątka, które między 12 a 14 rokiem swego życia z taką gwałtowną pasją zawiązywały wzajemne „przyjaźnie“, stają się potem najszczęśliwszymi żonami i matkami. Zazwyczaj wychodzą wcześniej za mąż, a potem pochłania je zupełnie ognisko domowe.

W niektórych szkołach wypadki takie dają powód do wydalenia; w innych znów traktuje się je ze wzruszeniem ramion — w dobrej jednak szkole ma się dla tych rzeczy pewnego rodzaju respekt. Dwoje dzieci, które się kochają, sadowi się przy jednym pulpicie i okazuje się, że wybór się pochwała i że spodziewają się dla obojga jak najlepszych rezultatów.

Pogłębia się tym sposobem ich uczucie, bo wytwarza się solidarność, gdy czyni się jedno odpowiedzialne za czyny drugiego. Wreszcie — i to jest najważniejsze — usuwa się moment niebezpieczny przez to, że się w tem wszystkim nic zdożnego nie upatruje.

Jeśli na lunatyka, który kroczy po gziemsiem dachu, ktoś zawoła z nienacka, lunatyk spadnie; lecz gdy zostawi się go w spokoju, wówczas bezpieczny powróci z tej karkołomnej wycieczki.

— — — — —

Oczywiście, że w ten sposób postępować tylko można wobec dzieci, które mają w domu staranną opiekę, a są przytem zdrowe, normalne, bez odziedziczonych skłonności patologicznych. Bo tam, gdzie podejrzewa się pewnego rodzaju zboczenie, zapewne, że obawy są już uzasadnione. Dawniej zamykało się oczy na takie rzeczy. Nie istniały — podobnie, jak pewne choroby płciowe; tylko lekarz i milczące ofiary

wiedziały o tem. Milczenie nie zawsze jest dobre, chociaż... lepsze może od zbytniego wygadania na seksualne skłonności dziecka. Że te skłonności istnieją — nie ulega wątpliwości — ale odkąd o tem tak dużo się mówi, wywołało to u wielu owo półświadomienie, z którego w rezultacie zrodził się jakiś duszny, prawie zabobonny lęk wobec uczuciowych zjawisk w życiu dziecka.

Często upatruje się zwyrodnienie i anormalność tam, gdzie ma się do czynienia z objawami zupełnie naturalnymi. I tak np. przeraża nas to, jeśli małe dziewczynki zakochają się w sobie, albo jeśli miłość między małym chłopczkiem a małą dziewczynką staje się... zanadto namiętną.

Zapewne, że istnieje tutaj niemałe niebezpieczeństwo.

Przesadna uczuciowość u dzieci może doprowadzić do samobójstwa, nieraz podwójnego — co też w ostatnich czasach zdarzyło się niestety bardzo często.

Co się tyczy uczuciowej strony życia, to dziewczyna bardziej jest odporną, aniżeli chłopiec. Może doskonale się rozwijać pod wpływem fantastycznej miłości, pod ciężarem beznadziejnego uczucia albo tajonej namiętności. W sercu swoim posiada znacznie więcej — od chłopca — środków zapobiegawczych. Łatwiej także przychodzi się jej zwierzyć ze swemi troskami.

Bywają matki, które w uniesieniu nie wahają się zawołać: „Jest to mojem życzeniem, aby moje dziecko nigdy, a przynajmniej jak najpóźniej poznało miłość! Chciałabym mu zaoszczędzić tego bólu!“

Ludwika powiada do swoich uczniów: „Kochaj, jak wiele tylko możesz. Życie jest krótkie. Kochaj kogo i co chcesz. Lepiej mieć „złamane serce“, niż żadnego. Nie wstydzić się nigdy swoich uczuć. Tylko ten, co nigdy nie kochał, wstydzić się powinien. Kochaj! Marz! I cierp! A twoje serce stanie się jako skrzypce, na których długo grywała mistrzowska ręka“.

Ludwika pierwsza wie o każdym miłosnym symptomie

swoich dzieci, zarówno u tych większych, jak i u małych. Bez zarumienienia opowiadają jej o tenorze, który wywarł na nich najsilniejsze wrażenie — ona wie, że kochają rycerza, który w Lohengrinie na łabędzie zajeżdża. Nazwisko sławnego aktora połykają razem z kromką chleba, nasmarowaną masłem. W swej gwałtownej potrzebie kochania, obdarzają najgorętszym uczuciem młodego, obojętnego brata przyjaciółki, bo właśnie czytały „Romea i Julię“. Innemi słowy: Jest to miłość, którą kochają.

Nie powinno się im zarzucać niestałości, gdy zmieniają przedmiot swego ukochania. Właściwemu przedmiotowi, t. j. miłości, zawsze pozostają wierne.

— — — — —

Nawet u całkiem małych dzieci może się zbudzić namiętność; dziecko wtedy cierpi i tęskni z tą samą mocą, jak człowiek dorosły — może nawet więcej, bo jest bezsilne; brakuje mu także ta zdolność rezygnowania, jaką mają dorośli.

Pięcioletnia Anna zakochała się w Henryku. Widziała go raz podczas tego, jak ją starsza siostra zabrała do szkoły. Mówi o nim; marzy o nim ciągle. Czas mija, ona blednie i chudnieje. Nie je, a w nocy przewraca się niespokojnie w swoim łóżeczku i wzdycha przez sen.

Pewnego dnia mówi do matki: „Mamo, dlaczego tak jest, że kiedy przymknę oczy, to widzę Henryka, a kiedy je otworzę, to go już niema?“

Innym znów razem mówi: „Mamo, po co mnie zbudziłaś? Czy nie mogłaś widzieć, że śniłam o Henryku?“

Wreszcie prosi, by ją siostra zabrała znowu do szkoły. Chce widzieć Henryka.

W rok potem idzie na ślizgawkę. Spotyka tam wielu chłopców i jednego dnia powiada do matki: „Teraz, to sobie nic nie robię z Henryka“. I dodaje: „Bo nie chcę“. W lecie tego samego roku wyjeżdża z rodzicami w góry. Tam bawi się z wiejskim chłopcem, Jasiem. Teraz powiada: „Gdy doro-

snę, „ożenię się“ z Jasiem“. Nagle wzdycha i dodaje prędko: „Ale Henryk musi mnie codziennie odwiedzać“.

Nareszcie zostaje szkolną uczennicą. Nie sypia ze wzruszenia. Myśląc o tem, że zobaczy Henryka, czuje takie szczęście, jakby serduszek miało pęknąć z nadmiaru wzruszenia. Skoro zaś dowiedziała się, że o dwa lata starszy Henryś znajduje się w klasie na trzecim piętrze, podczas gdy jej klasa znajduje się na pierwszym, boleść jej jest tak wielka, że zbladła i drży cała. Zapanowała przecie nad sobą i usiłuje nie myśleć o nim.

Jednego dnia przychodzi do matki i opowiada w ekstazie: „Śniło mi się, że Henryś jest na tem samym piętrze, co ja... i że poszliśmy na spacer... i że to było bardzo... dziwne... i że on mnie pocałował...“

Razu jednego zachorowała. Matka chce jej zrobić przyjemność i pyta czego sobie życzy.

— Mam ołówek, mam notatkę, konfitury z wiśni są za słodkie... Ale chciałabym, żeby Henryś był przy mnie — dodaje po chwili namysłu.

Sprowadzają Henryka, który zwyczajem chłopców nic sobie z niej nie robi — i oto, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wyzdrowiała.

— — — — —
Jak szczerą w swoich wynurzeniach była mała Anusia, tak znów zamkniętym w sobie jest Tadek. Ojciec Tadek jest wdowcem i zakochał się w młodej damie. Chłopiec, który liczy lat siedm, otacza ją swoją admiracją. Jednego dnia ojciec i syn odbyli daleką wycieczkę, a nad wieczorem mają się spotkać z ową damą. Chłopiec przez całą drogę zrywa kwiaty i układa je w wiązankę. Ojciec zapytuje dla kogo to czyni.

— Dla panny Doroty — szepce chłopiec, wzruszony tak, że ledwie może mówić.

— To będzie twoja nowa mamusia — powiada ojciec. Spotykają pannę Dorotę.

— Czemu nie dajesz pannie Dorocie tych kwiatów, które zbierałaś dla niej?

Na to pytanie ojca, chłopiec ciska kwiaty na ziemię, depce je i mówi:

— Nie mam żadnych kwiatów dla panny Doroty!

Nie było to zrobione przez upór dziecięcy. Mężczyzna zwierzył się tu mężczyźnie i oto wybuchnął gniew męski na wiadomość o zdradzie.

XXIII. SENTYMENTALNE WYCHOWANIE.

(Co mi opowiedziała moja przyjaciółka Tora).

Matka moja, która teraz jest starą kobietą, dziś jeszcze powiada, gdy dzieci nadto są samowolne: „żłem was wychowała!“ I wypłakuje swoje czarne oczy, które ciągle jeszcze są piękne i błyszczące. Lecz niech tylko usłyszy, jak na ulicy śmieją się dzieci, śpieszy do okna. Na ustach wykwiła przepiękny uśmiech, przysłuchując się gromadce roześmianych dzieciaków, zapomniawszy o wybrykach swoich dużych dzieci.

Jednak to jest prawdą, że nie otrzymaliśmy należytego wychowania. Czujemy to wszyscy i każdego dnia. Ale świat nasz jest taki piękny i taki wielki, że wszędzie mamy wiernych przyjaciół. Zawdzięczamy to właśnie naszemu złemu wychowaniu. Pozwólcie, że wam coś o tem opowiem.

Było nas — kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką — czworo dzieci. Później przybył jeszcze braciszek, któregośmy nigdy, ale to nigdy, nie doliczali.

Jest nas czworo — mawialiśmy. — Czworo rodzeństwa i jeszcze Allan.

— A więc pięcioro!

— Nie, nie! Tylko czworo, a oprócz tego Allan!

Wychowaliśmy się częścią w domu, a częścią u babki

i ciotecznej znów babki. Były to staruszki przeszło siedm-dziesięcioletnie. W domu, ojciec często chorował, a wtedy musieliśmy chodzić na palcach i zachowywać się cichutko. Nikt na nas nie krzyczał — kładło się tylko palec na usta — i to było wszystko.

Gdy wypuszczano nas do ogrodu, zachowywaliśmy się, jak nieposkromione zwierzęta. Na podwórzu stało koryto dla świń. Kazałam się podnosić, żeby tam zaglądnąć, a wtedy przypatrywałam się straszemu robactwu, od którego aż roilo się w korycie.

I wyobrażałam sobie, że koryto jest piekłem, a robaki dyabłami. Czułam litość dla dyabłów, bo wszyscy nosem kręcili, gdy się o nich mówiło.

— Ach, to dręczące współczucie, które nurtowało moje dzieciństwo tak, że nieraz serce kurczyło się z bólu, to znów uderzało tak gwałtownie, jakby za chwilę już miało pęknąć. Wychowano nas dla współczuwania drugim.

Z okna naszego pokoju mieliśmy widok na więzienie. Za czerwonym, ładnym murem, tam byli biedni więźniowie. Gdy słońce najpiękniej świeciło, kiedy na coś bardzo się cieszyłam — stawał mi przed oczami czerwony mur. Chciałam podpalić wszystkie więzienia, uwolnić wszystkich więźniów — kiedyś, gdy dorosnę. Dziś jeszcze doznaję tego samego uczucia. Współczucie tak dalece wszystko sobą nakrywa i miesza moje pojęcia, że nie pytam o sprawiedliwość. Jeśli człowiek jest uwięziony, to dla mnie wystarcza, żebym go kochała.

— — — — —
Byliśmy w tym duchu wychowywani, że chcieliśmy wszystko rozdać, ze wszystkim się podzielić.

Bywało, chodziliśmy ze służącą do piekarza. Tam dawano nam placek. Taki mały placuszek, który kosztuje 2 grosze. Zanosiliśmy go do domu, podzielili na ośm części: czworo rodzeństwa, dwoje rodziców, służąca i nasz pies.

Razu jednego przyniosła moja najmłodsza siostra bukiet

róż od przyjaciółki naszej matki. Pani ta chciała jej dać ciastko, podziękowała, lecz przyjęła.

— Dlaczego nie chcesz jeść?

Żadnej odpowiedzi.

Pani sądziła, że się wstydzi i rzekła:

— Wyjdę z pokoju, możesz zjeść więcej.

Po chwili wraca. Ciastka leżą na stole, jak leżały, a dziecko rozpaczliwie rachuje coś na paluszkach.

— Jak to? Nie zaczęłaś jeszcze jeść?

— Nie ma dla mnie... i dla... naszego psa.

Było sześć ciastek, a musiało się mieć ośm, dla... porządku.

Przychodziła do nas stara żebraczka. Wydawało mi się, że dzieje się jej krzywda, bo dostawała tylko kromkę chleba i starą odzież. Wykradałam ze spiżarni tyle jaj, ile tylko zdołałam unieść, i pokrywom dawałam tej kobiecie.

Sprawa się wykryła. Powiedziano: Kradłaś. Odpowiedziałam, że przecie jedenaście jaj jeszcze zostało, a żebraczka dostała tylko ośm.

Kradłam!

I mama płakała.

A więc dobrze! Kradłam. Sumienie moje było ciężkie, jak młyńskie koło. A przytem czułam to rozdwojenie. Musiałam kraść, żeby dawać i ukrywałam się z tem.

Nareszcie postanowiłam wszystko wyznać. Dobrotliwy Bóg chyba mi przebaczy. W wieczór sylwestrowy zaprowadziłam mamę do piwnicy i opowiedziałam o wszystkich popełnionych kradzieżach. Płakałyśmy razem. W Nowy Rok sumienie moje było lekkie, jak ptaszyna. U drzwi zadzwonił żebrak. Jego kapelusz był w strzępach. W przedpokoju wisiało siedm kapeluszy mojego ojca. Wzięłam z nich jeden — cylinder — i podarowałam żebrakowi. Jak się to stało, nie wiedziałam. Sumienie moje zgadzało się w tem ze mną. Postanowiłam też wyznać wszystko w wilię następnego Nowego Roku.

A zatem kłamałam i kradłam.

W gazetach wyczytałam o morderstwie. Jako narzędzie zbrodni użyto nóż. Matka moja drżała, ale ze współczuciem mówiła o mordercy, który po wieczne czasy płonąć będzie w ogniu piekielnym. Wspominała o jego matce — mordercę jeszcze nie wykryto.

W nocy nie mogłam zasnąć. Myślałam o mordercy. Współczucie, jak obręcz, zaciskało mi szyję. Załamywałam ręce. Wiecznie płonąć w ogniu piekieł!... Już nie byłam wtedy taka głupiutka, żeby, jak to działo się przedtem, łudzić się jeszcze nadzieją, że zapomocą naszej ogrodowej sikawki zdolam ugasić cały ogień w piekle. A więc postanowiłam pójść tam i dzielić losy ze zbrodniarzem. Dla zamordowanego nie czułam jakoś wielkiego współczucia. Ten z pewnością dostał się do nieba. Ludzie, którzy dostawali się do nieba, nie uważałam wcale za dobrych, bo jakżeby mogli być zadowoleni, a przytem tańczyć i śpiewać, podczas tego, kiedy inni ludzie duszą się w piekle z pragnienia i wołają pomocy, ilekroć na nowo się ich przypieka w ogniu.

Lecz jak to urządzić, aby dzielić ze zbrodniarzem jego karę?

Chyba także zostać morderczynią.

Wydarzyło się to już dawno temu, ale dokładnie przypominam sobie płomienną trwogę, jaka mnie wówczas ogarnęła. Kogo tu zabić? Wszyscy ludzie byli przecież dla mnie tacy dobrzy. Nawet kominiarz. Wszyscy. Ojciec był chory. Chorzy ludzie umierają przecie wcześniej, aniżeli zdrowi. A proszę mi wierzyć, że nie jest to fantazja lub przesada, co tu powiem. Wstałam z łóżka, wślizgnęłam się do salonu i wzięłam stamtąd nóż... z kości słoniowej do rozcinania papieru. Lubiłam ten nóż: był taki gładki i ładny i prześlicznie krajał papier w wąskie paski. Postanowiłam tym nożem przetrząsnąć szyję... mojego ojca. Miałam wtedy lat pięć. Cichutko, na palcach, drżąc ze wzruszenia, sunęłam w stronę sypialni

rodziców. Księżyc świecił, zdawał mi się czerwony, a patrzył na mnie złośliwie...

Księżyc to sprawił, że cofnęłam się i, jakby mnie kto gonił, pobiegłam znowu do mojego pokoju, wsunęłam się pod kołderkę i zaczęłam płakać. Płakałam tak długo aż zasnęłam. Lecz wiele jeszcze nocy budziłam się wśród strasznej trwogi. Chciałam pójść i porwać nóż, ale nie mogłam...

A więc kłamałam, kradłam i chciałam zostać ojcobójczynią...

Jak już wspominałam, wychowaliśmy się właściwie u obydwu starszeczek. Mieszkały one w odwiecznie starym domu. Szyby w oknach były malutkie, a meble miały z pewnością więcej, niż sto lat. Panował tu taki spokój, jakiego już nigdzie więcej nie spotykałam. W kuchni podłoga była ułożona z czerwonych kamieni piaskowych. Przez otwarty komin spoglądaliśmy w niebo. Babcia opowiadała, że razu jednego, kiedy gotowała pudding, pokrywka się uniosła i wyleciała przez otwór komina. Jeszcze jako piętnastoletnia dziewczyna wyglądałam przez komin, żeby szukać za pokrywką, która tędy wyleciała, uniesiona wrzątkiem. Każde słowo babci, to była najszczęsza prawda. Nie mogłam w to wątpić...

Cioteczna babcia nauczyła mnie czytać, gdy miałam lat cztery. Potem uczyła mnie robić pończochę. Pracowałam po dług zegarka. Na wyścigi z zegarem. Boże, jakże ja się spieszyłam! Dostawałam zawrotu głowy, serce biło mi, jak młot, prędko, prędko, bo inaczej, to zegar zwycięży — — —

Od tego czasu nie umiem inaczej pracować, jak... bez tchu prawie.

Stara ciotka była bardzo spokojna. Kiedy szła, nie słyszało się jej kroków. Czternaście lat, dzień w dzień, nosiła tę samą szarą suknię, bez żadnych ozdób. Opasana była niebieskim fartuchem. Oczy jej były już bez blasku, jakby zgaszone.

Babcia ubierała się na codzień bardzo skromnie, ale

we święta wdziawała czarną, jedwabną suknię z koronkami i wyglądała wtedy, jak królowa.

A my dzieci nauczyłyśmy się poprzestawać na małym i pokochałyśmy wszystko, co piękne i drogocenne.

Wychowywano nas przez przykład tylko.

Na każde Boże Narodzenie dostawałyśmy od tych czcigodnych matron po parze wełnianych pończoch; w każdej parze była moneta dziesięciogroszowa, starannie opakowana w bibułkę. Pieniądz ten dawało się do skarbonki. Bibułkę chowałyśmy, jak skarb jakiś.

Ciocia codziennie wychodziła na spacer „za ogród“, niedaleko. Nam dzieciom wolno jej było towarzyszyć. Był to wielki honor. Wystrojeni mieszczenie z żonami spacerowali tam także. Ciocia była bez kapelusza, bez płaszcza, w filcowych bucikach, z rękami pod fartuchem, jakby marża.

Nauczyłyśmy się nie bać się ludzi, a przytem, chociaż nie mówiło się o tem ani słowa, wiedzieliśmy, że nie suknia zdobi człowieka.

Każdego sobotniego wieczoru — cieszyliśmy się na ten wieczór przez sześć dni — zapraszano nas, dzieci, uroczyscie do babci. I wtedy, jakie byliśmy pędraki, graliśmy w karty z obiema staruszkami. Nasz rachunek zapisywało się kredą na stole.

Cieszyliśmy się na owe wieczory sobotnie, jak nigdy potem na najwspanialsze bale. I nigdy, ale to nigdy, nie mówiło się tam złego słowa. Dziś jeszcze brzmi w uszach moich szczery, pogodny nasz śmiech i stłumione głosy staruszek i *tit tak* zegara z kukułką.

Nasi rodzice mówili tylko dobrze o ludziach. Te matrony tak samo. A my, dzieci, że, jak w ewangelię, wierzyłyśmy wszystkiemu, co mówiło się w domu rodzicielskim i u babci, wyrosłyśmy ani przeczuwając, że istnieje przewrotność. Matka nasza miała ten zwyczaj i ma go dziś jeszcze, że widzi we wszystkim i wszędzie to tylko, co jest dobre.

Wychowano nas nabożnie. Gdy żegnaliśmy się z babcią, przyrzekając, że przyjdziemy nazajutrz, mawiała zawsze: „Jak Bóg pozwoli“. Niczego nie postanowiła bez tego wiecznego: „Jak Bóg pozwoli!“

Na stole, pod oknem — ach, na takim stole z porcelaną, gdzie wędrują Chińczycy, pływają ryby i żeglują okręty — leżała zawsze biblia. Każdego dnia babcia albo ciotka czytały z niej na głos. A myśmy wszystkiemu wierzyły...

Mojem gorącym życzeniem było... latać. Często śniłam o tem, że lecę wysoko popod obłoki i gwiazdy. Śniłam, że z góry patrzę na dół w otwór komina. Śniłam, że zrywam gwiazdy.

I oto babcia czytała na głos: Wiara może przenosić góry z miejsca na miejsce. Uwierzyłam. Tak jest. Wierzyłam bezwzględnie. Stałam raz na schodkach, przy galeryjce, która do kuchni prowadziła, wyciągnęłam przed siebie ramiona, zacisnęłam pięści, przymknęłam oczy — i latałam... pół sekundy trwało to błogie uczucie; potem leżałam na dole z rozbitymi zębami, krwawiąc okrutnie. Wiara moja mocno się wtedy zachwiała. Ale posłuchajcie, jak zatraciła się zupełnie. Szalenie lubiałam pożar. Szczególnie przychodziło mi to na myśl, gdy nudziłam się w szkole i nie wolno nawet było ziewnąć. Błagałam Boga, żeby zesłał wielki pożar. Od czasu do czasu Bóg zyszał mi tę radość. Dzwony rozhuśtały się na alarm. Ratusz był zaraz obok szkoły; słyszałam głos ratuszowego dzwonu, majestatyczny, wspaniały, jakby sam Bóg-Ojciec ciągnął za sznury. Wprawdzie musiałam dalej siedzieć w ławce, ale ta niecierpliwość, z jaką czekałam na zakończenie lekcji, przepełniona jednak była błogiem wzruszeniem. Już nawet obiadu nie jadłam, pędząc na miejsce pożaru. Ach, to było przecież wspaniałe!...

Pewnej nocy zbudzono mnie nagle. Matka stała przy łóżku.

— Wstawaj. Miasto płonie — rzekła.

Spojrzałam w okno. Jasno było, jak we dnie. Łuna pożaru wybuchała, jak rakiety to tu, to tam. Wichur dął straszliwy. Gdzie spojrzeć, szalały płomienie. Tylko ojciec był spokojny. Wziął palto, kapelusz i wyszedł. Przykucnęłam w salonie, pełna niepokoju i trwogi, ale też i radości. Matka płakała cicho.

— Biedni ludzie! Biedni ludzie! — szeptała.

A ja, zawsze tak współczująca, nie litowałam się wtedy ani trochę. Moje serdeczne życzenie się spełniło: miałam olbrzymi pożar. Po godzinie — wieczność cała — ojciec powrócił. Był spokojny, ale ręce mu drżały, a głos brzmiał chrapliwie. Rzekł do matki:

— Twój dom rodzicielski jest zagrożony.

Wtedy było mi tak, jakbym po raz drugi się zbudziła. Jakby ten pożar tylko połową mojej istoty wstrząsnął: najpierw zmysłami — teraz duszą moją.

Żadna siła nie byłaby nas, dzieci, teraz wstrzymała, żaden strach ani obawa przed karą. Wybiegłyśmy.

Ciotka była od ośmiu dni chora. Liczyła już lat ośmdziesiąt. Leżała cicho, spokojnie w swoim łóżku; przychodziliśmy do niej codziennie i wtedy rozmawiała z nami, opowiadała o czasach, kiedy sama była dzieckiem i gdy codziennie czytywała w gazetce o Napoleonie w Rosyi, a potem o Napoleonie na wyspie św. Heleny...

Dzwony na alarm dzwoniły wciąż jeszcze. Z ratusza, z wszystkich kościołów, z wszystkich szpitali i szkół. Spalającą czuć było dookoła. Miałymy pełne dymu usta i nosy. Oddech stawał się coraz cięższy. Waliły na nas gorące chmury dymów. Powietrze było czerwone, jak ogień. Zewsząd padały płonące belki i krokwie. Coś trzasło z hukiem w pobliżu, tuż przed nami. To komin się rozleciał. Ludzie wyglądali śmiertelnie bladzi, kobiety lamentowały. Ulice zalane były wodą. Wszędzie dookoła błyszczały perliste strugi wody, wyrzucane z sikawek. Widzieliśmy strażaków w ich czarnych hełmach

i świecących paskach, jak zakładając żółte, woskowe kaptury, rzucali się w płonące czeluście.

Matka nasza biegła przodem, płacząc.

Tu i tam zamknięto drogę. Zdawało mi się, że nie tylko nasze miasto się pali, ale że świat cały się wali. Nareszcie udało nam się, obchodząc drogę poza ogrodami, dotrzeć w ulicę, gdzie mieszkała babcia i ciotka. Tu zastaliśmy morze płomieni. Nasz ogród — ogród przed domem babci — tam, gdzie wszystko tchnęło spokojem i pięknnością, to była teraz kupa gruzów. Parkan rozwalony, grządki kwiatowe strąlowane. I tam także stali strażacy z sikawkami, lejąc strugi wody na dom — — —

Matka nasza krzyknęła. Chciała się tam dostać. Zabronili. Jednak udało się nam. Weszliśmy. W kuchni, która była położona między podwórzem a ogrodem, kręcili się jacyś obcy ludzie z konewkami i sikawkami. Nie mogliśmy się zorientować w tem zamieszaniu. Ale babcia siedziała w swoim fotelu prosto, jak świeca — spojrzenie jej czarnych oczu, jakby wepchnięte było w głąb duszy; patrzała gdzieś daleko przed siebie. Ręce miała modlitewnie złożone. Tak ją spostrzegłam, gdyśmy drzwi do jej pokoju otworzyli i wbiegłam pierwsza. Powoli i z godnością wstała na nasze powitanie, pocałowała nas w czoło — wargi jej były zimne.

— Biedne dziecko! Biedne moje dziecko! — rzekła do naszej matki.

Zbliżyliśmy się do łóżka, na którym leżała ciotka. Firanki były zasunięte.

— Ona o niczem nie wie — szepnęła babcia. — Gdyby jej tylko dano spokojnie umrzeć...

Ojciec przyszedł.

— Tu zostać niebezpiecznie — rzekł.

Babcia odpowiedziała: czy nie możnaby powiedzieć tym obcym ludziom, którzy biegają teraz po domu, żeby zachowywali się spokojniej? Tu leży umierająca...

— Ależ mamó! Tu zostać nie możecie. Dom jest zagrożony.

Babcia nic już na to nie odrzekła. Nie myślała o tem, że zagrożoną jest jej siedziba, dom, w którym urodziły się jej dzieci, który męża jej pamiętał dzieckiem jeszcze. Słowa nie rzekła.

Płomienie zbliżały się coraz bardziej. Wicher szalał. Z sąsiednich miasteczek przyjechały straże ogniowe. Odkomenderowano oddział wojska do gaszenia pożaru. Dzielnica za dzielnicą zamieniała się w zgłiszczę. Ilekroć spłonęła jaka fabryka, słyszeć się dawał huk eksplozyi od pękających kotłów, aż drżała ziemia w posadach.

Pałiło się dniami i nocami. A tam leżała ciotka; nie mogła żyć i nie mogła umrzeć. Zawsze myślałam, że kiedy będzie miała umierać, Bóg cud okaże i ześle, jak prorokowi Eliaszowi, ognisty wóz, który ją uniesie ku niebu.

A oto leżała bezwładna z rękami do modlitwy złożonemi; chciała zmówić *Ojcze nasz* — zapomniała — nie mogła — nie umiała. Ze starych oczu trysnęły łzy.

Trzy dni i trzy noce szalał pożar. Trzy dni i trzy noce walczyła ze śmiercią. I nie odmówiła pacierza. Nie mogła przypomnieć sobie słów...

Miałam do wyboru: albo uwierzyć, że była złym człowiekiem i dopełniła się na niej kara Boża — albo, że Bóg jest niedobry. Gdy umarła, zgasły także ostatnie iskry płomiennej mojej wiary.

XXIV. ZBYTNIA UCZUCIOWOŚĆ.

Sentymentalne wychowanie oczywiście najlepszem nie jest. Potęguje, co prawda, uczucie, a zwłaszcza współczucie, czyni bardziej zdolnym do ukochania ideałów i ludzi, ale człowiek staje się też mniej odpornym w walce życiowej.

Podobnie, jak cieplarniana roślina, która nie znosi ostrego podmuchu wiatru.

A w życiu nie zawsze słońce świeci.

W dzisiejszych czasach, niestety, dzieci obawiać się nie potrzebują takiego wychowania. Raczej cierpią z tego powodu, że się je chroni przed zbytkiem uczuć.

Pewna młoda dziewczyna zwierzyła mi się, że w dzieciństwie tęskniła po prostu za pieśczołami. I dodała: „W naszej rodzinie nie mają zwyczaju pieścić dzieci“.

Dzieci potrzebują pieśczoł, a jednak czyni się wszystko, aby odzwyczaić dziecko od pieśczoły.

Chcą je „zahartować“; przygotować do walki życiowej.

Dlatego, że życie bywa często zimne i szare, gaszą zawczasu ogień na ołtarzu dziecięcym. I zziębnięte takie stworzenie idzie w życie — i zamarza na śmierć.

A właśnie, że rodzimy się z mnóstwem uczuć — używać je należy — a nie wstydliwie ukrywać.

Oczy, które nie umieją płakać, są albo z emalii, albo im czegoś brakuje, to pewne.

Bywają przymioty, które ludzkość coraz bardziej zapoznaje i zaniedbywa; wreszcie stają się niepotrzebnym przytykiem.

Piękna zdolność podziwiania, prawie że zaniknęła. Spotyka się to jeszcze u dzieci i u bardzo naiwnych ludzi. Prawie, że niema już takich, którzyby zdolni byli podziwiać bez zastrzeżeń, upaść niejako na kolana przed czemś pięknem, dobrem lub wielkiem.

Wszystko jest: wcale ładne, albo: wcale znośne, albo: niezłe!

Urządziłeś sobie mieszkanie podług twego gustu i przekonany o tem, że jest bardzo ładne; jednakże z obawy przed ośmieszeniem się, nie wypowiesz tego na głos. Co najwyżej przyznasz: „Tak, wcale tu mile wygląda!“

Jesteś w teatrze i sztuka wzruszyła cię tak, że tylko

z trudem ukrywasz łzy, a jednak siedzisz sztywny, aby się nie zdradzić sentymentem. W antrakcie zaś mówisz głośno o... błędach, które dostrzegłeś.

Ulicą przejeżdża wóz z węglami, ciężko ładowny. Konie uciągnąć go nie mogą. Widzisz, jak męczą się te zwierzęta i jak je okłada batem niesumienny woźnica. Jeden z koni ma głęboką ranę. Serce twoje drgnęło, robi ci się słabo ze wzruszenia, współczujesz. Już postąpiłeś parę kroków, żeby przemówić do woźnicy, wytłómaczyć mu, wzbudzić w nim litość dla katowanych zwierząt — ale wstydzisz się tych swoich uczuć i przechodzisz mimo, nic nie mówiąc.

Jakiś staruszek drepce przed tobą. Dźwiga wór drzewa. Ciężki wór zsuwa mu się z pleców. Człowiek ten ogląda się; jego smutne, stare oczy zdają się kogoś szukać, kłoby mu pomógł. Zbliżasz się. Twój instynkt wzbudził to uczucie litości. Ale już w następnej chwili przebiegasz obok — wstydzisz się swoich uczuć.

Największy krytyk — zdarza się to często — taką ma pustkę w sercu wystygłem, że przywodzi mi to na myśl nowo wybudowany dom, jeszcze mokry, gdzie wszystko takie zimne i czuć je wapnem.

Każdy dureń dostrzeże natychmiast, że ktoś zezuje, albo ma garb. Ale nie każdemu durniowi jest to dane, aby mógł zaobserwować z rozkoszą, jak na białym murze ślizga się zaślakany promień słoneczny. Nie rozraduje się głośno, widząc przelatującego obok motyla, o rzadko pięknem ubarwieniu; nie dostanie bicia serca, słysząc starą, naiwną pieśń ludową.

To jest to właśnie: dzieci powinny zachować tę swoją naiwność uczuć.

Im wyżej poszybuje nasz entuzjazm — tem większym i głębszym w perspektywie będzie widziany z wysoka obraz ziemi, tem prawdziwszy, bo zdolny nas zachwycić.

Nie potrzeba przestrzegać dzieci przed złą literaturą za pomocą przytaczanych przykładów. Jeśli daje się dziecku do-

bre książki w obfitości, podnosi się tylko już istniejący dobry smak dziecka i ono z pewnością złych książek czytać nie zechce.

Również zbytęcznem jest przestrzegać dzieci przed nie stosownymi obrazami. Pokażcie im dzieła mistrzów, a z pewnością na tamte ani spojrzą.

Lecz gdy krytyk odwróci się od źle namalowanych obrazów z pogardą i znudzony, człowiek z uczuciem (dziecko czy dorosły) oglądać je będzie spokojnie, a przez instynkt i współczucie zrozumie, co artysta chciał wyrazić, a... nie mógł.

Trzeźwo wychowany człowiek zasłoni uszy palcami, gdy przejdzie obok katarzyniarza. Człowiek uczuciowy pozwala mentalnie ukołysać się tej niewybrednej muzyce; przypomina mu ona bowiem dzieciństwo.

Krytykujący człowiek: „Ach! Cóż to za szkaradna woń ordynarnej tabaki marynarskiej“.

Człowiek uczuciowy: „Przypomina mi się przystań morza w mieście rodzinnem. Okreśły zawinęły żagle, stoją spokojnie. Jakiż to był piękny i malowniczy widok!“

Trzeźwe, krytyczne wychowanie zapewne ma swoje dobre strony. Czyni człowieka przezorniejszym, nie wdępcę w błoto, nie da się tak łatwo podejść i nie rozczaruje się tyle razy.

Lecz często jakże zimne jest wówczas życie takiego człowieka. Zobojętnienie i samotność ogołaca jego życie z barw i piękności.

Ci to są oschli ludzie, którym potrzeba śmieszności, aby dopiero mogli się śmiać.

XXV. RODZICE I DZIECI.

Czy istnieje taki ojciec lub taka matka, którzyby nie kochali swoich dzieci? Wątpię. Lecz wiele jest dzieci, które nie odwzajemniają ich miłości.

Kto tu ponosi winę? Niestety ci, którzy cierpią: rodzice. Dlaczego się tak dzieje?

Wiem o tem, że narażę sobie niejednych rodziców, zwłaszcza gniewać się będą na mnie ci rozumni i dobrzy — ale to musi być raz powiedziane. Otóż, jeśli dziecko — a teraz zdarza się to coraz częściej — przychodzi z tą wstrętną wymówką, że nie prosiło się o życie, boleję wówczas z całej duszy więcej nad dziećmi, niż nad rodzicami, którzy przeoczywszy wiele, doprowadzili już do tej ostateczności.

Znaczy to bowiem, że ich dziecko jest niedobre, ale także nieszczęśliwe. Znaczy to, że dziecko sięgnęło po broń zatrutą, żeby się bronić przeciwko niezadowolonej własnej swej duszy — i że tę broń nastawia także przeciw rodzicom.

Rodzice nie wiedzą, co odpowiedzieć, gdy po raz pierwszy słyszą te słowa; jakby oniemieli z przerażenia. Czują się boleśnie dotknięci. Potem próbują się usprawiedliwić. Wreszcie dzieje się z ich sercem to, co z palcami szlifierzy dyamentów — tak często i okrutnie je sobie poparzyli, aż stają się twarde i znieczulone.

Lecz rodzice, zostawszy z sobą sam na sam, powiadają: Czyśmy sobie na to zasłużyli? Czy nie uczyniliśmy wszystkiego, aby nasze dziecko uszczęśliwić?

A dziecko spogląda na rodziców ze złością, uśmiecha się pogardliwie i myśli: „Nawet nie potrafią mi odpowiedzieć!”

Później czas łagodzi to wszystko. Dziecko wyrosło, może czynić, co chce. Cofając się zaś myślą wstecz, błogosławi losowi, że wreszcie „uwolniło się z niewoli rodzicielskiej”. Z pewną wyższością sądzi: W rezultacie, nie było to powiedziane w złej woli. Inaczej być nie może. Trudno, aby dwie generacje zrozumiały się wzajem. To są starzy ludzie, trzeba im wybaczyć. Z łaskawym namysłem dziecko przebacza rodzicom, tym rodzicom, którzy długie lata starali się o to, aby im dać wychowanie i otoczyć wszelkimi staraniami.

A rodzice ostatecznie się z tem pogodzą. Zadowoleni, że wolno im w ogóle egzystować, że wolno im patrzeć na to, jak dorosłe ich dzieci własnem żyją życiem. Nie śmia o nie pytać. Nie dzielą tego życia.

Nieprawdaż, teraz zdawałoby się mogło, że oskarżam tu tylko dzieci, a dla rodziców zachowuję współczucie? Zapewne, że robię dzieciom słuszne wymówki, a dla rodziców czuję bezgraniczną litość — ale nie dam się jednak zbić z tropu, że rodzice są tu winni, oni tylko.

Po pierwsze, rodzice sami byli kiedyś dziećmi, sami doświadczyli, co to znaczy być źle zrozumianym. I oni zaciskali pięści — i oni — jeśli tego na głos nie mówili, ale te same buntownicze mieli myśli. I z pewnością pragnęli jak najrychlej uwolnić się z pod jarzma rodzicielskiej władzy. I oni także mściwość mieli w sercu i kto wie, czy nie pomyśleli: Nasze dzieci wychowywać będziemy inaczej.

Przyszła druga generacja: i jak dziadowie czynili, nie inaczej czynią rodzice.

Tak — ale co ci biedni rodzice mają począć?

Przedewszystkiem niechaj od chwili urodzenia dziecka ciągle zwracają się myślą ku tym czasom, kiedy sami jeszcze byli dziećmi. Niechaj spróbują i w drobiazgach nawet wżyć się w położenie dziecka.

Młodzieży powinno się pobłażać. Ale dobrze przytem obserwować trzeba ich zabawy, sporty, ich radości, ich upodobania artystyczne i to, co czytają najchętniej.

Mężczyzna, który w dwudziestym roku życia entuzjazmował się dla ultra modernistycznej literatury, ma dla niej w czterdziestym roku pogardliwe ściągnięcie ramion. Nie próbuje zrozumieć, co jest teraz nowością — po prostu odwraca się od niej.

A sztuka postąpiła naprzód — to on tylko stanął w miejscu.

Mężczyzna, który jako młodzieniec pochłaniał wszelkiego

rodzaju lekturę i miał przytem strawność strusia — w czterdziestym roku życia zamyka na klucz szafę biblioteczną, aby jego dzieci „takich książek“ nie czytały.

Czy jemu książki te zaszkodziły? Bynajmniej. Ale dziś jest on syty, dojrzały, stał się reakcyonistą. Nie powie: „Kochane dziecko, byłem głupcem; z rozkoszą czytałem dawniej każdą książkę, co mi w rękę wpadła, teraz jestem starszy, rozważniejszy i tak, jak nie mogę obecnie wyprawiać koziołków, tak jestem zanadto wygodny, aby czytać wszystko: i dobre i złe książki. Przytem mało mam czasu i dobieram sobie lekturę. Sądzę, że mógłbym ci w tym wypadku poradzić i pomódz w wyborze. Są mianowicie takie książki, które w młodocianych duszach pozostawiają głębokie wrażenie. Czy pozwolisz, abym cię ostrzegł przed złą książką? A może wolisz je sam poznać?“

Tak nie mówi. On po prostu zabrania.

Człowiek, który odwiedza stale wszystkie wystawy obrazów, nie wyjąwszy nawet rozmaitych niedojrzałych artystów — a prowadzi na nie swoje dzieci, przyczem każe im tylko patrzeć, nie krytykując i nie uprzedzając, otóż taki człowiek wiecznie pozostanie młody i zyskuje tę przyjemność, że odkrywa nowe talenty, śledzi ich rozwój — a w końcu: zachowuje sobie nieograniczoną ufność swoich dzieci.

Człowiek, który dzisiaj razem z synem pójdzie wiosłować, pomimo, że na takie ćwiczenia gimnastyczne trochę już za ciężki — jutro zaś mówić z nim będzie o uczonej książce w sposób taki, jak mówi równy z równym, pomimo, że syn nie dorósł jeszcze do tej lektury — taki człowiek na zawsze już zyskał przyjaźń swojego syna.

Człowiek, który synowi powiada: „Gdy byłem dzieckiem, źle się w szkole uczyłem, po prostu z próżniactwa. Następstwa tego są takie, że dziś nie wiem np., jaki obszar mają Chiny i nie mógłbym napisać porządnego listu — otóż ten o wiele

więcej przykładem takim wskóra, aniżeli inny, który powie, że był zawsze w klasie rzekomo pierwszym.

Człowiek, który synowi swojemu powiada: „Twoja matka, zarówno jak i ja, mamy zamiar wystawić willę, przedtem jednak chcemy o tem pomówić z dziadostwem. Oni w każdym razie najlepiej nam poradzą, bo sami kiedyś budowali“. Otóż taki człowiek zyskuje w oczach syna na powadze i dostojności, którejby niczem innem okupić nie mógł.

Człowiek, który nawet swojej służącej, dlatego, że jest kobietą — otworzy drzwi i puści ją przodem, kto wie, czy już na całe życie nie nakreślił granicy, w jakich obracać się będzie stosunek jego syna do kobiet w ogóle.

Człowiek, który mówi do syna, gdy pozostaną z sobą sam na sam: „Dzisiejszego wieczora muszę iść do klubu; czy chcesz mi wyświadczyć tę przysługę i towarzyszyć matce, aby nie czuła się tak samotną? Uczyni wszystko, aby spędziła mile ten wieczór“. Otóż człowieka tego syn z pewnością traktować będzie z oznakami pewnej kurtuazyi.

Człowiek, który synowi swojemu powiada: „Rozumiem, że chciałbyś mieć welocyped i chętniebym ci go kupił. Nie wiem jednak, czy możemy sobie pozwolić na ten wydatek. Ale będziemy o tem do spółki myśleli, czy może da się to jednak zrobić. Decyduję się oszczędzać od dnia dzisiejszego na cygarach; może i ty zrezygnujesz z połowy twojego kieszonkowego? W takim razie, sądzę, gdzieś około Wielkiejnocy będziemy mogli kupić welocyped“.

Człowiek ten uczy swojego syna radości, jaką się ma, oszczędzając dla jakiegoś celu; rozbudził w nim także wdzięczność i zrozumienie piękności ofiary.

Człowiek, który w obecności swoich dzieci dziękuje żonie za każdą, choćby najmniejszą usługę, jakby to było Bóg wie co — daje synom na drogę życia cudowne wspomnienie rodzicielskiego domu, a przytem przygotowuje ich do tego, aby sami byli kiedyś dobrymi mężami.

XXVI. „PANI DOKTOR“ PRZYJMUJE.

Brakuje jeszcze kilku minut do jedynastej, ale już czeka mnóstwo ludzi. Myślałby kto, że długi kurytarz przed kancelaryą dyrekcyi jest poczekalnią modnego lekarza. Gdy wreszcie ukazuje się Ludwika — policzki jej pałają; wraca właśnie od najmniejszych uczennic — cisną się do niej uczennice i nie tylko uczniowie ci, którzy oto mają pauzę, ale także wszyscy, którzy czekają na konferencyę, bo każdemu się zdaje, że jego sprawa jest najważniejszą.

Ojciec Wilusia jest pierwszym z kolei, którego Ludwika przyjmuje. Wchodzi do kancelaryi. Jest bardzo uprzejmy i formalny. Z głębokim ukłonem oświadcza, że zmuszony jest zabierać czas tak drogi, ale sprawa jest ważna: Wilusia niczem skłonić w domu nie można, aby jadł. Nie można przypuścić, aby chciał naśladować angielskie sufrażystki, za głupi i za mały na to. Chłopak mizernie wygląda, a jeśli już przez wybiegi zmusza się go, aby jadł, to je, stojąc, bo „nie chce utyć“. „Pani doktor“ — jak bowiem twierdzi Willy — trzyma jego stronę; nie można więc w tym wypadku wpłynąć nań groźbą, że rodzice użalą się w szkole. Dlaczego tak czyni, wyznać nie chce, lecz należy przypuścić, że powód jakiś istnieje.

Wołają Wilusia, który jest w swojej klasie. Tutaj, przed panią doktorką, wyzna wszystko. Błękitne oczy chłopca spoczywają na twarzy Ludwiki z wyrazem bezgranicznego zaufania.

— Nie chcę jeść, żebym nie utył, a pani sama powiedziała, żeby się nam przydał teraz taki wielki poeta, a ja chcę nim zostać. Wszyscy wielcy poeci cierpieli głód. A jak nie zostanę wielkim poetą, to chciałbym być dyrektorem banku, a wtedy powinienem być także chudy, żeby umieć dobrze rachować.

„Pani doktor“ słucha uważnie i potakuje. I oto układa

kartę potraw, stosowną zarówno dla wielkich poetów, jak i dla dyrektorów banku. Kleik jest bardzo dobry, jeśli się chce pisać wiersze, pomaga to znaleźć łatwo końcówki, które się rymują. Kompot z jabłek wpływa korzystnie na fantazyę. Szpinak zaleca się temu, kto napisać chce „feeryę“ na Boże Narodzenie. A dwa jaja dziennie, nawet i trzy, uznano od dawien dawna jako najlepszy środek, aby zostać wielkim rachmistrzem.

Willy słucha, zdaje się, pojął to wszystko i obiecuje „słowem mężczyzny“, że zastosuje się do tego. A chociaż liczy dopiero siedm lat, ani wątpić, że słowa dotrzyma. Zacznie jeść, aż wyglądać będzie jak pączek w maśle.

Wchodzi siedmnastoletnia panienka z miną bardzo poważną. Przychodzi jako deputowana „Kasy uczniów i uczennic“ i zapytuje, czy pani doktorka nie jest tego zdania, że należałoby zostawić ustawy na boku i użyć pieniędzy z kasy na cele, które ustawą nie są objęte. Dowiedziano się przypadkiem, że rodzice Edyty Bradit otrzymali sądowe wypowiedzenie mieszkania z terminem ostatecznym, który dziś właśnie upłynął, że zatem mają ich wyrzucić na ulicę, bo nie zapłacili zaległego czynszu.

Kwestya ta została załatwiona pomyślnie. Młoda panienka wybiegła z taką miną, jakby tu chodziło o jej własnych rodziców.

Zapytuje, co to za „Kasa uczniów i uczennic“, a Ludwika mi tłumaczy, że ma to być coś w rodzaju kasy oszczędności, którą zawiadują uczniowie i uczennice zakładu. Każdy z uczniów wpłaca nieznaczną miesięczną wkładką, ale dawniejsi wychowankowie mogą być członkami wspierającymi przez darowiznę większych ofiar, o ile się wykaże, iż pieniądze te zaoszczędzili lub zarobili sami. Pieniądze z tej kasy służą na to, aby dawać kieszonkowe biednym kolegom, wysyłać zapracowanych chorych kolegów w góry, kupować za-

bawki dla chorych dzieci, opłacać taksy doktorskich egzaminów.

Solidarność jest tutaj tak wielka, że dziecko bez zawstyżenia powiada: „Chcę pieniędzy z „Kasy uczniów“, żeby choć raz pójść na operę. Rodzice nie są w stanie kupić dla mnie biletu“. Albo: „Czy nie mógłbym otrzymać z Kasy 30 kor. miesięcznie na ubranie i kieszonkowe, dopóki nie dostanę lekcji“. Z chwilą objęcia korepetycji przyjdzie i powie, że już więcej z Kasy brać nie będzie. Zdarza się często, że dawni wychowankowie, młodzi doktorandzi, nawet z zagranicy, przysyłają do Kasy pierwsze zarobione przez siebie pieniądze. Jest także zwyczajem, że w dzień swego ślubu, każda była wychowanka przysyła pewną kwotę na ten sam cel. Kasy tej nie uważają tutaj za instytucję dobroczynną, ale jako wzajemną, socjalną pomoc między kolegami. Przyzwyczajeni są bowiem, że skoro jeden z uczniów głodny, albo zapomniał przynieść z sobą śniadanie, inni dzielą się z nim swoją porcją.

Wchodzi jeden z ojców. Został wezwany. Córka jego obraziła któregoś nauczyciela. Młody ten człowiek od niedawna dopiero uczy w tej szkole, nie czuje się tu jeszcze pewnym i z tego powodu nieco jest drażliwy. Upominano też dziewczęta, aby zachowywały się wobec niego z wielką uprzejmością. Otóż kierowniczka pragnie wiedzieć, czy Lili jest w domu kapryśna i gwałtowna.

Ojciec nie rozumie, co się to stać mogło. Córka owszem przy każdej okazji wspomina o tym nauczycielu w wyrazach najserdeczniejszych. Nawet zamierza haftować jakąś robótkę dla niego na Boże Narodzenie.

Ludwika słucha uważnie i nagle wybucha serdecznym śmiechem.

— Lili jest zakochana, otóż to!

Wołają Lili. Przychodzi.

— Dlaczego obraziłaś profesora X?

Lili zadąsana patrzy w przestrzeń.

— Powiedział mi „ty“. Uważam to za nieprzyzwoite i rzekłam tylko: „Wypraszam to sobie!“

— Jednakże wszyscy profesorowie mówią do was „per ty...“

— To mi obojętne!

— A więc dobrze. Poproszę profesora X, aby odtąd mówił do ciebie „per pani“ i tym sposobem odpadnie powód, dla którego czujesz się być obrażoną. Niestety, nie mogę ci oszczędzić kary. Przez ośm dni zostaniesz wykluczoną ze szkoły.

Wchodzi jakiś jegomość. Chciałby zapisać do szkoły piętnastoletnią swoją córkę.

— Chcę, żeby została studentką — powiada.

— To zależy, czy się nadaje — mówi Ludwika.

— Jakto? Takeśmy postanowili z żoną.

— Czy tak? A cóż na to powiada córka, która jest w tej sprawie osobą najważniejszą.

— Ach! Któżby pytał o zdanie piętnastoletniej dziewczyny!

— No, w tej kwestyi mogłabym jeszcze z panem pomóc. Lecz nie przyjmuję do zakładu dziecka, którego nie widziałam.

Dziewczyna czeka na dole. Wołają ją. Wchodzi. Wzrok jej błądzi po twarzach obecnych osób z wyrazem lęku. Ludwika zadaje jej kilka pytań. Po dziesięciu minutach powiada, że może się oddać.

— Nie, panie! Pańska córka nie chce zostać studentką. Czy chciałbyś jej pan zatruć młodość?

— Ależ pani! Tobysmy ładnie wyglądali, gdyby dzieci miały swoją wolę!

Ludwika zaczyna mówić. Mówi tak przekonywująco, że zanim upłynęło drugich dziesięć minut, ojciec przyrzeka, że

już nie będzie nalegał na córkę, aby skończyła szkołę średnią, lecz stosownie z jej własnym życzeniem, pośle ją na kurs gospodarstwa domowego.

— Słowo?

Ludwika wyciąga ku niemu dłoń swoją.

— Słowo honoru.

Silny uścisk dłoni potwierdza słowne przyrzeczenie.

— — — — —
Gdy jegomość ten odszedł, zapytałam Ludwiki:

— Czy sądzisz, że istotnie może jej to zaszkodzić, jeśli przyswoi sobie jak najwięcej wiedzy?

— To nie. I nie przypuszczam, aby wiedza była komuś zbyteczną albo zgoła szkodliwą, ale sądzę, że młodość trwa tak krótko, tak niczem nie da zastąpić, a taka przecie jest cudowna, że gromadzenie skarbów wiedzy żadną miarą nie powetuje utraty tamtych skarbów. Dziewczyna, którą tu przed chwilą widziałyśmy, należy do domu. Tam jest jej miejsce. Nauki zwiędłyby w jej mózgu, jak zerwanie gałązki kwiecia, które zapomniano włożyć do wody. Oddana do szkoły gospodarstwa kobiecego, pójdzie na wieś, będzie hodowała kwiaty i jarzyny, zaprzyjaźni się z ludźmi i zwierzętami. Nauczy się, jak utrzymywać ład w domostwie i jak je upiększyć, a za lat pięć, rękę, będzie już zamężną.

— A jeśli nie wyjdzie za mąż?

— Nie ma o to obawy. Ta dziewczyna nie należy do tych wyjątkowych istot, które czekają na jedyne swego człowieka. Ona czeka tylko na mężczyznę, który jej pomoże założyć własne ognisko. Takiego znajdzie wszędzie. Gdyby jednak mimo to nie przyszedł, w takim razie oberze zawód, który odpowiada jej zdolnościom i upodobaniom domatorki. Jeśli sprzeciwiam się temu, aby zacofani rodzice zmuszali utalentowaną córkę zająć się kuchnią i rondlami, gdy ona

całą duszą pragnie kształcić się dalej, tem mniej pozwolić mogę na to, aby taką domatorkę gwałtem pchać w świat.

— — — — —
Pawełka przysłała jego nauczycielka, żeby przed kierowniczką wypowiadał się ze swoich grzechów. Dokuczył Jerzemu i naigrawał się z niego, bo Jerzy jest... arystokratą.

„Pani doktor“ poważnie spojrzała na Pawelka.

— Czy dokuczałbyś koledze, gdyby był ubogi?

Pawełek energicznie kiwa główką, że nie.

— Albo gdyby zezem patrzył?

— Nie.

— No, a czy... przypuszczasz, że to jest taka „hańba“ być arystokratą?

Pawełek milczy. Zastanawia się.

— Jerzy ukłót mnie ołówkiem. Chciałem się zemścić. Ale on nie ma żadnej wady, prócz tej, że jest hrabiczem. A myśmy się uczyli: *noblesse oblige* i ja się jego zapytałem, czy jego arystokratyczne pochodzenie obowiązuje go tego, żeby klóć kolegę ołówkiem...

Wołają Jerzego. Obaj rozkoszni malcy stoją naprzeciw sobie. Zawsze byli z sobą w największej przyjaźni, mimo klócia ołówkiem i wyzwiska arystokraty. W ich spojrzeniu, gdy na siebie teraz patrzą, łatwo wyczytać wzajemną sympatię i podziw.

— Podajcie sobie dłonie i bądźcie nadal przyjaciółmi. Usłuchali skwapliwie.

— Myśmy wcale nie są tak bardzo wielką arystokracją — mówi Jerzy z płaczem — Dziadek był generałem i dopiero otrzymał tytuł hrabiego, kiedy wystąpił z wojska. A jak mój ojciec był małym chłopcem, to jeszcze wcale nie był arystokratą.

Wziąwszy się za ręce, razem wychodzą z kancelaryi.

Wchodzi abiturientka, aby się poradzić co do wyboru przyszłego zawodu. Materyalne jej stosunki zmuszają ją wybrać taki zawód, aby jak najprędzej mogła zarobkować. Drżącym głosem oświadczyła, że chciałaby zostać lekarką. Jest brzydka, wydaje się być melancholijną i unikać ludzi, ale przytem wszystkiem niezwykle zdolna.

I oto zadaniem Ludwika powiedzieć tej dziewczynie, ale tak, aby jej nie obrazić, że powinna wybrać zawód tego rodzaju, przy którym jak najmniej zetknąć się trzeba z ludźmi. Sama powiedziała o sobie: „Chyba nadaję się na lekarkę; jestem poważna, nie gonię za uciechami, nie zakocham się, jak inne dziewczęta“. Nie rozumie tego, że w określeniu „lekarz kobiecy“ większy nacisk tkwić musi w pojęciu: „kobiecy“ aniżeli „lekarz“. Nie wie o tem, że właśnie ta ryjąca się w jej fizyonomii bezpłciowość czyni ją wprost niezdolną do takiego stanowiska.

Lekarzy trzecio- i czwartorzędnych jest dosyć; konkurencja z tymi lekarzami byłaby rzeczą zarówno niemądrą, jak i niegodną. Kobieta wtedy dopiero może być wybitną lekarką, jeśli jest przytem rasową. Ze stanowiska socjalnego jest to już niepraktyczne: każdy będzie wolał mieć lekarza męczyznę, niż lekarkę, która tak mało jest kobietą.

Lekarka musi mieć pielęgnowane ręce i sympatyczny, zdrowy wygląd. Głos jej musiałby brzmieć mile, wzrok jej powinien budzić zaufanie i działać wprost kojąco. W jej usposobieniu tkwić powinna ujmująca słodycz macierzyńska, jeśli chce wywierać wpływ pocieszający i stać się niezbędną.

W niejednym wypadku lekarka powinna być najwłaściwszą doradczynią, już to siłą swojego instynktu, a głównie dlatego, bo bardziej od mężczyzny nagiąć się potrafi do uczuć pacjentów. Kobieta ma dużo danych dla zawodu lekarki. Przytem jest naturą organizatorską. A działalność lekarza to właśnie dziedzina, w której dużo zrobić można, a przytem zasłużyć się dobrze. Jednakże musi to być kobieta nawskróś

kobiecą. Młoda dziewczyna, która zapewnia, że „nie zakocha się nigdy“, nie jest obiecującym materyałem na lekarkę.

A więc ta młoda dziewczyna?...

Nie nadaje się do zawodu lekarskiego i nie może też poświęcić się czystej nauce, ponieważ nie ma na to środków materyalnych. Odebrać jej odwagę teraz, znaczyłoby wypuścić ją stąd błędniejszą, niż nią była, gdy wstępowała w te progi. Ale tak się nie stanie.

Ludwika rozmawia z nią, posługując się przytem dyplomatyką tak misterną, że przewyższa ją tylko wrodzona jej duszy tkliwość serdeczna. To też w końcu dziewczyna wyznaje powody, dla których wybrać chciała zawód lekarski. Sądziła, że w stosunkowo krótkim już czasie będzie mogła sama się utrzymywać. Bo, gdyby nie to, wolałaby wybrać przyrodoznawstwo; tylko, że jest to zawód, który chleba nie daje. A więc wybiera medycynę, aby być przynajmniej blisko przyrody.

Potrzeba teraz kilku zaledwie słów, aby ją przekonać, że studyując chemię, może już bardzo rychło otrzymać zajęcie asystentki w laboratorium, albo chemika w fabryce, a są to w każdym razie intratniejsze posady.

— Chwała Bogu! — woła studentka. — W takim razie nie będę potrzebowała udawać zainteresowania dla obcych mi ludzi!

— — — — —

Gdy wyszła z kancelaryi, Ludwika zaczyna mi opowiadać o trudnościach, jakie mają dzisiejsze kobiety w wyborze terenu swojej działalności. Nie kończy przecie rozpoczętego zdania, bo oto wbiega jasnowłosa chłopaczek.

— Czy mogę zatelefonować do domu? Bo to jest strasznie ważne!

Ludwika skinęła głową, chłopczyk przystępuje do aparatu i woła swoją bonę: zapomniał dać wody kanarkowi, zanim poszedł do szkoły.

— To naprawdę bardzo ważne — mówi Ludwika.

Chłopczyk pragnie zatrzeć „ujemne“ wrażenie i powiada:

— Proszę pani doktorki, bo ja mam posadę do rozdania...

— No, proszę!

— Tak jest. Wczoraj wujek mój powiedział, że potrzebuje nowego dozorcę; więc ja go poprosiłem, żeby zaczekał, bo takiego mu dostarczę, gdy o tem pomówię z naszą panią doktorką.

— Bardzoś dobrze uczynił, mój przyjacielu. Powiedz twojemu wujkowi, że przyjdę jutro do jego biura, aby z nim o tem pomówić. Albo nie!... Zaraz telefonicznie się z nim porozumiem...

Czy utrzymujesz biuro pośrednictwa pracy? — zapytałam zdziwiona.

Ludwika zaśmiała się na to.

— W dosłownem znaczeniu, nie! Ale przychodzą do mnie ludzie, którzy szukają pracy zarobkowej. Wprawiam więc moich uczniów do tego, aby mi pomagali w wyszukiwaniu posady. Od czasu do czasu obchodzę wszystkie klasy i przypominam dzieciom, aby, jeśli usłyszą, że ktoś szuka człowieka do jakiejś pracy, zawiadomiły mnie o tem natychmiast.

Dobrze jest, aby dzieci wiedziały o tem. Zyskują tym sposobem pojęcie o solidarności nie tylko wśród kolegów, gdzie obowiązani są do wzajemnych świadczeń, ale że mają także obowiązki na zewnątrz. A kiedy dorosną, będą się zastanawiali nad temi zobowiązaniami, których próby złożyli już w latach dziecięcych. Wielu z tych małych obywateli, którzy co dopiero nauczyli się teraz czytać, za jakie lat dwadzieścia stanie na czele przedsiębiorstw i od ich rozważli zależeć będzie egzystencya znacznej gromady ludzi.

Tutaj przyzwyczajają się odczuwać odpowiedzialność socyalną, a kiedyś stosunek do podwładnych czy też do przełożo-

nych nie będzie li tylko kwestyą podaży i popytu siły robotniczej, ale stanie się sprawą, którą rozstrzyga rozum i serce.

— — — — —

Wchodzi jakiś pan w średnim wieku, ale o młodym wyglądzie; odziany jest w eleganckie futro i towarzyszy młodziutkiej panience. Wyglądają, jak para narzeczonych. Młoda panienka rzuca się Ludwice na szyję i całuje ją, a ów pan podaje jej wiązankę purpurowych róż.

— Czy przypomina sobie „pani doktor“ datę dzisiejszą przed pięciu laty?

I wszyscy troje uśmiechają się radośnie.

Ludwika zapytuje, co słyhać z ogrodem.

— Ach, właśnie założyliśmy inspekty dla fiołków i pomidorów. Papuś postanowił wyjechać na wiosnę do Anglii, żeby tam odbyć kurs ogrodnictwa, a w szczególności, co się tyczy kultury nasion. Tylko nie wiem, czy tak długo bez siebie wytrzymamy.

„Papuś“ kiwa głową.

— No, to jakoś będzie. Z wiosną Loti żyje tylko dla swoich roślin. Podejrzewam ją, że wnet sama wyjdzie na jarmark i zacznie sprzedawać jarzyny.

— Papuś przypuszcza, że to takie śmieszne. A ja do prawdy mam taki zamiar. Bo jeśli tak szczęśliwie udają się moje jarzyny, to czemuż nie mam mieć tej przyjemności i tej satysfakcyi, żeby mi je kupujący chwalili i podziwiali?

„Pani doktor“ uśmiecha się i całuje młodą entuzystkę.

Loti podaje jej notatnik.

— Oto obliczenia za ostatni sezon. Proszę się przekonać, jak interes dobrze idzie. A proszę nie zapomnieć o tem i przysłać mi kilka uczennic, które potrzebują świeżego powietrza i kuracyi owocowej.

— Za mąż nie wychodzisz?

— Ależ właśnie! W tej sprawie przysłałam tutaj z papą. Papa powiedział — a on zawsze ma słuszość — że „pani

doktor“ pierwsza powinna się o tem dowiedzieć. Tak jest.. w lecie za mąż wychodzę. Byłby tu dzisiaj z nami się wybrał, ale musiał zostać w domu, żeby pilnować ludzi.

— Jest naturalnie ogrodnikiem?

Wszyscy troje znowu się śmieją.

— Ależ naturalnie! I papuś powiada z komiczną rezygnacją: „Będę już zbyteczny“.

Loti całuje ojca.

— Nie, papuśku! O tem wiesz najlepiej, że tak nie jest.

Zwracając się znów do Ludwika, tłumaczy:

— Willa nasza zostanie przebudowaną; papuś zamieszka w dużych pokojach na dole. Nie wyżyłby bez bilardu. Nam wystarczą te małe pokoiki na piętrze. Za rok postawimy drugie piętro.

— Jak wygląda twój narzeczony?

Loti robi komiczny grymas.

— Ręce to ma takie duże, jak łopaty, zresztą jest tak piękny, jak najwyższe w polu drzewo, a taki mądry, jak deszcz i słońce i taki dzielny, jak cała kolonia mrówek. Umie czytać i pisać bez błędów ortograficznych, ale nie zna ani łaciny, ani języka francuskiego. Nie potrafi także ocenić różnicy pomiędzy Rembrandtem a Fra Angelico.

— Biedaczysko! — mówi Ludwika żartobliwie.

— Niechże mi pani powinszuje!

I Ludwika powiada:

— Jeśli stanie wreszcie szkoła leśna w górach, musicie oboje, ty i twój mąż, zamieszkać tam jak „nadogrodnicy“.

— Dobrze! Stanie się!

— Któż to był? — zapytałam ciekawa, jak pięcioletnia dziewczynka.

Usłyszałam historię, która dowodzi, jak to czasami Ludwika śmiałą ręką sięga w życie i losy osób, jeśli jej się zdaje, że w grę wchodzi szczęście „jej dzieci“. A ta władza nad du-

szami w połączeniu z odwagą osobistą, jakiej drugiej nie udało mi się nigdzie spotkać, uwieńczone bywają rezultatami, którychby nikt inny osiągnąć nie był w stanie.

— — — — —

Pewnego wieczora — tak opowiada Ludwika — było już około dziesiątej dzwoni ktoś u drzwi mieszkania i wbiega siedm-nastoletnie dziewczę tak zdenerwowane, że robi wrażenie waryatki. Mówi o samobójstwie. Matka jej od lat kilku już nie żyje; nie przypuszczała dotychczas, że ojciec mógłby się znowu ożenić. Niedawno temu poznał kobietę, „wstrętą istotą!“ — której reputacja nie jest jak najlepsza, ale ma ona władzę taką nad ojcem, że chce nie tylko ją, ale także jej dzieci zabrać do swego domu. Małżeństwo jej pierwsze, zawarte podług katolickiego rytuału, wyklucza powtórne zamążpójście, otrzymała bowiem tylko seperację. Ale to sprawy w niczem nie zmienia. Błagała ojca, w imieniu zmarłej matki, aby nie brał w dom „tej ladacznicy“. Gdy to nie pomogło, prosiła, żeby jej wolno było opuścić dom ojcowski. Jedyne jej życzeniem było zostać ogrodniczką, ale ojciec zgodzić się z tem nie chce i żąda, aby została w domu i obcą tę kobietę uznała jako legalną jego żonę. Teraz jej oznajmił, że za dwa dni ta kobieta przybędzie i zamieszka pod jego dachem. Od córki zażądał, aby przysposobiła wszystko na jej przyjęcie. Córka dostała ataku histeryi i, po gwałtownej scenie z ojcem, uciekła z domu.

— Raczej się utopię, niż żyć z tą kobietą pod jednym dachem! — powtarzała, gdy Ludwika usiłowała ją uspokoić.

Dziewczyna znajdowała się w stanie takiego podrażnienia nerwów, że ani wątpić, że byłaby gotowa popełnić samobójstwo. I oto Ludwika postanowiła działać. Powzięła plan śmiały. Nie zgadzał się ani z przyjętą moralnością, ani z ustawą, podług której ojciec ma władzę nad nieletniem dzieckiem.

Tej samej jeszcze nocy, w towarzystwie zaufanej osoby, wysłała dziewczynę za granicę, dawszy jej na drogę zapas

koniecznej garderoby i pieniądze. Wysłała też natychmiast telegram do znajomej sobie rodziny, aby zajęli się nią, gdy do nich zapuka.

Nazajutrz rano telefonuje ojciec do szkoły i zapytuje, czy córka jest obecną. Odpowiedź brzmi przecząco. Nad wieczorem telefonuje znów do prywatnego mieszkania Ludwika i zapytuje, czy może ma jakie pod tym względem wiadomości. Wyznaje wszystko, jak się rzecz miała, a Ludwika pozwala mu mówić. W końcu daje mu do zrozumienia, że coś wie, ale zarazem czyni to tak, aby nabrał przekonania, że ona na tę sprawę zapatruje się bardzo poważnie.

Następnego dnia przyszedł, uzbrojony w autorytet ojcowski, aby się dowiedzieć, co Ludwice w tej sprawie jest wiadome. Ludwika nie daje się nastraszyć. Powiada, że ani groźbą, ani nawet policyą nic tu ojciec nie wskóra. Poda wskazówki, ale w zamian za pewne przyrzeczenie. Jegomość jest wściekle zły, nie liczył się z takim uporem. Opuścił kancelaryę Ludwika, grożąc jej policyą i opublikowaniem w gazetach.

Upłynęły trzy dni. Ludwika nie ustąpiła. Konferowali jeszcze dwukrotnie. Ludwika miała sposobność zajrzeć w głąb jego duszy. Opowiedział jej wszystko, powołując się na prawo ludzkie, które nakazuje szukać szczęścia tam, gdzie się przypuszcza, że ono się znajduje. Ludwika przyznała, że ma do tego prawo, ale działać się to nie może kosztem córki.

W końcu zgodził się na podane przez Ludwikę warunki. W liście, podpisanym w obec świadków, oznajmił, że córka może przebywać poza domem ojcowskim i wybrać sobie zawód ogrodniczy; że nie będzie jej nagabywał, ani robił wyrzutów. We wszystkich punktach zresztą oddaje swe prawa ojcowskie i odpowiedzialność za jej losy w ręce Ludwika.

Po napisaniu tego listu jest to już inny człowiek. Wypadki ostatnich dni wzruszyły jego sumienie. Musiał to sam uznać, że brutalnie obszedł się z córką i znieważył pamięć

jej matki. Sam pojechał po córkę, żeby ją odprowadzić do miejscowości, gdzie miała rozpocząć studia ogrodnictwa.

Któż jednak zdoła opisać zdumienie Ludwika, gdy w tydzień, po opisanych tutaj wypadkach, zjawiała się w szkole córka uszczęśliwiona, wprost zachwycona dobrocią ojca. Posałowała kończyć nauki, żeby zdać maturę, do czego brakowało jednego tylko półrocza. Opowiedziała, że gdy ją ojciec zobaczył, tak był wzruszony, że obiecał zerwać z tamtą kobietą wszelkie stosunki. Ojciec z córką odnaleźli się znowu i nigdy przedtem nie łączyło ich takie ścisłe uczucie.

Stosunek ten taki był wzruszający, że kiedy córka po maturze odbyła dłuższe studia ogrodnictwa, ojciec zostawił tutaj wszystkie swoje interesa i przeniósł się do niej, aby żyć w pobliżu miejscowości, gdzie założyła zakład podług wszelkich reguł nowożytnej sztuki ogrodniczej.

Każdego roku, z wdzięczności, przyjeżdżają w dniu dla siebie pamiętym do Ludwika i przywożą jej bukiet ostatnich róż ogrodowych, które specjalnie na ten dzień doprowadza się do rozkwitu.

— — — — —

Wchodzi siedmioletni „pan“, który, szurgnąwszy nóżkami, oświadcza z głębokim ukłonem:

— Zmieniłem swoje powołanie. Już nie chcę być odkrywcą, ale chcę mieć taką doskonałą latarnię morską, aby okręty nie rozbiły się na morzu.

Nie czekając wcale odpowiedzi, kłania się znowu i znika.

— Co to ma znaczyć? — zapytałam.

Ludwika zbliża się do oszklonej szafy i ze stosu zeszytów wyjmuje zeszyt, który ogląda uważnie.

— Ach, tak!... Domyślałam się odrazu. Otóż w pięćdziesięcuminutowym zadaniu, na pytanie: „Czembyś chciał zostać“, mały Edmund napisał: „Odkrywca takich skrzydeł, które się ma zawsze, jeśli w nocy się śni, że się lata“. Od tego zadania upłynął tydzień. Nastąpiła zmiana „przekonań“.

Teraz chce mieć latarnię morską i sprzeniewierza się pierwotnej myśli. Lecz, jako „mężczyzna“, nie chciałby tak bez tłumaczenia się okazać się „niesłownym“. Dlatego przyszedł i wyznał mi to otwarcie.

— Chcemy już odejść, ale w ostatniej chwili Ludwika siada i zaczyna pisać list. Mówię do niej:

— Piszesz do dziecka?

— Skąd wiesz?

— Domyślam się i dziwię temu, że ofiarujesz tyle czasu i siły swoje na odpisywanie listów i karierek, które setkami napływają do ciebie od twoich uczniów i uczennic.

— Sądzisz, że to jest strata czasu? Wytlómaczę ci to, a pewna jestem, że zmienisz swoje zdanie.

Oczy jej zachodzą mgłą łez. W jej ruchliwej, przemilej twarzy znać wzruszenie rzewnych wspomnień.

— To jest, widzisz, tak... Jeśli podczas wakacyi dzieci donoszą mi np., że ich kotka dostała młode, albo, że burza oderwała gałąź wielkiego dębu, albo, że Piotr złapał dwa karasie w stawie, a parobek od krów ma czeraka na czole, wtedy oczekują odpowiedzi. Dla nich są te małe, lakoniczne listy jakby długa ze mną rozmowa. Wychodzą z tego stanowiska, że wiem wszystko, co się ich dotyczy, a więc potrzebują mi tylko o tem donieść, co w tej chwili przychodzi im na myśl. Zapominają następnie, że list ich był taki krótki. Przekonani są owszem, że wzbudził moje najżywsze zainteresowanie. Wołają mnie. Moja odpowiedź, to znak, że wołanie to słyszę. Otrzymuję listy nie tylko od dzieci, które uczęszczają do szkoły, ale od tych, które już szkołę opuściły, albo są gdzieś z rodzicami daleko poza krajem, albo gdzieś w świecie sami już zajmują odpowiedzialne stanowiska i mają teraz własne ognisko domowe i dzieci. Wszyscy oni czekają na odpowiedź. Gdybym nie odpowiadała, znaczyłoby to zdradzić ich zaufanie. Piszę do mnie, widocznie obiecałam odpowiedź.

Sprowadzić rozczarowanie uważam za gorszą zbrodnię, niż krzywoprzysięstwo.

Popełniłam raz taki grzech i nie dało się to już naprawić, a gnębić mnie będzie to wspomnienie całe życie. Nic mnie nie usprawiedliwia w tym wypadku. Wiedziałam, jakim jest to dziecięce serduszek, a przecie zapomniałam...

Kilka to już lat temu. Wakacye miały się rozpocząć... Ostatnie dni nauki... W szkole zamieszanie... Jedni się żegnają, drudzy robią plany, zwierają się, proszą o radę. Rozdawanie świadectw... Sprawozdania... A tu najważniejsza rzecz: Szłam od jednych dzieci do drugich; każde w ostatniej chwili miało mi jeszcze coś do powiedzenia. Przechodziłam obok piętnastoletniej dziewczynki i niewiele myśląc, powiedziałam do niej: „Lolu, mam z tobą w ważnej sprawie do pomówienia. Teraz nie mogę, jestem zajęta. Na wakacye ci napiszę“. Oczywiście, że to „bardzo ważne“ było czemś powszedniem, lecz wchodzę w tok myśli dziecięcych; u dzieci wszystko urasta do nadzwyczajnych rozmiarów. Może chciałam jej powiedzieć, że ją pochwalił profesor francuskiego języka. Może jej chciałam coś podarować lub pożyczyć. Nie mam po dziś dzień wyobrażenia, o co mi wtedy chodziło. Dzieci chcą mieć przeżycia; one je znajdują we wszystkim; żywi się tem ich nadmiar fantazyi.

Nadeszły wakacye — zapomniałam o mojem przyrzeczeniu. Pewnego dnia otrzymuję widokówkę ze słowami: „Tysiące pozdrowień od Loli“. Nie przychodzi mi i teraz na myśl, że mam wobec niej coś do spełnienia. Przed końcem wakacyi umiera Lola po operacyi ślepej kieszki.

Rodzice znajdują jej dzienniczek i posyłają mi go do przeczytania. I z tego to pamiętnika dowiaduję się, że dziecko czekało i czekało... Literalnie z godziny na godzinę czekało, czy czegoś odemnie nie usłyszy.

I tak się na to cieszyła! „To musi być coś bardzo a bardzo pięknego, bo inaczej „pani doktor“ nie powiedziałaby przecie, że to jest coś ważnego. To musi być coś

dobrego. Pani tak się słodko uśmiechała, gdy to powiedziała. — Codziennie wybiegała naprzeciw listonosza. Wreszcie zdecydowała się, mimo swej wstydlivosti i przesadnej skromności, że napisze do mnie. Lecz uważając, że byłoby to narzucaniem się przypominać mi, że jej coś obiecałam, przysyła tylko: „Tysiące pozdrowień“. To powinno wystarczyć. Pani nie mogła przecie zapomnieć. I znowu czeka. Czeką ciągle. Gdy list nie nadchodzi, przerzuca się z jednej ostateczności w drugą. W miejsce podniecającego, radosnego oczekiwania, smutek, melancholia, a potem: rozgoryczenie, niedowierzanie i rozpacz. Cały świat jest zły i podły. Gdy zachorowała, pisze jeszcze w swoim dzienniczku: „Pani nie powinna się dowiedzieć, że jestem chora. Nie chce o niej wiedzieć, ani jej widzieć“...

...A teraz, czy już zrozumiałas, dlaczego muszę odpisać na każdy list moich dzieci bez względu na to, czy mam czas, lub nie mam czasu?...

Godzina przyjęć minęła. Ludwika ubiera płaszcz i nakłada kapelusz, rękawiczki cisnęła do torebki. Ręce jej są tak żywe, że buntują się przeciwko wszelkim więzom, tak samo, jak ciało jej nie zniosłoby przypasu gorsetu. Wyjmuje z wazonów kwiaty i wydaje zlecenie sekretarce, aby je zaniósła chorym dzieciom. Potem sięga po kwiaty, które stoją na jej biurku i zabiera je z sobą, wychodząc na kurytarz, gdzie właśnie zaroilo się, jak w ulu, bo dzieci mają teraz drugą pauzę. Na wszystkie strony rozbrzmiewa pozdrowienie Ludwika. Prawie niema takiego dziecka w szkole, któreby w ciągu dnia nie pozdrowiła. A gdziekolwiek się pokaże, oglądają się za nią i odprowadzają ją rozbłyśniętymi w radości oczkami.

Dwa maleństwa ciągną ją za suknię.

— Pani doktorko!... Chcemy panią zaprosić na poniedziałek. Jesteśmy w deputacyi.

Ludwika zatrzymuje się.

— Kochane dzieci, to niemożliwe. W poniedziałek mam gości u siebie w domu.

W poniedziałek są jej imieniny.

Dzieci wcale nie wyglądają rozczarowane.

— To bardzo dobrze. Bo myśmy chciały zaprosić, żeby pani była w domu w poniedziałek.

— Ach, tak, to co innego!

I Ludwika skinęła głową w sposób uroczysty, jak właśnie spodziewać się mogła taka deputacya sześciolletnich dziewczątek, zaczem wychodzimy za bramę.

XXVII. SZKOŁA W GÓRACH.

Ludwika, to dziecko dnia i czynu, marzyła, a w tem marzeniu był uśmiech i łzy i tęsknota.

Był czas, kiedy już zwątpiła, by jej marzenie się kiedyś spełniło. Gdy jednak patrzyła w purpurę zachodzącego słońca, duszą widziała mury dumnego budynku, który kiedyś miał się zapęłnić gromadą rozradowanych dzieci; widziała wzorową szkołę w górach, w otoczeniu pachnących lasów świerkowych.

A w chwilach zniechęcenia, kiedy nawet, mimo optymistycznej swej natury, gotowa była zrezygnować, i kiedy spokoju znaleźć nigdzie nie mogła, wtedy na zmęczone bezsennością powieki spływało sen-marzenie i na swych skrzydłach poprzez noc przenosił ją do gór ukochanych. I we śnie widziała, jak zakładają fundamenty i wznoszą się mury.

Budynek, który ogląda w marzeniu sennem, zwrócony jest na południe, a pełen słońca i powietrza. Oslaniają go pobliskie lasy i krąży nad nim dzikie ptactwo gór. Stoki wzgórza wznoszą się amfiteatralnie. Zawieszone na nich ogrody wyglądają z daleka, jak kwiecistym dywanem wyłożone stopnie, prowadzące w górę, do budynku szkolnego. Mnóstwo tam małych ogródków. Są tak rozmaite, jak rozmaitemi bywają myśli,

kryjące się w duszy dziecka. Każde dziecko ma swój ogródek który jest wiernem odzwierciedleniem tej duszy. I każdemu, dziecku wolno siać i sadzić, co samo zechce. Jedno pielęgnuje róże dla ich zapachu, drugie sadzi jarzyny dla ich pożytku, trzecie znów hoduje bratki dla ich piękności. Jeden ogród pełny jest truskawek, przeznaczonych do smażenia; inny znów zakwita lawendą, którą później wysuszoną, ułoży się między bielizną i suknie, by im nadać przyjemny zapach. Jeden znów ogród cały jest zielony: tu hoduje się mchy i wszelkiego rodzaju trawy. Inny wreszcie wygląda, jak wzorzysty dywan: pełno tu staromodnych kwiatów, przeniesionych z ogrodu ukochanej babci.

...Gdy rosa opadać zaczyna, przychodzą dzieci parami lub we trójkę i przynoszą dwie szyby, które osłonić mają delikatne roślinki przed chłodem nocy. I często już ze świtem przychodzą znowu, aby zobaczyć, co też przez noc urosło i rozwinęło się.

Ktokolwiek przyjdzie z nizin, spoglądnie w górę ku radosnej szkole i zobaczy, jak te dzieci krzątają się ruchliwie w swych ogródkach, ten pomyśli, że to są duże, krasą barw błyszczące kwiaty, wiatrem gór kołysane...

...To wszystko widzi Ludwika w swoich marzeniach.

Jest noc letnia. Lśni biały śnieg na dalekich wierzchołkach gór. Lasy oddychają spokojnie, drzewa toną w marzeniach. Ptaki milczą. A oto ze szkoły wychodzi gromadka starszych dzieci; szeroko otwartymi oczyma spoglądają na tę cudną baśń nocy. Kroczą cicho, cichutko, aby nie budzić śpiącej przyrody. W milczeniu wznoszą wzrok ku gwiazdom — każde ma tam swojego przyjaciela, swój obraz ulubiony. Niebo jest jako mapa, znają je tak samo, jak okolicę, po której kroczą. Wszak niejedną noc spędzili w obserwatorium szkoły przy teleskopach, ściągnęli do siebie niebo, jak ściąga się chorągiew z drzewca. Oszołomieni radością, widzieli, jak krążą

gwiazdy i jak się księżyc zaokrąglił niby kula, czuli niejako w dłoniach jego krągłość. Raz nawet śledzili przez teleskop niespokojną, zygzakowatą wędrówkę komety.

Teraz błyszczą gwiazdy, jak maleńkie, białe kwiecie, a chmury kołyszą się niby korony drzew w lesie wśród nocy. Na każdy odgłos zatrzymują się i nasłuchują. Nie z obawy, ale przez cześć. Ich ucho wrażliwe jest na harmonię wiatru i łagodny pogwar strumyka. Ptak poruszył się w gniazdku. W trawie uganiają owady, które noc w dzień zamieniają. W promieniach księżyca pająki rozsnuwają ruszałczane swoje przędziwo.

Jeszcze trwa lato. Wnet nadejdzie jesień i ptaki odlecą na południe. Dzieci wiedzą o tem; pamiętają, jak było w zeszłym roku, kiedy w noc taką, jak dzisiejsza, stały na polanie wśród gór i widziały, jak wysoko, na niebie, tysiące ptactwa wędrowało w dal. Gdzieś wysoko unosiły się dźwięki, jakby gwiazdy zamieniły się w małe dzwonki, które nagle zaczęły dzwonić.

Ale jeszcze jest lato i ptaki śpią. Dzieci zbliżają się do lasu; owionęło je tutaj upajające ciepło i głęboki mrok wśród sosen. Jakże pachną rozkosznie! Pod stopami czują śliską warstwę igliwia — ich podeszwy wygładzają się na niem i polerują jak drzewo, które za dnia heblują w warsztacie stolarskim. Przechodzą obok mrowiska, a oto patrzcie! — te zwierzątka pracują także w nocy. Tam ruch panuje nieustanny, jak w fabrykach wielkomiejskich. I dzieci zapytują zdziwione: czy też te mrówki, które pracują w nocy, otrzymują taką samą zapłatę, jak te, które czynne są w dzień? Dzieci wiedzą dużo o mrówkach, a jeszcze więcej o pszczołach. Niedawno czytały książkę Maeterlinka o pszczołach, a do porównań służyły im ule, założone przy szkole.

Dla nich każda mrówka i każda pszczoła jest nie tylko żyjącem stworzeniem, ale także myślącą i czującą jednostką w gromadzie. Świat stał się dla nich większy i bogatszy.

Mają przyjaciół nie tylko wśród ludzi i zwierząt, ale także między owadami, wśród kwiatów i gwiazd.

Długo chodziły milcząc; w tem ktoś zaintonował pieśń. Śpiewając, kroczą dalej wśród nocy. Księżyc, który tak wysoko szybował po lazurze nieba, dawno już zniknął; z nabożnem drżeniem śledziły, jak zanurzył się tam poza sosnami i noc stała się ciemna. O, tak, bliską już jest jesień. Liście zaczynają opadać z drzew, nie masami, ale pojedynczo; opadają powoli, ostrożnie; jakby spuszczały się na linach, by się nie otłukły. Za dnia lasy na zboczach górskich tworzą pejzaż dziwnie kolorowy; takie obrazki malują dzieci, kiedy ilustrują przeczytaną lub zasłyszaną bajkę — tyle tam świecącej purpury, złota i zieleni. Teraz barwy pogasły, ale liście opadają dalej i wirują w powietrzu miękko, kapryśnie, niby motyle, za dnia.

Dzieci zatrzymały się. Zgarnęły chróst i liście i roznieciły ognisko. A podczas odpoczynku amerykański chłopak opowiada o strasznych pożarach lasów, które rok rocznie dumną jego nawiedzają ojczyznę. I prawi o tem, jak już rozpoczęto budować stacye alarmowe, aby móżdż w czas się przygotować do zwalczania ognia, jeśli się ukaże. Opowiada też o pewnym gatunku chrapaszcza, który nieszczęśliwym trafem dostał się do Stanów Zjednoczonych, a teraz najpiękniejsze podgryza lasy, niszcząc i dziurawiąc korę drzew tak, że pień traci odporność. Opisuje, jak to tajfuny wyrwają drzewa tysiącami, a liczne strumienie i rzeki podmywają ziemię i wyrwywają drzewa z korzeniami, tak, że na wzgórzach leśnych wzdłuż dolin tworzą się straszliwe wyrwy, wśród których leżą okaleczone drzewa i gniją.

Rosyjski chłopak opowiada śpiewnym głosem o dzikich lasach w posiadłości ojcowskiej, gdzie niedźwiedzie i wilki chodzą jak te owce tu w dolinie. Mówi im o bagnach, z których rozchodzi się taka woń przykra, ciężka i szkodliwa, że trudno wytrzymać, a w których odkryto tereny naftowe. Opo-

wiada też o wierceniach, które trwają nieraz całe lata, zanim okaże się oczekiwany z napięciem rezultat.

Chłopak z Finlandyi mówi przyciszonym głosem:

— Nasze drzewa są przedziwnie zielone. Tyle u nas gwiazd i bardzo wiele jezior.

I nagle cała ta gromadka dzieci zaintonowała piękny, narodowy hymn fiński. Dziecko fińskie ukryło twarz w dłoniach.

A potem dzieci wędrują dalej, aż stanęły na górze, skąd powitały wschodzące słońce.

Potem na wyścigi zbiegają znów na dół, do swojej szkoły, która o każdej godzinie dnia i nocy miłośnie rozwarła ma ramiona. Oczekuje je tam zdrowy, obfity posiłek, owoce, które sami wyhodowali, jaja z własnego kurnika, mleko od tych krówek, przewieszonymi przez szyję dzwonekami, z których każdą znają po imieniu. Potem odpoczywają chwilę, biorą kąpiel i prędko idą do łóżka. A nawiedzają ich szczególne sny, kiedy tak śpią zdrowi i weseli, podczas kiedy słońce zagląda przez wszystkie okna...

To wszystko widzi Ludwika, gdy na miękkich skrzydłach snu unosi się w krainę marzeń. Przesuwają się przed oczyma jej duszy te precudne obrazy, jeden za drugim...

— — — — —
Jest to pora żniw. Rolnik spogląda ku niebu i prosi Boga o pogodę. Ze szkoły wybiega gromadka wesółych młodzieniaszków. Gdzież to spieszą, śpiewając? Schodzą w dolinę do rolnika. Czegoż tam chcą? Pomagać przy żniwach. Czy potrafią? Czy wiedzą, jak się obchodzić z sierpem i kosą? Potrafią coś jeszcze więcej. Znają te wszystkie maszyny, do których chłop jeszcze ciągle odnosi się tak nieufnie. Chłopcy idą w pole, żeby pomódz. A przytem widzą, ile to sił, ile rożumu potrzeba, by ziemia coś zrodziła. Nie boją się wysiłku, ich muskuły są w porządku; mają zdrowe żołądki, mogą wszystko jeść. Już teraz są opaleni, a kiedy po ukończeniu żniw i odprawionych dożynek wrócą do szkoły, skóra ich

lśnić się będzie, jak jasny bronz. Za powrotem wita się ich, niby bohaterów starożytnych, wracających do domu z bogatymi łupami. A w długie, jesienne wieczory, przy ognisku siedząc, opowiadają, co słyszeli u chłopów i czego się tam od nich nauczyli. Znowu baśnie, podania i pieśni tego ludu, znają także i jego tańce.

Ludwika uśmiecha się we śnie i marzy dalej; oto śni jej się, że jakiś ciekawski ciągnie ją za rękaw i pyta: „Za pozwoleniem!... A czegoż to jeszcze uczą się dzieci w tej szkole, prócz tego, że po nocy wędrują po lasach i polach, a za dnia pomagają chłopu na roli?”

— Tylko cierpliwości — odpowiada Ludwika. — W dniu kiedy szkoła otworzy swe podwoje, możesz i ty przyjść i rozglądać się tutaj. A jeśli nie masz cierpliwości czekać, więc słuchaj, opowiem. Mam czas. We śnie, jedna minuta, jest jako wiek cały, a jeszcze daleko do rana.

A więc zaczynam od początku.

Każdemu dziecku, począwszy od tych najmniejszych aż do „całkiem” już dużych, wręczy się przy wstąpieniu ich do szkoły pewną liczbę ramek do obrazków, które tak są skonstruowane, że je można łatwo otworzyć i zamknąć. Ramki są próżne. I oto idą dzieci do biblioteki, która mieści się w szkole, tam — miejmy nadzieję — znajdą się tysiące reprodukcji znakomitych malarzy i rzeźbiarzy wszystkich epok, oraz obrazy budowli z rozmaitych okresów i stylów. Obrazki sławnych parków, pięknych okolic, wodospadów, dzikich zwierząt, widoki z pustyni i okolic podzwrotnikowych, jak również podbiegunowych. Dzieci mają same wybierać, co im się podoba. Z początku wybierają na ślepo i bez planu. Stawiają obok Rembrandta i lwa z zoologicznego ogrodu. Ale to nic; każdy obraz staje się źródłem pouczenia i radości właśnie dlatego, że sami je sobie wybrali. Dzieci odwiedzają się wzajem i tłumaczą treść obrazków, rozwieszonych na ścianie. A potem następują godziny historii sztuki. Podczas

tego, jak słyszą o Giottem, mają przed oczyma jego naiwne, wzruszające obrazy; co więcej, mogą wypełnić ściany obrazami z okolic włoskich, gdzie właśnie Giotto żył i tworzył. I tak otoczy je właściwa atmosfera. A gdy słyszą o malarzu z epoki rokoka, wówczas na ścianach tańczą owe piękne figurki dworskich panów i dam z owych czasów. Oglądają wnętrza ówczesnych salonów, pełnych barokowych mebli i cacek.

A kiedy na godzinach historii sztuki objawi się dzieciom ów olbrzym Michał Anioł, wówczas oglądać będą rozwieszone po ścianach obrazy, przedstawiające pałace Medycuszów, kościół św. Piotra, pojedyncze figury ze *Sądu Ostatecznego* i stropu Sykstyńskiego.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Biblioteka szkolna zawiera także obrazy ze sztuki stosowanej i artystycznego rzemiosła, a podczas tego, kiedy dzieci pracują w warsztatach i przygotowują się do złożenia egzaminu na czeladników, mają rozwieszone na ścianach swojego pokoju ilustracje najpiękniejszych mebli, o nieskazitelnie szlachetnej linii, oraz reprodukcje wyrobów ozdobnych wszystkich epok. Dziecko, które nade wszystko umiłowało ogrodnictwo, musi mieć całe tuziny obrazów, przedstawiających sławne urządzenia parkowe. Młoda dziewczyna, która uczy się krawiectwa i seryo temu zawodowi chce się poświęcić, ma na ścianach swojego pokoju rozwieszone reprodukcje z modelami w stylu empire, oraz różnych modeli z pierwszorzędnymi pracowni francuskich.

Skoro nauczyciele ujrzą w ten sposób udekorowane ściany w pokojach dzieci, łatwiej im będzie poznać ich charakter, ich gusta i upodobania, jak one w miarę czasu się rozwijały i uszlachetniały. I nie zawsze będzie to dobrym znakiem, jeśli dziecko wybierze wyłącznie najbardziej znane dzieła sławnych artystów.

Nauka historii sztuki, nie będzie odgrywać tu roli pierwszorzędnej na to, by stosunkowo znaczną ilość dzieci skie-

rować potem ku tej specjalnie dziedzinie wiedzy, ale dlatego, że sztuka czyni ludziom życie bez porównania bogatsze i piękniejsze. Bo wreszcie sztuka jest jednym z istotniejszych ogniw w łańcuchu wiedzy, a mówi o pięknie w przyrodzie i o dziełach ludzkiego ducha.

Biblioteka zawierać też będzie portrety i alegorye sławnych ludzi. A dzieci, które słyszeć będą o Edisonie, Goethe'm, Platonie lub Maryi Stuart, zbliżą się bardziej do tych postaci, skoro zobaczą ich portrety na ścianie.

Radosna szkoła zamierza uczynić próbę — o ile wiem — zupełnie nową, a mianowicie: tak chce ułożyć plan nauki, żeby dziecko nie błądziło i nie gubiło się równocześnie w labiryncie rozmaitych epok, lecz ucząc się o jednej z nich, poznało ją dokładnie i wszechstronnie. I tak: jeśli w historii sztuki omawia się epokę renesansu, to historia powszechna musi się zająć tą samą epoką i do tego również zastosuje się literatura tych języków, których się właśnie dzieci uczą. Więc w jednym półroczu oddychać się będzie wyłącznie np. klasyczną atmosferą, w następnych zaś nowoczesną. Nierozdzielnie połączy się tedy w umyśle dziecka duch epoki z politycznym i artystycznymi jej dziejami, a chociaż pamięć szczegółowych dat historycznych nie będzie tu odgrywała tak ważnej w nauce roli, to przecież, dzięki tej metodzie, większe omyłki będą tutaj wykluczone. Przed wyobraźnią dziecka, nawet mniej uzdolnionego, zarysuje się wtedy świat jako karta geograficzna o wyraźnie nakreślonych granicach, na której z łatwością odnajdzie sztukę, kulturę, historię, religię, literaturę. Rozwój poszczególnych krajów nie będzie tutaj traktowany w odosobnieniu. Że taka reforma planów nauki kosztować będzie niewiele wysiłku mózgowego, to więcej niż pewne, lecz rezultaty będą bardzo znaczne i trud ten sowicie się opłaci.

Ludwika mówi z zapałem. Ciekawski słucha i potakuje z zadowoleniem. Potem zapytuje:

— Jakie dzieci uczęszczać będą do tej szkoły? Czy jes

zamiarem waszem zabierać dzieci z ciepłego gniazda rodzicielskiego i wychować je sposobem koszarowym, jakby sieroty po zakładach?

Ludwika zaprzecza energicznym ruchem głowy.

— Nic nie jest w stanie zastąpić dobrego domu rodzicielskiego. Lecz proszę uważać, mówię: *dobrego!* Nie, nie jest to naszym zamiarem dziecku cokolwiek zabierać. Tacy rodzice, którzy umieją wychować swoje dzieci i mogą dać im to wszystko, co dziecko potrzebuje: miłość, podporę, starania, dobry przykład, powinni, jak długo się tylko da, zachować je pod swoją opieką w domu. Lecz mamy wiele takich rodziców, którzy nie mogą temu podołać, chociaż dzieci swoje szczerze kochają. Dla tych powstała ta szkoła radości.

Z całego świata przysyłać będą dzieci do tej szkoły. Szkoła stanie się coprawda kosmopolityczną, jak owe pierwszorzędne hotele po dużych miastach, oznaczone gwiazdką w przewodniku; ale absolutnie nie będzie miała cechy gorączkowego, niestałego życia hotelowego.

Zapytujesz pan, jakie dzieci gromadzić się będzie w tej górskiej szkole? Głównie takie, których rodzice są z zawodu uczonymi albo artystami i wychowaniem dzieci zająć się nie mogą. Potem dzieci oficerów i urzędników, z okolic pozbawionych dobrych szkół, albo gdzie klimat byłby dla dzieci szkodliwy. Dzieci, których rodzice zmieniają często miejsce pobytu, a wreszcie dzieci tych, małżeństw, które żyją w niezgodzie lub się rozeszły.

Nie zważa się tu na narodowość dzieci. — Skoro raz zostały przyjęte do szkoły radości, to temsamem adoptowała je sama radość i w nią przyswoją sobie uniwersalny język radości.

Lecz ta kosmopolityczna cecha tej szkoły ma swoje szczególne znaczenie, zarówno dla dzieci krajowych, jakoteż i obcych. Dzieci, które na życzenie swoich rodziców, lub ze względu na dalsze studia, uczą się i tutaj martwych języków,

zatkną się przecież równocześnie z takim mnóstwem nowożytnych języków, że tego żaden plan nauki objąćby nie mógł. Oryginalną metodą unika się przytem bezmyślnego paplania równocześnie we wszystkich językach, które sobie z łatwością, bawiąc się, przyswajają.

Przypuśćmy, że zameldowano przyjęcie trojga dzieci z Rosyi w rozmaitym wieku. W klasach, do których mają być włączone, zapytuje się, które z dzieci miałyby ochotę uczyć się rosyjskiego języka, a wtedy obce te dzieci oddaje się tym, które się zgłosiły. Wszelkie zabawy, prace, wycieczki odbywają owe rosyjskie dzieci razem z temi, które chcą się nauczyć po rosyjsku. Rezultatem tego jest wzajemna wymiana.

Dzieci w ogóle przyswajają sobie obce języki z niezmierną łatwością, zwłaszcza od rówieśników. A tym dzieciom pomocną jeszcze będzie także „wesoła gramatyka“, tak, że nauczą się każdego języka szybko i gruntownie. Rosyjskie dzieci otrzymają w zamian za każde słowo rosyjskie, wyraz francuski lub niemiecki. Lecz nie tylko słowa będą zamieniane, nie tylko poznają budowę obcych języków, ale także przyswoją sobie ich rytmikę i akcent. Dzieci świeżo przybyłe, właśnie dlatego, że są dziećmi i dusze ich przepojone są światem baśni czarodziejskich, używać będą tych zwrotów językowych, które należą do dzieci i ludzi naiwnych, a tak pełnych przenośni i obrazów, i stanowiących dlatego podstawę każdej dobrej literatury. Nauka zyskuje przez to najwyższą wartość artystyczną. Rosyjskie dzieci śpiewać będą swoje pieśni ludowe, jak je znają od swoich nianiek, a które lud śpiewa tam nad wielkimi rzekami i na stepach. W zamian usłyszą od dzieci niemieckich balladę o tragicznym nastroju.

Albo przypuśćmy, że szkoła otrzymuje dzieci ze Skandynawii, z ojczyzny Björnsona, Ibsena, Selmy Lagerlöf, Ellen Key, Andersena lub Torwaldsena. Powtórzy się w tym wypadku ten sam proceder: Nowoprzybyłych „adoptują“ poprzedni uczniowie i następuje zamiana.

Zmuszać się nikogo nie będzie do nauki obcych języków nowożytnych. To wszystko pozostawi się własnej dobrej woli ucznia.

Możliwe, że te dzieci, dorósłszy, pójdą kiedyś w świat daleki, zostaną kupcami czy rzemieślnikami, uczonymi czy dyplomatai, lub artystami, — w każdym razie znajomość nowożytnych języków i kultury obcych krajów, z którą zaznałomity się w taki łatwy i przyjemny sposób, przyda im się niepomniernie.

I tak, jak od najwcześniejszej młodości przyzwyczajono te dzieci rozumieć różnicę temperamentów, i indywidualności, potrafią też pojąć różnice rasowe, dzięki tak bliskiemu obcowaniu z towarzyszami, należącymi do rozmaitych narodowości. Nie tracąc wiary w ludzi, dojdą do praktycznej wiedzy życiowej i znajomości ludzi, co zazwyczaj połączone to bywa z rozczarowaniem, jeśli w ogóle dochodzi się kiedy do tego.

Spostrzegą różnice, wynajdą wspólne cechy wszystkich ludzi. Wnet zrozumieją, że jak na całym świecie istnieją pewne pojęcia moralne wszystkim wspólne, tak znów bywają i takie, które są sobie dyametralnie przeciwne.

Głównie chodzi tu o to, aby dzieci uzdolnić do wszechstronnego rozpatrywania życia, bez wszelkich uprzedzeń, roz wagą i bez lekceważenia.

Wiele dzieci, których rodzice prowadzą życie koczownicze, wychowuje się już to w tym, już to w innym kraju. To prawda, że uczą się obchodzić z ludźmi, stają się praktyczne życiowo, umieją sobie prędko radzić w każdej potrzebie, przyswajają sobie z wielką łatwością rozmaite obce języki — ale tracą przytem coś, co jest nieocenione: stają się nomadami pozbawionymi uczucia, że ziemia, po której stąpają, do nich należy. Stają się istotami „bez ojczyzny“. — Radosna szkoła chce temu przeciwdziałać. Dzieci żyją tam, mówiąc obrazowo, pod własną flagą. Szkoła jest ich domem rodzinnym. Mają wszystkie prawa dziecka, a ziemia ojczysta po-

zostaje ich własnością. Szanuje się ich ojczyznę; ich zwyczaje i obyczaje koledzy traktują ze czcią; nie tracą mowy ojczystej, poznając wiele obcych języków, podczas gdy inne dzieci przyswajają sobie ich mowę ojczystą. Szkoła wznosi się w górach, powiewa nad nią chorągiew radości, nie należy wyłącznie do jednej narodowości, jest ojczyzną wszystkich.

— — — — —
Cień, który towarzyszy sennym widziadłom Ludwika, i zadaje jej rozmaite pytania, jakby ją wciągnąć chciał w pułapkę, powiada teraz:

— To wszystko brzmi wcale pięknie. Lecz przychodzi mi na myśl, że z takiej szkoły korzystać tylko będą mogły dzieci uprzywilejowanych klas społecznych, że w ten sposób właśnie tutaj grozi dzieciom pewna ekskluzywność — co jest początkiem do nienawiści klasowej.

Ludwika przeciera oczy; męczy ją dyskusja z tym niedowiarkiem. Przyzwyczajona jednakże mówić wobec ślepych i głuchych, tłumaczy dalej:

— Ta szkoła daleką jest od tego, aby pielegnować nienawiści klasowe. Przeciwnie, będzie tak urządzoną, że na jednego zamożnego ucznia przypadnie drugi, biedny; a tych nie będzie się ściągało z *pauvres honteux*, lecz bezpośrednio wybierze się wśród ludu. Syn kwiecia i drobnego rzemieślnika żyć będzie w tej szkole wśród tych samych warunków, co i syn generała lub ambasadora, czy księcia. Dzieci są z natury demokratycznie usposobione, o ile się ich nie wychowuje na snobów. Dziecko biedaków odczyty się tutaj zazdrościć bogatemu dziecku, a dziecko z wytwornego środowiska zrozumie wkrótce, że nie ma powodu wynosić się ponad chłopskiego syna dlatego, że ten nie ma eleganckich manier. Nie przyjdzie tu jednak do zdemokratyzowania w tym znaczeniu, aby nie przywiązywano wagi do rzeczy zewnętrznych. Owszem. Wy szukana wytworność w obęjsiu i w obcowaniu stanie się tutaj czemś, co rozumie się samo przez się. Tak na przykład

manieri przy jedzeniu. Każde dziecko przynosi ze sobą z domu pewne nawyczki lub pewne sposoby zachowania, jakiego się tam nauczyło. Jedno siedzi przy stole sztywnie, z rękami ułożonemi jak maryonетка, drugie pakuje znów nóż do ust lub napycha usta tak, że o mało się nie udławi. Powoli a stale uczą się dzieci, jak się mają zachować przy stole i rozwijają w sobie zasady niewymuszonej elegancji przy każdej okazji. Dochodzą też do zrozumienia, że przesada i sztuczna elegancja jest tak samo szpetna, jak jej zupełny brak. Mylne jest także przekonanie, że dzieci t. zw. dobrego domu mają dobre manieri. Na sto dzieci znajdzie się zaledwie dziesięć takich, które naprawdę wiedzą, jak zachować się trzeba podczas jedzenia. A jak wiele znaczą dla przyszłości dziecka piękne ruchy i wytrawne formy towarzyskie, rozwozić się chyba nad tem nie trzeba.

Stół zawsze będzie uroczyście nakryty, a każdy szczegół nakrycia będzie estetyczny, aby wywołać nastrój uroczysty i rozwijać w dziecku poczucie piękna. Przyuczy się też dzieci, jak ozdobić można stoły kwiatami i gałązkami jedliny, wrzosu czy kaliny, stosownie do rozmaitych pór roku. Drobnostką nauczą się wywoływać efekt piękny i przekonują się, że ten nie zawsze zależy od drogich, kupnych przedmiotów, ale że wystarczy poczucie ładu i piękna. Czy zamieszkają w pałacu czy w chacie, wszędzie potrafią stworzyć własny swój raj.

— — — — —
W całym świecie, po przez długie wieki, istniała głęboka przepaść między pracą fizyczną a umysłową. Gdy z czasem wiedza stała się dostępna dla wszystkich stanów, odczuwało się tę różnicę w przykrzejszy jeszcze sposób, a następstwem tego jest, że każdy chłop, czy najbiedniejszy nawet tragarz, marzył w pewnych chwilach o tem, aby syn jego został profesorem lub księdzem. Tak powstał proletaryat inteligencji. Ojciec życzył sobie, aby syn kończył nauki, nie zastanawiając się nad tem, czy ten ma odpowiednie zdolności i ochotę do

studyów. Bezsensownymi ofiarami ze strony rodziców, rozpaczliwymi wysiłkami syna osiągnęło się wreszcie maturę, a potem zostawia się młodzieńca własnemu losowi.

Któż nie zna owych lekarzy, pastorów, nauczycieli, którzy całe życie nie mogli się wyzbyć kłopotów o chleb codzienny? Ludzi, którzy strawili najpiękniejsze lata na zdobywaniu w społeczeństwie miejsca, które się im nie należało i na którym się utrzymać nie mogli.

Wszyscy ci nieszczęśliwi lekarze, niezdolni wzbudzić zaufania, pastrowie, nie umiejący kazania wygłosić należycie, adwokaci bez klientów, uczeni, którzy w swoim zawodzie uchodzą za fuszery — oni doprawdy nie sami są winni swej niedoli; są ofiarami snobizmu swoich rodziców i społeczeństwa.

W miarę, jak rósł przyływ do uniwersytetów, nastąpiło znaczne zmniejszenie się frekwencji w przemysłowych zakładach naukowych.

A jednak nie da się zaprzeczyć, że im wyższą jest kultura jakiegoś kraju, tem większą rolę odgrywa dobry rzemieślnik. Jest on bratem artysty. Razem stwarzają piękne mieszkanie, bo nie jest ono wyłącznem dziełem ani jednego, ani drugiego, lecz obydwu w nierozdzielnej jedności.

Dom rodzinny jest kamieniem węgielnym społeczeństwa i żaden wysiłek nie będzie zbyt wielki, aby tworzyć piękne wnętrza ludzkiego mieszkania.

Dziecko z urodzenia nie jest wprawdzie obdarzone dobrym gustem, co najwyżej możnaby to przyjąć tam, gdzie smak estetyczny był niejako kultywowany w całym szeregu generacji. Ale dziecko ma naturalny, prymitywny, a jednak niezwodniczy i niezaprzeczalny pociąg do wszystkiego, co piękne. Łatwo się o tem przekonać. Urządzenia mieszkań z ósmego dziesiątka lat ubiegłego wieku są brzydkie, pospolite; podobnie przedstawiają się budowle i stroje z tego czasu. Dzieci, które wyszły z takiego nawskróś nieestetycznego oto-

czenia, nie uświadomiły sobie wprawdzie w wieku dziecięcym, co im się nie podobało w ich domu rodzicielskim, ale miały to wyraźne uczucie, że oczy ich wypoczywały, a dusza czuła jakieś dziwne ukojenie, ilekroć przybywały w odwiedzinach do staromodnego domu. Już we własnym domu mieszkając, z rzewnem roztkliwieniem przypominają sobie jakiś szczegół urządzenia z owych dobrych, starych czasów.

To jest instynktowny pociąg dziecka do piękna, jego skłonność ku niemu przez pół erotyczna. Urządzenie mieszkania może się składać z samych bardzo drogiej przedmiotów i nie grzeszyć nawet jako całość przeciw przyjętym pojęciom dobrego smaku — a jednak nie robi miłego wrażenia na tym, kto kocha piękno. Przeciwnie zaś, chata wiejska wydać się może jako ukończone dzieło sztuki, jeśli każdy tutaj przedmiot nosi na sobie piętno osobiste jego mieszkańców lub twórcy i tej radości, jaką ten czuł, tworząc to wnętrze skromne. Weź do ręki łyżkę laną i weź łyżkę wykutą w srebrze, weź dywan roboty maszynowej i dywan tkany ręcznie; porównaj szafę rzeźbioną przez stolarza-artystę i szafę sporządzoną fabrycznie — a zobaczysz różnice. Jeden przedmiot żyje, drugi jest martwy, nie ma duszy.

Gdy rękodzieło odzyska swoje miejsce honorowe, wnętrza naszych mieszkań staną się napowrót punktem zbornym ludzi; kawiarnie i restauracje stracą swoją moc przyciągania. Ludzie usilnych dokładać będą starań, żeby mieszkanie swoje urządzić tak mile, aby to było najprzyjemniejsze miejsce, gdzie najchętniej się przebywa.

Szkoła w górach postawiła to sobie jako jedno ze swoich zadań, aby każdy chłopiec, który w 18. roku życia składa egzamin dojrzałości, poddał się także egzaminowi z rzemiosła, w którym kształcił się równocześnie.

W jaki sposób to się da osiągnąć — to jest rzeczą szkoły.

Kto zna wspaniale skonstruowany umysł i podatne pa-

luszki dziecka, wie także o tem, ile marnuje się czasu, ochoły i sił przez nieumiejętne wychowanie, i co mogłoby dziecko, nie męcząc się wcale, zdziałać pod dobrem kierownictwem. Tak jest; praca rąk i mózgu cudownie się z sobą godzą. Owszem! Niechby taki młodzieniec, zanim rozpocznie studia uniwersyteckie, spróbował wykształcić się w jakim rzemiośle i, wędrując na wzór średniowiecznych rzemieślników-artystów, poznał świat i z tej strony także.

Na kursach rzemiosł uczyć będą majstrowie, którzy dają pewne gwarancje, że są dzielni w swoim fachu. Będą mieszkali w szkole ze swojemi rodzinami. Tak samo ogrodnik, który będzie miał główny nadzór nad zakładami ogrodniczymi i kształcić będzie w swej sztuce młodych naszych adeptów. W ten sposób powstanie mała kolonia. I tak, jak za dawnych czasów, dookoła potężnego zamku tuliły się, niby gniazda jaskółcze, małe domostwa rzemieślników, tak wszystkie te rodziny, ze szkołą związane, mieszkać będą na terytorium szkoły. Oczywiście, nie wyłączając grona nauczycielskiego, muzyków i mistrzów sportu. Utworzy się małe miasto, którego obywatele będą wszyscy przyjaciółmi.

Gdy uczniowie i uczennice urządzają w lesie przedstawienie teatralne, widzami będą rzemieślnicy z ich żonami i dziećmi. Zajmą miejsca na stokach wzgórza. Jeśli znów przedstawienie rozegra się na otwartym dziedzińcu, między zamykającemi go skrzydłami budynku, usiądą na kamiennych ławach, które biegną wzdłuż ścian, a tyle pomieszczą widzów, co modny teatr w mieście.

Przez naukę rzemiosła rozbudzi się w uczniach respekt dla pracy rąk i dla robotnika. Przytem wyostrzy się w uczniu zręczność i spryt, potrzebne, aby praca jego nie była martwem tylko naśladownictwem.

— — — — —
Zmienia się obraz.

Ludwika widzi, jak schodzą się zwierzęta małe i duże,

bo oto zbliża się pora, gdy im się wydziela pożywienie. Przodem kroczą poważnie krowy, obwieszane dzwonekami. Potem owce z jagniętami i osioł, który tutaj jest taki posłuszny, bo czuje, że jest wśród przyjaciół. I stary koń, który już nie pracuje, odkąd padł przed przeładowanym wozem, a dzieci ocaliły go, gdy chciano go dobić. Koń ledwo że łązi, ale nigdy nie zaznał lepszych czasów, jak obecnie przeżywa. Każdemu dziecku wydaje się, że ten koń, to jakiś staruszczyk, który całe życie napracował się dla swoich ukochanych, a teraz doznaje tylko szczęścia i podzięk.

Kurczęta mają imiona, zebrane z ludowych opowiadań Björnsona. A duże psy mają nazwiska dumnych ludzi.

Lecz żadne ze zwierząt nie jest tutaj tak pieszczone, jak... bielutka świnka z prosiętami. Dlaczego? Oto dzieci przekonały się, że skrzywdzono to zwierzę, uważając je za wyrzutka: karmiono je wyłącznie odpadkami najgorszymi, odmawiając mu nawet czystej wody do picia. I świnka pozostała w tem poniżeniu... swinią. Więc tutaj świnka jest czyściutka i kwiczy dumnie na swych nogach tłustych, a prosięta biegają wesoło i zabawnie. Na grubej szyi starej świni widać nawet wieniec.

Gołębie unoszą się ponad szkołą, jak dwie płaty śniegu; to przysiadzie się ich gromadka u gzymsów okien i przez otwarte okna przyglądają się, jak tam w klasie odbywa się nauka, to znów gromadzą się na placu gimnastycznym przed szkołą, gdzie często są widzami tańców Dalcroze'a i ćwiczeń sportowych lub fechtunkowych między uczniami i uczennicami.

Kruk, którego dzieci znalazły z nadłamanemi skrzydłami i opatrzyły, jest teraz przyjacielem domu; czuje się on tutaj tak dobrze, że zapomina zupełnie o swoim gnieździe na wierzchołku sosny. Lecz nikt mu tutaj nie przyciął skrzydeł i od czasu kruk odlatuje poza góry i lasy. Przed nocą jednak znowu jest z powrotem i jada z rąk dzieci.

Dzieci sprawują same pieczę nad dużym kurnikiem i baczają uważnie, by się nie wśliznęła gdzie kuna-niecznota i drobiu

nie dusiła. Zbierają jaja i prowadzą na to zapiski. Uważają też, ile kury zjadają ziarna; interesują się cenami jaj na targach.

Właśnie zbliża się pauza, wśród której dzieci spożywają śniadanie. Na pełny, czysty odgłos dzwonka zbiegają się dzieci na dziedzińcu, jak gołębie weneckie na placu św. Marka. Ze szkoły wychodzą chłopcy i dziewczęta, niosąc na głowie koszyki, przybrane kwiatami. Z koszyków tych chłopcy rozdzielają chleb, dziewczęta owoce. Stoją dookoła tego żywego źródła, jak młode niewiasty w starożytności, przy studni. I niby kaskada wód, wznosi się i opada srebrzysty śmiech rozbawionych dzieci.

Śnieg sypał przez dwa dni bez ustanku. Tam, w górach, przycichło. A tu, w dziedzińcu, zielone gałęzie jedliny nakryły się białym puchem i pochyliły się pod ciężarem śniegu.. Powstał pałac śnieżny, nikt nie wie, jak i kiedy. I oto stoi spokojny, wytworny, w pośrodku dziedzińca, a prowadzi doń wysoki portal i otwartą widać halę. Na tronie, w pośrodku, siedzi król Śnieżek ze swymi młodeimi córkami. Na głowie mają korony ze złożonego papieru.

Ach! Jakże radują się dzieci! To dzieło Alfa i Aaga, chłopcy z dalekiej północy — oni umieją lepić ludzi i zwierzęta z gliny, plasteliny, ciasta lub ze śniegu. Ale na płaskim dachu budynku szkolnego śnieg leży grubą warstwą i, jak pieczywa, nakrył go zupełnie. Dzisiaj zgarnie się go i właśnie przybywają z łopatami i miotłami ci, co mają się zabrać do tej roboty. Czekają ich za to wynagrodzenie w formie racji pieczonych jabłek. Kto piecze jabłka? Naturalnie Irma — „młoda narzeczona“, w której wszyscy chłopcy kochają się potajemnie, a jawnie składają jej hołdy.

Irma jest zaręczoną. Od pięciu miesięcy przebywa w tym zakładzie naukowym dla wyuczenia się gospodarstwa domo-

wego. Pochodzi z wytwornej, bogatej rodziny, a wychodzi za męża za profesora tej szkoły. Pragnie urządzić przyszłe ognisko domowe tak, by w niem zagościła radość i szczęście zupełnie tak, jak jest tutaj, w tej szkole. Wszystkiego chciałaby się nauczyć. A tymczasem bardzo szczęśliwe ma narzeczeństwo. Jej pokój w szkole wygląda teraz, zimową porą, niby kwitnący ogród. Każdy chłopiec na jej cześć hodzi w oranżeryi szkolnej ten lub ów kwiat i wszyscy wiedzą o tem, że skoro zapukają, odezwie się z wnętrza wesole: „Proszę!“ Łuna radości spoczywa na jej dwudziestoletnim obliczu i to jej dodaje aureoli, która przejmując dzieci prawie ze świętą czcią.

W piękne, mroźne dni, gdy słońce świeci i przygrzewa, Irma sama rozwiesza na wypiętych sznurach wypraną przez siebie bieliznę, przymocowując klamrami, któremi wywija, jak kastanietami. Dzieci, gdy ją taką widzą, szepczą: „Ona jest zaręczona“. Irma jest także zajęta w kuchni. Żadna robota nie jest zbyt „gruba“ dla jej rąk. A przytem bezustanku coś nuci lub śpiewa. Albo zamiata podłogę, albo gotuje, albo przykrawa i szyje sobie szlafrok w szwalni szkolnej. Albo też nakrywa stoły w obszernej jadalni zakładu i przystraja młodeimi gałązkami jedliny, kalina, to znów śnieżyczkami.

Irma jest młodem szczęściem. Każde z dzieci chce widzieć jej uśmiech, słyszeć jej głos, bo inaczej dzień nie byłby dlań zupełny; cośby im brakowało.

W czerwcu będzie wesele. Oczywiście w szkole. Tutaj się przecie poznali. Narzeczony przygotował już mieszkanie. Uczennice, które umieją tkąć, utkały mu olbrzymi gobelin, do którego dostarczyła rysunku była uczennica zakładu, obecnie zamężna już w Szwecyi. Profesor, „ich profesor“ a narzeczony Irmy, nic o tem nie wie. Ale gdziekolwiek się obróci, otacza go coś dlań tajemniczego. Każde z dzieci w szkole przygotowuje dla niego inną niespodziankę. W stolarni chłopcy rzeźbią szafę biblioteczną. Będzie to arcydzieło w swoim rodzaju.

W introligatorni oprawia się ulubione książki pana profesora w półskórek.

W słusarni kopią znów inni uczniowie okucia renesansowe.

A teraz... największa tajemnica. Dla jej dochowania stawia się profesora formalnie pod dozór, by nie zechciał pójść na przechadzkę na „Wzgórze Irmy“. Bo właśnie urządza się na niem „Pawilon Irmy“. Współdziałają przytem przyszli inżynierowie, architekci, ogrodnicy, zupełnie bez pomocy starszych. Wygląda tam, jak w bajce. Zbudowany jest ten pawilon z jedliny, a ułożony mchem.

Dlaczego stawiają dzieci ten pawilon? Aby młode małżeństwo mogło, gdy zechce, spędzić tam parę godzin w odosobnieniu, zdala od wrzawy w szkole. Tam, na wzgórzu, zawsze będzie spokój niedzielnego popołudnia.

Dzieci kochają swojego profesora i dlatego, że kochają, życzą mu z całej duszy, aby szczęście jego było zupełne...

...Już dawno jest po weselu. Znowu nadeszła zima. Profesor nie uczestniczy w wycieczkach na ski. I nikt nie domaga się od niego, by wziął udział w nocnej wyprawie. Czemu? Dzieci o tem wiedzą, że młoda jego żona spodziewa się maleństwa. I wszystkie cieszą się i wyczekują dnia, kiedy się zjawi. Dzieci nie hałasują i zachowują się bardzo grzecznie, ilekroć zobaczą panią Irnę, żeby nie obudzić dziecka, które tak cicho śpi w łonie matki.

Właśnie zakrzętałi się mali stolarze, by sporządzić z drzewa kołyskę i okryć ją pięknymi malowidłami; słońce, księżyc, gwiazdy, kwiaty i motyle — wszystko to ma się znaleźć na jej ścianach. Dzieci chciały nawet zrobić poduszki, ale im wyperswadowano, że młoda matka sama już to najlepiej zrobi.

— — — — —

A hu! A hu!... A to co? Czy pali się gdzie? Czy to złodziej nadedniem wymyka się ze szkoły i gonią za nim jakiegoś młodzieńcy?

Z budynku szkolnego wybiegł profesor boso, a za nim gromada uczniów, również boso, ugania po rosie.

— — — — —

Liście opadają z drzew... Ze złotych brzoź, z czerwonych jasionów rozwiewają się jakby miliony motyli, które spoczywały i właśnie uleciały, by szukać szczęścia gdzieindziej...

Jakby szemrały gdzieś w pobliżu potoki, tak szeleszczą pod stopami opadłe liście.

Patrzajcie! Oto przychodzi oddział prowiantowy! Niosą worki na plecach. Co w tych workach być może? Ziemniaki. A to po co? Zaraz zobaczymy! Oto w głębi lasu rozgarnia się liście, wykopuje się dół, układa stos z chrustu i rozpala duże ognisko. Ach! Ziemniaki piec się będzie w popiele. A przy drugim ognisku smaży się słoninka w płaskiej rynce. W powietrzu unosi się woń cebuli. Apetyt się zaostrza z każdą chwilą. Dzieci się cieszą na tę ucztę. Do około brzmia pytania, z czym należy jeść pieczone ziemniaki: z solą, z pieprzem, z masłem?

May podnosi dwa paluszki do góry. Jest najmniejsza w tem gronie i dlatego milkną wszyscy, aby mogła powiedzieć, co wie.

— A więc, jakie znasz sposoby, May?

May obejmuje czułym wzrokiem największy z ziemniaków, jaki jej podają. Nie nietylko usta, ale i jej niebieskie, duże oczy, śmieją się wesoło, gdy odpowiada:

— Rączkami i buzią się je!

Wszyscy w śmiech i May dostaje drugiego ziemniaka.

— — — — —

Dzisiaj odchodzi zaprosiny. Co to jest? Zapytaj dzieci. Zamiast odpowiedzi, skaczą z uciechy i radości. Podczas rekreacji dzieci odbywają się zgromadzenia. Każdy tu ma głos:

zarówno starsi, jak i młodszy. Słucha się z taką samą powagą przemówienia siedmioletniego Karolka, jak i siedemnastoletniego Wolfganga.

Oto ma być zaproszony „bohater”. Kto taki? Czy sławny wojownik, który zniszczył i pozbawił życia tylu a tylu ludzi? Albo rozbójnik morski? Otóż właśnie że nie. Przeciwnie: może być wszystkim innem, tylko nie tem. Na przykład: chłopem, królem, lekarzem, pilotem, poetą albo filantropem. Nie musi wcale należeć do żyjących. I może to także być kobieta. I tak zeszłego roku w taki dzień uczciło się starą, zgrzybiałą kobietę, która żyła przed setkami lat, a o której opowiada ustęp w czytance, że chcąc od niechybnej śmierci uratować rybaków, gdy sama, z powodu starości i kalectwa, nie mogła pospieszyć na miejsce, podpaliła swój domek, aby ich ostrzedz i sama zginęła w płomieniach. Mały Harald z Dannie ją zaproponował, a przy głosowaniu otrzymała wymaganą większość dwóch trzecich głosów.

Zazwyczaj jednak zaprasza się żyjących. Skoro godzą się już wszyscy na jednego, wszyscy piszą do niego zaproszenia. Każda klasa wysyła specjalne zaproszenie od każdego dziecka z osobna, zebrane w teczce, jaką dzieci same sporządzają. I czy znalazby się ktoś, coby na takie zaproszenie odtelegraował inaczej, jak: „Zgoda”.

Ten ktoś przyjeżdża. Dzieci sprowadzają go z dworca w pięknie przystrojonym powozie. Powóz przybywa aleją, wystrojoną w chorągwie i bramy tryumfalne. Na dziedzińcu oczekuje gościa gwardya honorowa, złożona z chłopców pięknie przybranych i witają go pieśnią w jego ojczystym języku. Wieczorem urządza się balet na łące, gdzie tańczą dziewczęta w swych różowych, zielonych, błękitnych, żółtych i białych, empirowych sukienkach. Sławny pan może zresztą wszystko to robić, co i dzieci robią. A gdy się np. wzbrania wspiąć na najwyższe drzewo w ogrodzie, dziwią dzieciaki tembardziej, że przecie tyle czytały dziwów o jego niebezpiecznych podró-

zach odkrywczych. Sławny pan musi zjeść z niemi tę całą górę ryżu z rodzynkami, tak dużą, że aż się cofnął przerażony, gdy zobaczył. Niełatwa to sprawa zadowolnić te wszystkie dzieciaki. A przecie, gdy go zapyta najmniejsze i najgłupsze z dzieciaków, czego sobie życzy, odpowiada:

— Znowu mieć lat sześć i módz tutaj z wami pozostać.

— — — — —

Niedziela przed Bożem Narodzeniem. Ze szkoły w górach wyszła gromada ludzi, którą dzieci wyprowadzają aż na gościniec.

Co to znaczy?

Oto służba otrzymała urlop na dzień cały i wszyscy odchodzą do miasta, aby tam poczynić zakupy, przyjrzeć się wystawom sklepowym, odwiedzić przyjaciół i krewnych. A nie tylko służba, ale także wszyscy rzemieślnicy, zajęci w szkole, razem z rodzinami towarzyszą tamtym. Starsi uczniowie, którzy już zdali egzamin szoferski, odwożą ich automobilowymi omnibusami na kolej. Wszystkie terasy na około zapelnione są dziećmi; każde powiewa chusteczką i wołają:

— Do widzenia!

Możnaby myśleć, że tamci wyjeżdżają co najmniej do Ameryki.

A teraz rozpoczyna się gospodarowanie dzieci. Kilka starszych dziewczątek ściela łóżka i sprzęta w sypialni, wyciera podłogi, ściera kurze. Inne dzieci przygotowują pożywienie dla zwierząt domowych, a malcy znów uprosili, że wyczyszczą kurniki i dadzą drobiu jeść. Pozwala się im na to pod warunkiem, że ukąpią się zaraz po skończonej pracy i zmieniają bieliznę.

W kuchni gospodarzą, smażą, gotują, pieką dziewczątka duże, małe i najmniejsze. Każda klasa wysłała tutaj po jednej delegatce. Dwóch chłopców obiera ziemniaki. Odysseusz i Aja współzawodniczą tu.

Odbyło się właśnie posiedzenie komisyjne dla ustalenia

dań do obiadu. To jest tajemnica. Profesorowie i nauczycielki nic o tem nie wiedzą, ani nawet pani Ludwika. Ale wnet już dochodzą z kuchni nęcące zapachy. Wszyscy spodziewają się, że obiad będzie wyborny.

Nakrywają stoły i fantastycznie je przyozdabiają. Co za rozmaitość kwiatów. Pomiędzy kwiatami wiją się girlandy jedliny.

Do stołu usługują mali chłopcy w specjalnych kostymach.

Nie obeszło się oczywiście bez przypadku; pieczeń barania przypaliła się trochę. Ale profesor historii pociesza współbiesiadników opowiadaniem o Hunach, którzy mięsa wcale w ogniu nie piekli, tylko je pod siodłem ubijali. I oto wszystkie dzieci chcą jeść właśnie tę przypaloną pieczeń. W ogóle już się nie wychodzi dnia tego z owej epoki. Zaraz po obiedzie wybiera się Attylę i Odoakra i odbywa się wielka zabawa w wędrówkę ludów. Wszystko idzie gładko i składnie, aż do pewnego momentu. Oto mała dziewczynka, której przypadła rola królowej Rosamundy, nie chce jeść ze starego czerpu glinianego, który ma wyobrażać czaszkę jej ojca Kunimunda. O zmierzchu jeden z przyszłych muzyków zagrał śmierć Zygryda z Wagnera, a młoda nauczycielka opowiada stare podania ludowe.

O ósmej wieczorem małe dzieci idą spać. Te większe usługują im dzisiaj i pilnują bardziej surowo, niż u siebie, aby mycie odbyło się gruntownie.

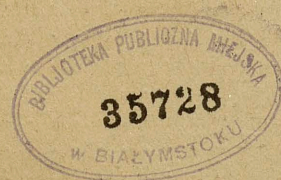
Teraz starsze dzieci szurują naczynie po kolacyi. Przy śpiewie robota idzie błyskawicznie. Tylko trzy talerze padają ofiarą.

Lecz ta mała strata idzie rychło w zapomnienie. Trzeba przygotować posiłek dla gromadki, która wnet już wróci z miasta. Całe morze kawy... Całe góry ciast na przywitanie powracających...

Ludwika przeciera oczy. Zegar bije siódmą. Już jest dzień. Budzi się. Trzeba wstawać do szkoły. A tej drugiej, o której śniła, jeszcze nie ma. Ale już się ją buduje. Wnet nadejdzie ów upragniony dzień, kiedy z otwartymi ramionami stanie u portalu, aby powitać tutaj „swoje“ dzieci!

Gdzież ta szkoła? Hen w górach! A w jakich? A no, to właśnie: w jakich?...

KONIEC.



SPIS RZECZY.

	Str.
Wstęp	5
I. Ludwika	9
II. Szkoła	13
III. Zabawy jako czynnik wychowawczy	19
IV. Kształcenie zmysłów i pamięci	25
V. Pamiętniki dziecięce	28
VI. Trzy siostry	32
VII. Klasa wstępna	38
VIII. Ośmioletni literaci	45
IX. Godzina pytań	54
X. Zdolność podziwiania	56
XI. Cześć dla bohaterów	59
XII. Godzina śpiewu	60
XIII. Na starą nutę	67
XIV. Szczęście, jakie daje praca	72
XV. Przeczulone dzieci	77
XVI. Mali kłamcy	87
XVII. Mali złodzieje	93
XVIII. Głupie dzieci	103
XIX. Objawy patologiczne u dzieci	105
XX. Temperament u dziecka	108
XXI. Artysta jako dziecko szkolne	110
XXII. Miłość wśród dzieci	117
XXIII. Sentymentalne wychowanie	125
XXIV. Zbytńia uczuciowość	134
XXV. Rodzice i dzieci	137
XXVI. „Pani doktor“ przyjmuje	142
XXVII. Szkoła w górach	159

BIBLIOTEKA

Państw. Sem. naucz. Naucz.

IM. ZYGMUNTA-AUGUSTA

W Białymstoku

4344